

V.C.J. + P.C.M.

Ks. Władysław Majka scj

**POCZĄTKI
PROWINCJI POLSKIEJ
KSIEŻY
NAJŚWIĘTSZEGO SERCA JEZUSOWEGO**

Ze wspomnień i zebranych informacji

**Z okazji 25-ciolecia
naszego osiedlenia się w kraju**

**Kuria Prowincjalna
Kraków 1992**

Pamięci

Ks. KAZIMIERZA WIECHECIA scj

*za wszystko, co zawdzięczamy Mu w życiu, poświęcam tę historię Dzieła,
które on na ziemi polskiej zapoczątkował, i w którego służbie się zużył.*

Autor

Wstęp

Stronice niniejsze zawierają opowiadanie o początkach i pierwszych krokach naszego Zgromadzenia na ziemi polskiej. Zostały one napisane przeważnie w roku 1952 w Stadnikach i Tarnowie.

Pierwsze dwa rozdziały opracowane zostały na podstawie danych zebranych z trudem w kraju i za granicą od ostatnich już świadków naszych początków, których, po dłuższych poszukiwaniach, autorowi udało się odnaleźć. Resztę rozdziałów skreślono w oparciu o wspomnienia osobiste autora, konfrontowane ze wspomnieniami Współbraci, także świadków i uczestników opowiadanych wydarzeń.

Pierwszymi dokumentami pisanymi, jakimi autor mógł się posłużyć dla odtworzenia naszej przeszłości, były pocztówki ks. Henryka Meyerinka scj pisane w latach 1908 do 1927 do ks. prałata Mateusza Jeża, znalezione już to w Mielcu, już to w papierach pośmiertnych tego ostatniego — 4 listy ks. Kazimierza Wiehecia scj z lat 1920 i 1921, również do ks. prałata Mateusza Jeża — i wreszcie kronika naszego nowicjatu z okresu jego pobytu w Felsztynie (1937–1939).

Jest to najstarsza kronika, jaką mamy w naszej Powincji. Urywa się ona wraz z rozproszeniem naszego nowicjatu felsztyńskiego, spowodowanym wybuchem II Wojny Światowej we wrześniu 1939 roku. Dalszym jej ciągiem jest dopiero kronika nowicjatu w Stadnikach, spisywana od maja roku 1944. Chociaż jej wartość jest względna, pisana była bowiem

przez nowicjuszy, mogących zarejestrować najczęściej tylko mało znaczące szczegóły nowicjackiego życia, to jednak okazała się ona cenną pomocą, szczególnie gdy chodziło o ustalenie niektórych dat.

Cennymi również dokumentami okazały się wspomniane cztery listy ks. Wiehecia do ks. prałata Jeża, znalezione przez ks. Wiktora Kubinę scj w pośmiertnych papierach tego ostatniego. Rzuciły bowiem wiele światła na pierwsze wyprawy rekrutacyjne ks. Wiehecia do kraju i na jego ówczesne zamierzenia.

Co więcej, jeden z tych listów przyczynił się do odszukania interesującego artykułu-odezwy do polskiego duchowieństwa o naszym Zgromadzeniu, pióra ks. Mateusza Jeża, zamieszczonego w „Gazecie Kościelnej” w numerze z dnia 1 lutego 1921 roku. Komplet roczników tego czasopisma, podobno unikat w kraju, znajduje się w bibliotece OO. Franciszkanów w Krakowie. Artykuł ten i wspomniane 4 listy umieszczono w dodatku, na końcu niniejszego maszynopisu.

Źródłem nie wykorzystanym pozostały niedostępne archiwa Kurii Generalnej w Rzymie. Nie jest wykluczone, że można będzie w nich znaleźć nieco danych, które rzuca trochę więcej światła na pierwsze kontakty O. Założyciela z ks. prałatem Jeżem.

Najwięcej właśnie trudności miał autor z ustaleniem pierwszych kontaktów Zgromadzenia z ks. Prałatem Mateuszem Jeżem. Dwóch ludzi mogłoby nam udzielić o tym dokładnych informacji: ks. prałat Jeż i ks. Kazimierz Wieheć. Niestety obydwaj umarli, nie zostawiwszy żadnych o tym zapisków.

W roku 1939, tuż przed II Wojną Światową, autor zwrócił się z Felsztyna do ks. prałata Mateusza Jeża z listowną prośbą o szczegółowe opisanie okoliczności, które doprowadziły do wyjazdu za granicę i do Zgromadzenia pierwszych Polaków. W odpowiedzi na to zapytany nadesłał dosyć długi opis tych

wydarzeń. Z powodu nawału pracy, autor włożył to pismo do aktów, odkładając jego czytanie na później. Niedługo potem nastąpiła katastrofa wrześniowa, która pociągnęła za sobą rozproszenie naszego nowicjatu i utratę domu. W tych niespokojnych czasach dokument ks. prałata Jeża zaginął.

Dla odtworzenia tych pierwszych kontaktów Zgromadzenia z naszym krajem był pomocny autorowi młody scholastyk prowincji holenderskiej, Jakub Bastianse. Oto w jakich okolicznościach.

Na wiosnę 1951 roku zwrócił się do naszego nowicjatu w Stadnikach z prośbą o krótką historię naszej prowincji, którą mógłby zamieścić w jednym z tamtejszych pisemek, oraz o dostarczenie mu muzyki i słów naszego hymnu narodowego. To zainteresowanie Polską i Polakami i specjalna do nich sympatia powstały u niego, jak i u wielu młodych Holendrów, na skutek zetknięcia się z oddziałami polskimi, które w roku 1945 zdobyły Brede, a swą postawą religijną, także i serca tamtejszej ludności.

Korespondencja, która w tych okolicznościach zawiązała się z klerykiem Bastianse, doprowadziła do uzyskania kilku cennych danych, odnoszących się do pierwszych naszych początków, który to okres aż dotąd był dla nas kartą niemal zupełnie białą. Dane te weszły w skład I i II rozdziału niniejszego opowiadania.

Uzyskane tą drogą informacje zostały skorygowane i rozszerzone przez p. Józefa Woźniaka z Katowic, jednego z byłych uczniów naszego Małego Seminarium w Tervuren w Belgii, długoletniego kolegi, współnowicjusza i współbrata ks. Kazimierza Wiechecia, którego adres, po długich poszukiwaniach udało się odnaleźć.

Jego długi list, nadesłany w odpowiedzi na przesłany mu kwestionariusz, oraz osobiste, spowodowane jego zaproszeniem spotkania się z nim w jego mieszkaniu w Katowicach, rzuciło nieco więcej światła na ów okres naszych początków.

Równocześnie z adresem p. Józefa Woźniaka, autorowi udało się zdobyć także adres drugiego z kolegów ks. Kazimierza Wiechecia, z okresu jego studiów w Tervuren, p. Bronisława Jeża. List skierowany do niego, jak i drugi pisany doń przez p. Józefa Woźniaka, zostały bez odpowiedzi.

Bez odpowiedzi pozostały również 2 listy z kwestionariuszem wysłane do ks. prałata Meyerinka do Szwecji, z którym pierwsi Polacy, przed laty, wyjechali z Krakowa do Belgii, a którego adres dostarczył wspomniany wyżej scholastyk.

By uratować przed zapomnieniem, co było jeszcze do uratowania z coraz bardziej oddalającej się od nas przeszłości, autor za radą p. Woźniaka, odwiedził w Mielcu profesora Jana Leyko, siostrzeńca ks. prałata Jeża. Będąc uczniem jednego z gimnazjów krakowskich w latach 1908/9, zetknął się osobiście z ks. Meyerinkiem scj u swego wuja, przy ul. Jabłonowskich. Jemu to rozdział I niniejszej historii zawdzięcza jedną czy drugą anegdotę o scholastyku Meyerinku.

Opowiedziane poszukiwania nie wyświectliły jednak wielu szczegółów naszej przeszłości. Nie wiele wiemy o życiu ks. Kazimierza Wiechecia w czasach poprzedzających jego wyjazd do Tervuren. Wypad autora do jego rodzinnej wioski Pychowic i rozmowa z jego starszą siostrą p. Marią Wójcik, niewiele światła rzuciły na ten okres jego życia. Także i data jego wyjazdu za granicę do Małego Seminarium dotąd nie została ustalona, pomimo że autor zwrócił się w tej sprawie, między innymi także i do Tervuren.

Autor zdaje sobie sprawę z nierównego potraktowania przez siebie w tym opisie wydarzeń składających się na naszą przeszłość. Sporo miejsca poświęcił on niekiedy anegdotom i szczegółom bez większego znaczenia, a przeciwnie, pobieżnie tylko i bez proporcji do ich ważności potraktował całe nawet okresy naszej przeszłości, szczególnie wydarzenia, w których sam nie brał udziału. Co więcej, niejedną rozdział niniejszego

opowiadania ma raczej charakter pamiętnika, rejestrującego subiektywne przeżycia autora, niż obiektywnej historii. Brakowało mu potrzebnego do takiej pracy przygotowania a także i potrzebnej dokumentacji.

Ten opis naszej przeszłości kreślony był z myślą o Współbraciach, którzy kiedyś po latach, gdy nasze pokolenie stąd już odejdzie, żyć będą, pracować, cierpieć, i na naszej męczeńskiej polskiej ziemi prowadzić dalej Dzieło Najświętszego Serca Jezusowego. Jeżeli stronice te, pomimo burz, wśród których płynie życie naszego pokolenia, kiedyś do nich dotrą, niech im zaniósą nasze sercańskie pozdrowienie od ich dawno już stąd odeszłych Współbraci, którzy niegdyś w roku 1952, w Krakowie, Tarnowie, Stadnikach i Florynce żyli, wierzyli, pracowali i dla których jedyną nadzieją wśród niebezpieczeństw było Boskie Serce Jezusa — oraz prośbę, by niekiedy o nich przy świętym ołtarzu wspomnieli.

Uwaga. — Ten opis naszych początków skreślony został z okazji zbliżającej się 25-tej rocznicy naszego osiedlenia się w kraju (1953). Pozostał jednak w brudnopisie roboczym do roku 1974. Egzemplarze sprzed tej daty, a jest ich sporo, są bez tytułu i bez spisu rzeczy, i kończą się rozdziałem siódmym.

Rozdział pierwszy

Pierwsze kontakty naszego Zgromadzenia z Polską; podróż Ojca Założyciela do Europy Wschodniej (lato 1907) — wysłanie pierwszych naszych misjonarzy scj do Finlandii (koniec 1907) — ośmiomiesięczny pobyt br. Henryka Meyerinka scj w Krakowie (listopad 1908—lipiec 1909) — druga podróż br. Henryka Meyerinka do Polski i przyjazd do Tervuren Kazimierza Wiechecia (luty?—1910) — juvenat w Tervuren — dalsze koleje życia ks. Henryka Meyerinka.

Pierwszym sercaninem, który postawił swe stopy na ziemi polskiej, prawdopodobnie był Ojciec Leon Jan Dehon — w pierwszej połowie sierpnia 1907 roku.

Korzystając z zaproszenia młodego księdza fińskiej narodowości, ks. Wilfrieda von Christiersona, proboszcza w Helsinkach, z którym poznał się w Rzymie w Komisji Indeksu, Ojciec Dehon wybrał się owego roku do Finlandii, będącej podówczas prowincją Rosji carskiej, by osobiście zbadać możliwości osiedlenia się w tym kraju, a także i do właściwej Rosji. Mówiło się bowiem wtedy wiele o możliwości zjednoczenia Cerkwi Rosyjskiej z Kościołem, a nasz Ojciec Założyciel od dawna żywo tą sprawą się interesował. Cenił on naród rosyjski za jego pobożność i modlił się o jego powrót do jedności, spodziewając się, że za jego przykładem powróciłyby do jedności także i inne Kościoły wschodnie.

Podróż ta, rozpoczęta około 20 lipca 1907 roku, wiodła go z Brukseli, przez Kolonię, Berlin, Pragę, Szczecin, Sztokholm do Helsinek, a następnie przez ówczesny Petersburg

(Leningrad), gdzie zabawił dwa dni, do Moskwy. Droga powrotna prowadziła przez Smoleńsk, Mińsk, Brześć Litewski i Warszawę.

Na pewnym odcinku tej trasy widział on i podziwiał polskie stroje regionalne i przygotowania ludności na powitanie swojego biskupa, przybywającego na wizytację kanoniczną.

Przejeżdżając owego lata przez ziemie polskie, rozdarte podówczas potrójnym zaborem, Ojciec Dehon zapewne nie przeczuwał, że już w 21 lat później, także w miesiącu sierpniu (1928), pierwsza grupa sercanów przybędzie do Polski, by tu się osiedlić.

Rzecz dziwna, A. Ducamps, w swym dziele „Le Père Dehon et son Oeuvre”, nic o tej podróży nie wspomina. A przecież ona to doprowadziła do założenia naszej placówki we Finlandii, gdyż jak on sam o tym opowiada już pod koniec tego samego roku 1907 dwóch pierwszych naszych misjonarzy, ks. Buckx i ks. van Gijssel, wyjechało do tego kraju.

Tą właśnie fundacją fińską posłużyło się Boskie Serce Jezusa, by przeszczepić nasze zgromadzenie także i na ziemię polską. Oto jak do tego doszło.

Większą część nielicznej katolickiej ludności Finlandii stanowili podówczas Polacy. Byli to przeważnie żołnierze rosyjskiego garnizonu stacjonowanego w Wiborgu, pochodzący z ziem polskich spod zaboru rosyjskiego. Dlatego już w kilka miesięcy po wyjeździe pierwszych misjonarzy do tego kraju, Ojciec Dehon wysłał do Krakowa, dla opanowania języka polskiego, jednego ze scholastyków naszego seminarium w Lowanium, upatrzonego na przyszłego misjonarza do Finlandii.

Owym scholastykiem, który w przeszczepieniu Zgromadzenia do Polski ważną, jak zobaczymy, odegrał rolę, był br. Henryk Meyerink — narodowości holenderskiej. Miał wtedy 25 lat i był subdiakonem.

Swój nowicjat odprawił w Sittard, pod kierownictwem O. Andrzeja. Po dwóch latach spędzonych w charakterze prefekta w naszym Małym Seminarium w Bergen-op-Zoom, istniejącym wtedy dopiero od pięciu lat, został on skierowany na studia filozofii i teologii do naszego scholastykatu w Lowanium. Domy nasze w Holandii nie stanowiły bowiem jeszcze podówczas autonomicznej prowincji. Stałą się nią dopiero w roku 1911.

Henryk Meyerink już podczas swych studiów średnich odbył podróż do Francji, by nauczyć się po francusku. Z czasem stał się on poliglotą. Władał językami: holenderskim, niemieckim, francuskim, angielskim, szwedzkim i polskim.

Wysyłając go do Krakowa Ojciec Dehon prawdopodobnie podsunął mu myśl, by starał się o pozyskanie kilku powołań, które by z czasem mogły stać się zalążkiem przyszłej polskiej fundacji.

Zjawił się on w Krakowie w listopadzie 1908 roku i pozostał tu do pierwszych dni lipca roku następnego. Przez cały czas pobytu w Krakowie mieszkał przy ul. Jabłonowskich 18 na drugim piętrze, u ks. Mateusza Jeża, katechety jednego z krakowskich gimnazjów.

Pobyt swój w Krakowie br. Meyerink wykorzystał dobrze, gdyż wystarczająco opanował język polski. Jego znajomi z owego okresu, dziś jeszcze wspominają, jak niekiedy z przejęciem deklamował: „Litwo, Ojczyzno moja”, wymawiając przy tym pierwszy z tych wyrazów „Lidwo”.

Opowiadają również, jak to pewnego razu, przybiegł rozentuzjasmowany z miasta, z gazetą w ręku, już od progu oznajmiając, że kółowa Julianna powiła królowkę. Żartowano dość długo z tego potknięcia się.

W pierwszych dniach lipca 1909 roku br. Meyerink opuścił Kraków, zabierając z sobą czterech Polaków, przeznaczonych do naszego Małego Seminarium w Tervuren pod Brukselą. Byli to chłopcy z ukończoną zaledwie drugą klasą gimnazjal-

na, przy systemie ośmioklasowego gimnazjum, poprzedzonego czteroletnią szkołą powszechną. Jeden z nich, Jeź Bronisław, był bratankiem ks. Matusza Jeża. Drugi Wójcik Józef, pochodził również ze skoligaconej z Jeżami rodziny. Obydwaj pochodzili z Mielca, rodzinnej miejscowości ks. Matusza Jeża i tam do gimnazjum uczęszczali. Trzeci Dul Michał, pochodził z Tarnobrzeskiego, czwarty zaś Pfeiffer, z okolic Sosnowca.

Na początku podróży, w Katowicach, chłopcy ci przeżyli chwile niepokoju, gdyż ich opiekun, który dla ugасzenia pragnienia wysiadł na peron, nie zdążył na czas do pociągu. Uspokoił ich jednak konduktor zapewniając, że ich opiekun, innym pociągiem pośpiesznym, dogoni ich na następnej stacji. Tak się też stało.

W Berlinie nasi podróżni zatrzymali się kilka godzin, by zwiedzić miasto. Następnie nigdzie się już po drodze nie zatrzymując, przez Brukselę przybyli do Lowanium. Pozostali tutaj przez dwa miesiące wakacyjne, ucząc się języka francuskiego przy pomocy brata Meyerinka.

We wrześniu skierowano ich do Małego Seminarium w Tervuren. Od tej chwili ich kontakt z br. Meyerinkiem został przerwany.

Dodajmy jeszcze to, że wkrótce po wyjeździe br. Meyerinka z Krakowa, ks. Mateusz Jeź otrzymał od niego z Belgii poleconą przesyłką klucz od podrzędnej ubikacji, który wyjeżdżający przez zapomnienie zatrzymał w kieszeni, a za którym na próżno przeszukano cały dom.

W grudniu (1909) ks. Mateusz Jeź otrzymał od br. Meyerinka pocztówkę, znaną po 40 przeszło latach w Mielcu — następującej treści:

Drogi Księżu! Z okazji nadchodzącego Nowego Roku życzę Jęgomości najobfitszych łask Boskich. Otrzymam wyświęcenie Dyakonatu 6 stycznia tylko, bom nie otrzymał dispensacji. Jeden z naszych księży pojedzie jeszcze do Krakowa, aby tam

nauczyć się po polsku. Czy znajdzie gdzie mieszkanie? Pozdrawiam serdecznie

H. Meyerink

Tym księdzem holenderskim, którego przyjazd do Krakowa owa pocztówka zapowiada, był, prawdopodobnie, wspomniany wyżej ks. Jan Michał Hugon Buckx, jeden z dwóch misjonarzy, wysłanych dwa lata przedtem przez Ojca Założyciela do Finlandii. W przyszłości miał on zostać wikariuszem apostolskim tego kraju. W latach 1908–1912, pięciokrotnie przez władze carskie wypędzony z Finlandii, prawdopodobnie podczas jednych z owych przymusowych wakacji przybył do Krakowa dla nauki języka polskiego. Zdaje się iż było to w roku 1910, jak świadczy o tym przytoczona wyżej pocztówka. Z jego pobytu w Krakowie nie znamy jednak żadnych szczegółów.

Nic również nie wiemy, poza samym faktem, o drugiej podróży do Krakowa br. H. Meyerinka. Prawdopodobnie podróż ta nastąpiła wkrótce po otrzymaniu przezeń święceń diakonatu, w styczniu lub lutym 1910 roku. Z tej właśnie podróży przyprowadził on z sobą do Belgii dwóch uczniów, z których jeden miał przeszczepić do Polski nasze Zgromadzenie: Kowalskiego i Kazimierza Wiechecia.

Jeżeli wierzyć pamięci ks. Couppensa, jednego ze współuczniów Kazimierza Wiechecia w okresie jego pobytu w Tervuren i towarzysza nowicjatu w Brugelette, to przyjazd ten nastąpił w lutym 1910 roku.

Jakiś czas potem, prawdopodobnie w roku następnym, przybyło do Tervuren jeszcze trzech uczniów, nieco starszych: Spiel Stanisław, Olas Stanisław i Teslar Tadeusz.

Małe Seminarium, zwane w Belgii juwenatem, do którego skierowywano uczniów przybywających z Polski, znajduje się na uroczym, zdrowym przedmieściu Brukseli, zwanym Tervuren. Połączone ono było ze stolicą linią tramwajową, bieg-

nacą cały niemal czas pięknym podmiejskim laskiem. W chwili przybycia pierwszych Polaków, liczyło ono 30–40 uczniów, istniało dopiero od lat pięciu, a zaledwie od roku mieściło się w nowym, dosyć obszernym budynku, o fasadach z czerwonej cegły.

Zostało ono założone dla zapewnienia powołań misyjnych naszej kongoleskiej misji, istniejącej od roku 1897. Większą część jego uczniów stanowili Flamandczycy. Językiem wykładowym był jednak język francuski. Uczono się jednak także po flamandzku, i w tym języku odbywały się wykłady literatury flamandzkiej. W pewnym okresie Polaków w tej szkole było dziewięciu.

Juwenat ten wydał z czasem wielu misjonarzy. Między innymi późniejszego wikariusza apostolskiego wikariatu Stanley-Fals w Kongo Belgijskim, msgra Kamila Verfaillé'a.

W chwili przybycia Polaków do Tervuren, Verfaillé był jeszcze uczniem owego seminarium. W późniejszych latach, w okresie swych studiów teologicznych w Strasburgu, opowiadał on niekiedy swym polskim współbraciom i kolegom, ks. Stosze, ks. Majce i ks. Lubowieckiemu, którzy także podówczas w Strasburgu swoje studia odbywali, o swych współuczniach Polakach z Tervuren. Na dowód iż naprawdę miał już w życiu z Polakami do czynienia, odmawiał po polsku, dosyć dobrze, cały niemal pacierz. Znał on również kilka polskich dosadnych wyrażań, których, dla zabawy uczyli obcokrajowców niektórzy z Polaków.

Juwenat ten wydał także założyciela naszej polskiej prowincji. Tutaj to bowiem odbył swe studia średnie ks. Kazimierz Wiecheć scj.

Jakie były dalsze koleje życia ks. Henryka Meyerinka, który ks. Kazimierzowi Wiecheciowi wskazał drogę do Zgromadzenia?

Otóż w kilka miesięcy po swojej drugiej podróży do Krakowa otrzymał on w Malines (23 maja 1910) święcenia

kapłańskie, z rąk ks. kard. Merciera, a już w trzy tygodnie później 15 czerwca, wyjechał do Finlandii. Świadczy o tym jedna z jego pocztówek, pisanych w owym czasie do ks. Mateusza Jeża, odnaleziona po wielu latach w papierach pośmiertnych tego ostatniego. A oto jej treść:

Helsingfors, 25 VII 10

Kochany Księżę,

Nie pamiętam, czy powiedziałem Księdzu, że teraz jestem w Helsinforsie, a to już od 15 czerwca. Dobrze mi się tu powodzi, tylko dużo jest roboty. Kazania polskie co niedziela. Wszystko idzie coraz lepiej, ludzie są zadowoleni. Czy Ksiądz nie pojedzie do Louvain? Jeżeli nie, to Ksiądz mógłby jechać do mnie? Chłopcy bardzo rzadko piszą, ale to może dobry znak. Teraz muszę się uczyć po szwedzku i po rosyjsku. Gdzie znaleźć czas?

*Serdecznie pozdrawiam Księdza
oddany sługa w Chrystusie
W. Meyerink*

24 lutego 1911 roku napisał do ks. Matusza Jeża co następuje:

Drogi Księżę, serdecznie dziękuję Księdzu za miesięcznik, który ks. Dobrodziej mi posłał i równocześnie winszuję Księdzu wielkiego przedsięwzięcia, bo jak o tym czytałem — Ksiądz został redaktorem odpowiedzialnym. Winszuję, ale nie zazdroścę! Jak się Księdzu powodzi? Mnie dzięki Bogu, bardzo dobrze. Tylko mam wiele pracy. Ksiądz Buckx jeszcze w Wiborgu. Z serdecznym pozdrowieniem

ks. W. Meyerink

W Finlandii ks. Meyerink nie zabawił długo. Gdy bowiem w roku 1912 nasza misja w Finlandii, na skutek prześladowań rządu carskiego została ostatecznie zwinięta a w między

czasie doszło do otwarcia naszych placówek w Szwecji, ks. Meyerink tam właśnie został skierowany. Znajomość języka polskiego i tam była mu pożyteczna, szczególnie wśród polskich robotników w Noorkoping.

W roku 1927 wyjechał on do Stanów Zjednoczonych w celach kwestarskich. W dziesięć lat później, w roku 1937 ks. Meyerink wybrał się do Stanów Zjednoczonych po raz drugi, by zdobyć środki na budowę kościoła w Malmo. Pertraktował on z ks. Kazimierzem Wiecheciem, chwilowo przebywającym podówczas w Lowanium, o kilkumiesięczne zastępstwo na czas swojej nieobecności. Prawdopodobnie z powodu nadszarpniętego zdrowia ks. Kazimierza nie doszło ono do skutku.

W rok później, gdy nasze Zgromadzenie wycofało się ze Szwecji (1938), ks. Meyerink, na życzenie Stolicy Świętej pozostał tam jako kapłan diecezjalny. Zamianowany prałatem, pracuje obecnie jako proboszcz parafii Chrystusa-Króla w Göteborgu.

Nazwisko jego pozostanie na zawsze związane z historią początków naszej polskiej prowincji.

Jeżeli idzie o drugiego z owych księży holenderskich, którzy w latach 1909 do 1910 byli w Krakowie, o ks. Jana Buckx'a, po przymusowym opuszczeniu Finlandii piastował on przez jakiś czas urząd powincjała w swojej prowincji. Gdy jednak Finlandia odzyskała niepodległość, wraz ze swoim wiernym towarzyszem dawnych trudów i walk, ks. van Gijselem powrócił w 1921 roku z tytułem prefekta apostolskiego do tego kraju, a w dwa lata później otrzymał sakrę biskupią. Wycofawszy się w 1934 roku z Finlandii, zmarł w 12 lat później, w roku 1946, w Sittard. Zostawił po sobie wspomnienie wielkiej dobroci, dla której za życia był bardzo kochanym i nazwanym „dobrym ojcem”

Rozdział drugi

Lata dziecięce i młodości ks. Kazimierza Wiecheć (1896–1920): rodzina i lata dziecięce — pobyt w Małym Seminarium w Tervuren (luty 1910 — czerwiec 1914) — nowicjat w Brugelette (czerwiec 1914 — październik 1915) — Studia filozofii w Tervuren (czerwiec 1917) — kilkumiesięczny pobyt w Krakowie (lato 1917 — jesień? 1918) — wyjazd do Włoch — święcenia kapłańskie (25 lipca 1920).

Ks. Kazimierz Wiecheć scj, założyciel Polskiej Prowincji Księży Sercanów, przybył do Tervuren, jak powiedzieliśmy wyżej, prawdopodobnie w lutym 1910 roku, w wieku 14 lat.

Urodził się 29 lutego 1896 roku w Pychowicach, podkrakowskiej wiosce, położonej na prawym brzegu Wisły, o jakie 6–7 km od mostu dębnickiego, w kierunku Tyńca. Wioska ta leżąca dzisiaj już na terenie Wielkiego Krakowa i należąca do parafii dębnickiej, podówczas wchodziła w skład olbrzymiej parafii podgórskiej.

Dom, w którym się urodził, mała, niziutka, kryta strzechą chata, oznaczona numerem 56, istnieje do dziś dnia. Jego rodzice, miejscowi rolnicy, posiadali 5 mórg gruntu, 3 krowy i konia. Nie było to wiele, jeśli się uwzględni, że tamtejsze grunta, gęsto usiane odłamkami białego, wapiennego kamienia, nie są urodzajne, i to że w domu było do wyżywienia sześcioro dzieci. Radzono sobie jednak dosyć dobrze, gdyż ojciec dorywczo pracował w sąsiednim kamieniołomie, wożąc na galary swym koniem kamień wapienny. Matka zaś jak wiele innych, z podmiejskich wiosek kobiet, donosiła mleko do miasta.

Kazimierz był czwartym z rzędu dzieckiem. Poprzedzili go Józef, Maria i Michał. Teofil i Katarzyna byli od niego młodszy.

O kierunku całego życia Kazimierza, w dużej mierze, zdecydowała przedwczesna śmierć jego ojca. Kazimierz miał wtedy zaledwie cztery lata. Śmierć ta, w pewnym stopniu, została spowodowana zgrzyotą ze straty, znacznej na owe czasy kwoty 300 reńskich (600 koron). Na kwotę tę złożyły się nie tylko oszczędności zebrane ciężką pracą, lecz i wysprzedaż żywego inwentarza i zaciągnięta u sąsiada pożyczka. Nadużyto jego zaufania. Uczyniła to osoba, której zdawało się, że można było więcej niż komukolwiek zaufać. Wypadek ten był, dla tej niezbyt zamożnej rodziny, prawdziwą ruiną.

Po śmierci ojca małego Kazia zabrał na wychowanie bezdzietny jego stryj i chrzestny ojciec, Franciszek Wiecheć, mieszkający w Krakowie, najpierw przy ul. Zamkowej, następnie zaś przy ul. Długiej.

Po ukończeniu szkoły podstawowej Kazio uczęszczał do jednego z krakowskich gimnazjów, w którym katechetą był właśnie ks. Mateusz Jeż. On to zaznajomił go z br. Meyrinkiem i umożliwił mu w ten sposób wyjazd do Belgii.

Dlaczego wyjazd ten nie doszedł do skutku w lipcu 1909 roku, lecz dopiero pół roku później, w lutym, gdy Kazimierz był, być może, już w czwartej gimnazjalnej? Zdaje się, że to jego matka temu wyjazdowi się sprzeciwiła, a zgodziła się dopiero wtedy, gdy jej syn naraził się jednemu z profesorów. Jeżeli pamięć nie myli, ks. Wiecheć, po latach opowiadał, że przyczyną tego nieporozumienia był jego słaby wzrok. Profesor sądził, że jego uczeń kpi sobie z niego.

Nieliczne tylko szczegóły doszły do nas z czasu jego pobytu w małym seminarium w Tervuren. Wynika z nich jednak, że w pamięci tych, którzy podówczas pod jednym dachem z nim żyli, utkwiał on jako wzorowy, pod każdym względem uczeń.

I tak ks. Filip Collignon scj, z prowincji holenderskiej, były prowincjał, który jeszcze jako scholastyk był w owych latach jego profesorem, oświadczył po latach, że „Kasjek” (Kaziek), tak go wtedy powszechnie nazywano, był spośród współrodaków i współuczniów „najwięcej uzdolnionym, najuczciwszym, najwięcej poważnym a przede wszystkim najpobożniejszym”.

Ówczesny kolega i współrodak, Józef Woźniak, po latach, tak opisał jego charakter: „O ile chodzi o pierwsze młode lata, pamiętam go jako chłopca spokojnego, trzymającego się raczej na uboczu, cichego, któremu lubiliśmy dokuczać. Jednak z zapałem brał udział w grze w piłkę nożną. Był może porywczy, ale powiedzmy bardzo cicho i nieśmiało porywczy. Nigdy nikomu nie dokuczył. W nauce bardzo pilny. Lubił wtedy matematykę i mnie pomagał. Wcześniej zaczął uczyć się na fisharmonium, bez żadnej zachęty i pomocy”.

„Język flamandzki opanował dobrze, tak że na równi z Flamandami mógł w tym języku pisywać wypracowania szkolne.

Podczas wkcacji letnich juwenat w Tervuren opróżniał się. Uczniowie Belgowie rozjeżdżali się do swych rodzin. Pozostawali tylko Polacy. Dwóch jednak z nich, Woźniak i Jeż, pochodzący z rodzin zamożnych, po dwóch latach pobytu w Tervuren, udali się na wakacje do kraju. Kazimierz nie mógł sobie na to pozwolić.

Podczas takich to wakacji letnich, spędzonych w wyludnionym seminarium Kazimierz, przychodząc pewnego razu do sypialni, by udać się na spoczynek, zastał w swym łóżku kukłę, podłożoną mu przez kolegów. Na krzyk wystraszonego chłopca nadbiegli księży. Sprawcy tego żartu musieli wysłuchać kilku niemiłych uwag.

Czy utrzymywał on wtedy korespondencję z ks. Mateuszem Jeżem, swoim byłym katechetą, któremu zawdzięczał swoje wstąpienie do seminarium w Tervuren? Prawdopodobnie tak.

Tymczasem lata mijały. Jego koledzy i współrodacy zaczęli, niestety, jeden po drugim wykruszać się. Po dwóch latach wyjechał również kolega Kowalski, z którym przyjechał do Belgii. Tęsknota za krajem, może i nie najlepsze warunki, brak kogoś, kto by obcokrajowcami umiał zainteresować się z bliższa, wszystko to spowodowało ich odpływ do kraju.

Dla ścisłości należy dodać jeszcze i to, że niektórzy z tych uczniów przyjechali do Belgii mniej dla nauki, raczej by zwiedzić obcy kraj. I tak dwaj z nich, po kilku zaledwie miesiącach pobytu w Tervuren, zapędzili się do Anglii, by zwiedzić Londyn, skąd podobno, przymusowo odstawiono ich do kraju.

W roku 1913 już tylko dwóch z owych dziesięciu Polaków pozostało w Tervuren: Józef Woźniak i Kazimierz Wiecheć.

Ze ten ostatni odczuł dosyć żywo dezercję swoich kolegów świadczy o tym choćby to, że w kilkanaście lat później, we Włoszech, powtarzał on niekiedy, pozyskany przez siebie dla Zgromadzenia młodzieńcom słowa, które na szczęście nie miały się sprawdzić: „Przyjdzie czas, że wy wszyscy mnie opuścicie i na nowo będę sam”.

Za pozwoleniem prowincjała ostatni rok studiów średnich nasi dwaj Polacy odbyli w tempie przyspieszonym, przerażając w jednym roku materiał z dwóch lat, tak że 19 czerwca 1914 roku, mogli już przywdziać sutannę. W kilka dni później, brodaty misjonarz afrykański ks. D'Hosche, odwiózł ich obydwu do Brugelette, gdzie podówczas znajdował się nowicjat.

Mistrzem nowicjuszy a równocześnie rektorem domu był w owym czasie ks. Paweł Augustyn Jacquemin, następcą O. Andrzeja Prévot. Tego ostatniego nasi aspiranci przy życiu już nie zastali. Zmarł on kilka miesięcy przed ich przyjazdem do Brugelette, w listopadzie poprzedniego roku (1913).

Postulat rozpoczęli nasi młodzieńcy 23 czerwca.

Niedługo jednak potem w regularne życie nowicjackie uderzył grom: Wojna! Mobilizacja! Większa część nowicjuszy

musiała udać się pod broń. Żegnano się ze łzami w oczach. Tragizm sytuacji zwiększyła jeszcze ta okoliczność, że wśród zmobilizowanych nowicjuszy znajdowali się Francuzi i Alzacczycy, należących do wrogich sobie armii.

Nasi dwaj polscy postulanci, pochodzący z ówczesnej Galicji, byli poddanyymi austriackimi. Przełożony nowicjatu, nie chcąc, aby w przyszłości byli narażeni na konflikt z władzami swego kraju, wysłał depezę do konsulatu austriackiego w Brukseli z zapytaniem, co mają czynić? Odpowiedź brzmiała: „Pozostać w Belgii i czekać”.

Mimo wszystko znaleźli się w trudnej sytuacji, gdyż z powodu wojny przełożeni nie mogli wystarać się dla nich o wymagane przez prawo kanoniczne listy informacyjne, „litterae testimoniales”. Trudność tę pokonano w ten sposób, że polskim postulantom, chociaż oficjalnie do nowicjatu ich nie przyjęto, polecono odbywać wszystkie ćwiczenia nowicjackie, tak jakby byli nowicjuszami, w nadziei, że Stolica Święta, gdy można się będzie z nią się skomunikować, brak ten naprawi.

Tymczasem na Belgię zwała się nawałnica niemiecka. Podczas przesuwania się frontu, do większych działań wojennych w najbliższej okolicy nowicjatu, na szczęście, nie doszło. Anglicy stawili opór najeźdźcy nieco dalej, pod miastem Mons. Opowiadano sobie przy tej okazji, jak to żołnierze angielscy, pomimo że wróg już nacierał i że pociski padały gęsto, spokojnie kończyli swoje poranne golenie.

W tym niespokojnym okresie nasi młodzieńcy wychodzili niekiedy na szosę, aby przypatrzeć się maszerującym kolumnom wojsk niemieckich.

Niemal przez cały czas swojego pobytu w Brugelette br. Kazimierz Wiecheć pełnił obowiązki ministra. Żyjący do dziś dnia, jego mistrz nowicjuszy twierdzi, był on „zawsze nader budujący: bardzo pobożny i pełny poświęcenia”.

Jego rodak i współnowicjusz, wspomniany wyżej p. Woźniak, dzisiaj, po blisko 40 latach, tak o nim pisze: „Z czasów

Brugelette pamiętam go jako człowieka dość energicznego a raczej zapobiegliwego. Zajmował się ogrodem i sprawami gospodarczymi”.

Z tego samego źródła dowiadujemy się także, że br. Kazimierz, w ramach swojego urzędu, zajmował się także i pszczołami. Pewnego razu przeniósł na inne miejsce trzy ule stojące w nowicjackim ogrodzie, co przyprawiło o zły humor pszczoły i pracujących w ogrodzie nowicjuszy.

Do tych niewielu szczegółów z pobytu br. Kazimierza w nowicjacie, które do nas doszły, należy dodać jeszcze to, co on sam później swym współbraciom polskim opowiadał, jak to, czasu głodu, ukrywano zapasy żywności przed rekwizycją niemieckich władz okupacyjnych, nawet w domowej kaplicy.

25 października 1915 roku, a więc po 16 miesiącach pobytu w Brugelette, nasi młodzieńcy, nie złożyłwszy ślubów, zostali wysłani z powrotem do Tervuren, na dalsze studia. Śluby swe mieli złożyć dopiero 7 miesięcy później, pod datę 3 czerwca 1916 roku.

Towarzysz br. Kazimierza tak opisuje tę przeprowadzkę: „Po roku spędzonym w Brugelette, udaliśmy się na piechotę (zdaje się dlatego, że nie chcieliśmy zetknąć się z Niemcami w wypadku jazdy koleją), via Waterloo do Tervuren, gdzie miały się rozpocząć studia filozofii i teologii (scholastykat w Lowanium stał opuszczony). Pamiętam doskonale ten całodzienny marsz w dzień deszczowy, wielką ilość różańców odmówionych w drodze pod komendą br. Wiechecia. W tym jak i w podobnych wypadkach, on był tym dowodzącym, on miał kasę, lecz umiał to robić bardzo delikatnie”.

Dom w Tervuren, w chwili przybycia naszych młodzieńców, był wyludniony. Małe seminarium, które już przed wojną mieściło w swych murach około 50 uczniów, było wtedy, z powodu wojny, nieczynne. Miejsce małoseminarzystów zajęła nieliczna grupa ocalała od mobilizacji scholastyków, którzy przybyli tu z zajętego a następnie opuszczonego przez Nie-

mców i stojącego próżno scholastykatu w Lowanium. Dwaj księża, dojeżdżali z naszego domu w Brukseli — jednym z nich był ks. A. Ducamp — prowadził wykłady.

Wyżywienie tej młodzieży podczas wojny, w kraju tak przeludnionym jak Belgia, a wygłodzonym przez okupanta, było zadaniem trudnym. Toteż bieda w scholastykacie była naprawdę wielka. Żywiono się wtedy przeważnie kukurydzianką, podawaną trzy razy dziennie, w niedostatecznej zresztą ilości. Dostarczał jej naszym, miejscowy proboszcz. Chodzono po nią do niego wieczorami.

Z powodu zepsucia kaloryferów, których w warunkach wojennych, nie można było naprawić, w porze zimowej dawało się we znaki także i zimno. Starano się temu zaradzić przez wstawienie żelaznych piecyków.

Po latach ks. Wiecheć opowiadał niekiedy swoim współbraciom w kraju, o owym niedostatku, który połączony z intensywną pracą umysłową, miał go z czasem przyprawić o zupełne wyczerpanie systemu nerwowego, które miało być krzyżem całego jego życia a pośrednio także przyczyną jego przedwczesnej śmierci.

Jego współrodak i nieodłączny towarzysz, tak pisze o tym okresie ich życia: „Dwa lata studiów filozofii w Tervuren spędziliśmy pracowicie, choć w bardzo trudnych warunkach wojennych. Bieda była wielka. Br. Kazimierz należał do tych, którzy dbali o resztę. O ile chodzi o naukę, należeliśmy do najlepszych. Nie zadawały nas dwa łacińskie tomiki filozofii, studiowaliśmy pilnie kilka tomów podręcznika kard. Merciera i inne. Raz, pamiętam, zrobiliśmy furorę w dyskusji, on jako obrońca „libre arbitre”, a ja jako przeciwnik. Pod każdym innym względem oczywiście nie dorównywałem mu. Był przedobrym kolegą w tym czasie, umiał znosić moje kaprysy”.

Br. Kazimierz Wiecheć pełnił wtedy funkcję kościelnego.

Do ważniejszych zdarzeń ówczesnego życia naszych dwu rodaków była podróż do Antwerpii, do „asenterunku”. Tak

nazywano w Austrii stawienie się przed komisją lekarsko-wojskową. Nie zapominajmy bowiem, iż jako pochodzący z ówczesnej Galicji, byli oni poddanymi austriackimi, i że Belgia okupowana była wtedy przez sprzymierzonych podczas wojny z Austrią — Niemców. Chcąc nie chcąc, musieli się stawić przed komisją.

Powołując się na ustawę, stanowczo odmówili rozebrania się. Stanowisko ich widocznie było słuszne, skoro komisja zadowolili się ich ustnym oświadczeniem, że są zdrowi. Jako klerycy otrzymali odroczenie.

Po spełnieniu tego obywatelskiego obowiązku, dwaj młodzieńcy wstąpili do restauracji, aby się posilić. Podczas zwiedzania portu, po upływie może 30 minut b. Kazimierz spostrzegł się, że prawdopodobnie w restauracji, zgubił portfel z pieniędzmi na powrotną drogę. Wrócili z pośpiechem do restauracji. Portfel leżał jeszcze na krześle.

Pewnego dnia nasi dwaj młodzieńcy zrobili z Tervuren wypad po książki do opuszczonego scholastykatu w Lowanium. Przygnębiające i niezatarte wywarł na nich wrażenie ten niegdyś pełen życia, a teraz opustoszały, zamarty, pozostawiony bez nadzoru dom, z pootwieranymi na korytarz drzwiami — jak i chwila gry na harmonium na chórze pustej kaplicy.

Tonsurę otrzymali nasi dwaj młodzieńcy, najprawdopodobniej w roku 1917, z rąk kardynała Merciera, w katedrze w Malines. Drogę do tego miasta odbyli pieszo w towarzystwie reszty współbraci scholastyków, którzy korzystając z ciepłej pory roku, wybrali się razem z nimi na tę uroczystość.

W drodze powrotnej wstąpiono do Brukseli, gdzie dwaj tonsuraci, za radą któregoś ze współbraci belgijskich, złożyli wizytę dwom starszym paniom, Polkom, prawdopodobnie dobrodziejkom Zgromadzenia, które przebywając już od dawna na obczyźnie spragnione były zobaczyć kleryków rodaków. Przy pożegnaniu otrzymali on na drogę słoik konfitur, których

jednak później br. Kazimierz nie tknął, tłumacząc się zakazem Reguły.

Najprawdopodobniej w tym samym 1917 roku, zdaje się podczas wakacji, w życiu naszych dwóch młodzieńców zaszła wielka zmiana: wyjazd do od dawna już nie widzianego kraju. Pierwszy, zdaje się, wyjechał br. Woźniak.

Jeżeli idzie o br. Kazimierza w owym czasie tak bardzo podupadł na zdrowiu, że wg jego późniejszych zwierzeń, jego ówczesni przełożeni sądzili, że już więcej do Zgromadzenia nie będzie mógł powrócić. Do tego to prawdopodobnie wyjazdu należy odnieść to, co niedawno napisano o nim z Belgii: „Come il souffrait beaucoup des yeux, il dut interrompre les études un certain temps”.

Była to jego pierwsza wizyta u rodziny od czasu wyjazdu do Belgii, przed siedmiona przeszło laty.

Za czasów jego pobytu w Krakowie nie znamy żadnych prawie szczegółów. Wiemy tylko to, że nie mogąc uzyskać paszportu na powrót do Belgii, zapisał się na Wydział Teologiczny UJ i przez kilka, zdaje się, miesięcy uczęszczał na wykłady. Pewnego dnia, a było to może pod koniec 1917 roku, lub na początku 1918, podejmował dobrym obiadem swego współbrata br. Woźniaka, u swojej stryjenki na Grzegórkach.

Najprawdopodobniej jesienią 1918 roku, a więc po zawarciu rozejmu, po wielu trudnościach i okrężną drogą, udało się br. Kazimierzowi powrócić do Belgii.

Wrócił tam, niestety, sam, gdyż jego długoletni towarzysz br. Woźniak, zniechęcił się i pozostał w kraju. Ci dwaj ludzie, których drogi życia, po tylu latach wspólnie spędzonych, tak się rozeszły, że raz tylko jeszcze mieli spotkać się w życiu i zamienić z sobą zaledwie kilka słów.

Po swym powrocie do Belgii, br. Kazimierz Wiecheć kontynuował studia w naszym scholastykacie, przeniesionym już z powrotem do Lowanium. W lecie 1919 roku ukończył tam

drugi rok teologii. W październiku tego roku 1919 nastąpiła w jego życiu nowa ważna zmiana: wyjazd na dalsze studia do Włoch.

Jak to wynika z jego listu, pisanego z Bolonii do ks. Mateusza Jeża, zamieszczonego w dodatku, pierwotnie miał on udać się na studia do Rzymu. Dla braku jednak miejsca w tamtejszym domu, zmuszony został zatrzymać się w naszym scholastykacie w Bolonii, mieszczącym się podówczas przy via Nosadella, obok kościoła Madonna dei poveri. Stamtąd to, wraz ze scholastykami włoskimi, przez dwa lata, uczęszczał na wykłady teologii do regionalnego czyli międzydiecezjalnego Seminarium duchownego, prz via dei Mille.

Po kilku miesiącach pobytu w Bolonii i po ukończeniu trzeciego roku teologii, otrzymał w dniu 25 lipca 1920 roku święcenia kapłańskie i wkrótce potem, jak to niżej opowiemy, wyjechał na prymicje do kraju.

Chociaż z okresu formacyjnego ks. Kazimierza Wiehecia niewiele tylko doszło do nas szczegółów, to jednak możemy stwierdzić, że podane nam przez tych, którzy podówczas razem z nim żyli, rysy jego charakteru, są prawdziwe i przekonujemy się, że już w młodzieńczym wieku ks. Kazimierz Wieheć był takim, jakim poznaliśmy go później.

I tak, już w tym okresie życia, występują u niego charakterystyczne rysy: ujmująca, delikatna dobroć, poświęcenie dla drugich, zamiłowanie pracy, a przede wszystkim wielka przedsiębiorczość i upór w realizowaniu swoich zamierzeń. Tym tylko ostatnim rysem jego charakteru można wytłumaczyć sobie jego wierność swojemu powołaniu podczas pierwszej wojny światowej i jego powrót do Belgii w roku 1918. Tylko dzięki temu uporowi, połączonemu z wielką przedsiębiorczością, mógł on w późniejszych latach dokonać dzieła, które było celem jego życia.

Rozdział trzeci

Pierwsza wyprawa rekrutacyjna ks. Kazimierza Wiechecia do kraju (lipiec-listopad 1920) — jego prymicje — plany i zamierzenia — niesprzyjające okoliczności — zawiedzione rachuby na pomoc ks. Mateusza Jeża — w Myślenicach (sierpień 1920) — opis tamtejszego środowiska — w Dołach k/Brzeska i drugie powołanie (sierpień 1920) — podróż do Włoch (pierwsze dni listopad 1920) — w Albisoli — powrót do Bolonii na czwarty rok teologii (koniec listopada 1920).

Święcenia kapłańskie ks. Kazimierza Wiechecia i jego przyjazd na prymicje do Polski w roku 1920, to punkt zwrotny w historii naszych początków.

Owego roku przybył do Krakowa w ostatnich dniach lipca. Radość jaką zazwyczaj odczuwa prymicjant udający się do rodzinnego gniazda, szczególnie po długiej w nim nieobecności, u niego zapewne przesłonięta była melancholią. Wszak rodzinnego gniazda tak, jakby nie posiadał. Rodzice bowiem jego obydowje już umarli. Ojciec, jak widzieliśmy, obumarł go jeszcze w dzieciństwie, matka zaś w połowie kwietnia 1920 roku, 3 miesiące zaledwie przed jego święceniemi kapłańskimi, podczas jego pobytu w bolońskim scholastykacie. Nie był on nawet na jej pogrzebie. Pochowano ją na cmentarzu w Podgórzu.

Jeśli weźmiemy pod uwagę te okoliczności, zrozumiemy napis, jaki ks. Wieheć umieścił na swych obrazkach prymicyjnych: „Pater meus et mater mea derelinquerunt me: Dominus autem assumpsit me” (zob. Dodatek).

Młodego prymicjanta oczekiwali w kraju jego bracia i siostry, szczególnie zaś jego wspomniana stryjenka, mieszkająca podówczas na Grzegórkach, u której się wychował. Była mu ona w życiu drugą matką.

Swą pierwszą Mszę św. prymicyjną w kraju odprawił ks. Wieheć, zdaje się, w kościele parafialnym w Dębnikach. W niedzielę 8 sierpnia udał się on ze Mszą św. także i do Gaju k/Mogilan, gdyż jego śp. matka, urodzona w Brzeczynie Dolnej, z tamtejszej parafii pochodziła. Kazanie okolicznościowe wygłosił przy tej okazji ks. kanonik Adam Gałuszkiewicz, który w tym czasie zastępował tam chorego proboszcza.

Wkrótce po przybyciu do kraju, rozpoczął ks. Kazimierz Wieheć poszukiwania za powołaniami do Zgromadzenia.

Jak to wynika z jego listu, pisanego z Bolonii nieco przedtem, bo w kwietniu tego samego 1920 roku, do ks. Matusza Jeża, który przeszedłszy na emeryturę, objął wtedy stanowisko ojca duchownego w podlaskim seminarium duchownym w Janowie; młody prymicjant przybył do kraju z jasno sformułowanym planem.

Przede wszystkim pragnął on znaleźć kilku studentów z powołaniem z ukończoną szóstą lub przynajmniej piątą klasą gimnazjalną, przy systemie ośmioklasowego gimnazjum, poprzedzonego czteroletnią szkołą powszechną, którzy mogliby rozpocząć natychmiast postulat i nowicjat. Resztę cyklu studiów średnich przerobiliby oni dopiero po nowicjacie.

Plan ten liczył się z rozkładem studiów we Włoszech, obejmującym pięcioletnie gimnazjum przed nowicjatem i trzyletnie liceum po nim. Co więcej, był on owocem nie bardzo zachęcających doświadczeń poczynionych w Terwuren z małoseminarzystami z Polski.

Po drugie, postanowił rozglądać się także za kandydatami na braci zakonnych.

Po trzecie, gdyby się dało, pragnął pozyskać dla Zgromadzenia także jakiegoś kapłana, który odprawiałby nowi-

ejat, podczas gdy ks. Wiecheć kończyłby czwarty rok teologii, po czym razem przybyliby do kraju, by tu rozpocząć pracę. Polegałaby ona przede wszystkim na zapewnieniu sobie stałego dopływu powołań. Chodziłoby zatem o otwarcie małego seminarium. Dlatego to, czwartym punktem nakreślonego przez ks. Wiechecia planu było rozglądnięcie się za jakimś, choćby skromnym, na ten cel domem i kościołem.

W przeprowadzeniu swych zamiarów liczył on przede wszystkim na pomoc ks. Mateusza Jeża, który przeszedłszy na emeryturę, objął wtedy stanowisko ojca duchownego w podlaskim seminarium w Janowie.

Ze swojego planu ks. Wiecheć zdążył owego roku zrealizować zaledwie punkt pierwszy i to w skromnych tylko rozmiarach. Znalazł dla nowicjatu, jak to opowiemy niżej, trzech uczniów gimnazjalnych, lecz nie po VI lub V klasie, jak tego pragnął, lecz jednego po trzeciej, a dwu po czwartej.

Trafił on bowiem na niesprzyjające jego zamiarom okoliczności. Umysły owego lata 1920 roku pochłonięte były toczącą się wtedy wojną polsko-bolszewicką. Czerwona armia podchodziła już pod Warszawę. Starsza młodzież gimnazjalna masowo zgłaszała się do armii — młodsza marzyła tylko o karabinie i bawiła się w wojnę, lub gapiła się na ćwiczące oddziały.

Co więcej, rachuby na pomoc ks. Mateusza Jeża zupełnie zawiodły. Był on bowiem tego lata na Podlasiu, a więc po drugiej stronie frontu. Ks. Wiecheć mógł się z nim skomunikować dopiero jesienią, gdy już musiał powracać do Włoch. Była to okoliczność dla zamierzeń ks. Wiechecia bardzo niepomysłna, gdyż ks. Mateusz Jeż, długoletni katecheta, rzeczywiście mógłby dzięki swoim znajomościom wśród księży katechetów i proboszczów, owe poszukiwania ułatwić.

Wobec takiego stanu rzeczy, nie pozostawało ks. Kazimierzowi Wiecheciowi, jak zdać się na Opatrzność Bożą i na własną zaradność.

Nie da się już dzisiaj ustalić, dokąd zwrócił się najpierw w swoich poszukiwaniach. Jedno jest pewne, iż któregoś sierpniowego dnia, zjawił się on w Myślenicach, powiatowym miasteczku położonym 33 km na południe od Krakowa, u ówczesnego proboszcza ks. dra Kościółka.

W miasteczku tym było wtedy ośmioklasowe gimnazjum, tak rozpowszechnionego podówczas typu klasycznego, z łaciną od pierwszej klasy i greką od trzeciej. Mieściło się ono w niedużym, samotnie podówczas, a dzisiaj naprzeciw urzędu pocztowego stojącym budynku. Liczyło ono wtedy nie więcej jak około 200 uczniów. Ponieważ gimnazjum, to dawszy z czasem ks. Kazimierzowi aż sześciu nowicjuszy, w historii naszych początków pewną odegrało rolę. Nie od rzeczy będzie jeżeli nieco bliżej zapoznamy się z tym skupiskiem uczącej się młodzieży.

Rekrutowała się ona przeważnie spośród ludności wiejskiej, w mniejszości spośród drobnych urzędników i nauczycieli powiatu myślenickiego. Młodzież ta, jak zresztą zapewne wszystka ówczesna młodzież polska, na Sienkiewiczu wychowana i żyjąca w okresie budzenia się niepodległości, formowania Legionów i zmartwychwstania Polski, ożywiona była w najwyższym stopniu duchem patriotyzmu.

Na ogół, była ona także bardzo religijna. Świadczy o tym choćby od lat tam utrzymujący się zwyczaj codziennego wstępowania przed nauką do kościoła, do którego stosowali się niemal wszyscy uczniowie, nawet ci, którym nie było to po drodze. Trzeba jednak przyznać, że pobudką tego aktu pobożności, bywała obawa przed niepowodzeniami w klasie. W szczególny sposób młodzież ta nawiedzała przed nauką kaplicę z cudownym obrazem Matki Najświętszej, który dawniej ściągał do tego miasta liczne pielgrzymki, dopóki niezbyt odległa od Myślenic Kalwaria ze swoim klasztorem, tłumów tych do siebie nie poprzyciągnęła.

Niedzielne nabożeństwa gimnazjalne — z dwoma egzortami: jedną dla młodszych, drugą dla starszych — bywały

odprawiane w położonym na peryferiach miasta kościółku, który w tygodniu bywał jednak zamknięty.

W pewnym okresie prefektem tego gimnazjum był młodziutki jeszcze podówczas, a dziś już nie żyjący, ks. dr Michał Wietecha, stryj ks. Michała Wietechy scj, pierwszego naszego prowincjała, polskiej prowincji. Po nim, w okresie który nas interesuje, katechetami owego gimnazjum byli kolejno ks. Nodzyński, ks. Jan Wolny, ks. Antoni Feliks i ks. Wojciech Kowalik.

Młodzież gimnazjalna, przeważnie zamiejscowa, mieszkała już to w bursie, mieszczącej się dziś w już nie istniejącym budynku, położonym przy ul. Stadam, już to po prywatnych stacjach. Jeżeli idzie o bursę, w pewnym przynajmniej okresie swego istnienia, była ona siedzibą głodu i zepsucia. Wygłodzona młodzież, gnieźdząca się w jej murach, dożywała się marchwią pastewną i brukwią, rosnącą na gruntach księdza proboszcza na Plebańskiej Górze. Na szczęście zakład ten niewiele tylko uczniów mógł pomieścić.

Większość studentów mieszkała po prywatnych „stacjach”, w opłakanych niekiedy warunkach higienicznych, dosyć często wykorzystywana przez swych gospodarzy. Nie zapominajmy przy tym, że były to czasy wojny, w których aprowizacja w żywność dostarczana przez rodziców, szła niekiedy na utrzymanie całej rodziny gospodarzy.

Niejedna gospodyni, której jedynym lub głównym źródłem utrzymania byli mieszkający u niej studenci, nie chcąc utracić swoich młodych lokatorów, zносиła cierpliwie wszystkie ich kaprysy i pozwalała im na wszystko.

Jaśniejszymi rysami kreślonego obrazu, to istniejąca przy tamtejszym gimnazjum drużyna harcerska, która dosyć dużo dawała, młodszyemu szczególnie chłopcom — rozległe lasy z ruinami zamczyska pod Ukleiną, ulubione miejsce wycieczek — Raba, gdzie w porze ciepłej młodzież tłumnie zażywała kąpieli, szczególnie w miejscu zwanym: „studencką tamą”.

Pomimo, że warunki bytowania tej młodzieży w niejednym pozostawiały do życzenia, to jednak spośród studentów zapelniających w owych latach mury myślenickiego gimnazjum, wyszło bardzo wielu kapłanów i zakonników.

W takim to skupisku młodzieży — chwilowo rozproszonym, gdyż były to wakacje — zjawił się ks. Kazimierz Wiecheć owego sierpniowego dnia. Tamtejszy ksiądz proboszcz, wspomniany wyżej ks. dr Kościółek, któremu opowiedział cel swojej wizyty, wskazał mu adres jednego z częstych swoich ministrantów, Juliana Lubowieckiego, u którego zauważył oznaki powołania.

Państwo Lubowieccy mieszkali niedaleko kościoła parafialnego, w nieistniejącym już parterowym domku, przy ul. Kamieniec Górny. Rodzina ta miała z czasem odegrać pewną rolę w rekrutacji powołań w tamtejszym środowisku. Ojciec Juliana Lubowieckiego był urzędnikiem miejscowego magistratu, stryjem znanego w swoim czasie w archidiecezji krakowskiej ks. Edwarda Lubowieckiego. Miał on siedmiu synów, z których Julian, bohater niniejszego opowiadania był drugim z rzędu. Znany starszym współbraciom Tadeusz był przedostatnim.

Nie znamy szczegółów pierwszego spotkania ks. Wiechecia z Julianem. Zdaje się jednak, że wkrótce doszło do porozumienia. Pominąwszy bowiem nawet to, że Julian już przedtem rzeczywiście żywił zamiar wstąpienia do stanu duchownego, z czym zwierzył się raz i drugi jednemu bliskiemu koledze, autorowi niniejszego opowiadania.

Tak więc początek był zrobiony i ks. Kazimierz opuścił Myślenice, by udać się na dalsze poszukiwania.

W tym to prawdopodobnie czasie należy umiejscowić pozyskanie dla Zgromadzenia ks. Ignacego Stoszki, naszego proboszcza z Płaszowa, który wówczas był zaledwie kilkunastoletnim chłopcem. Ks. Wiecheć spotkał się z nim po raz pierwszy w jego rodzinnej wiosce, Dołach k/Brzeska. Zastał

go przy grabieniu siana — a było to około godziny trzeciej po południu — i bez wstępu zapytał wprost, czy pojedzie do Włoch, na co ten odpowiedział, że tak.

W jaki sposób ks. Kazimierz Wiecheć trafił w tamtejsze strony, trudno to dzisiaj ustalić. W każdym razie, zanim przybył do Dołów był w Porąbce Uszewskiej, u tamtejszego księdza proboszcza, ks. Bobczyńskiego — przeznaczonego kapłana, który chociaż w pierwszej chwili przyjął go dość nieufnie, to jednak następnie wskazał mu adres owego studenta w Dołach, który służył mu niekiedy do Mszy św.

Chociaż wyjazd do Włoch naszemu studentowi się uśmiechał, to jednak postanowiono się namyślić. Po odjeździe ks. Kazimierza Wiechecia nasz student udał się przeto po radę do swego księdza proboszcza, który mu odpowiedział że dobrze by było, by tam pojechał, gdyż tam mógłby osiągnąć swój ideał. Wobec tego postanowienie zostało powzięte i zakomunikowane ks. Kazimierzowi Wiecheciowi, za następnym jego przybyciem do Dołów.

Ów drugi kandydat ukończył przed wakacjami III klasę gimnazjalną w Brzesku. Zresztą był on uczniem tego gimnazjum zaledwie od roku, gdyż pierwszą i drugą klasę przerabiał on w Dołach prywatnie, przy pomocy tamtejszego kierownika szkoły. Łaskę powołania złożoną w jego duszy rozbudził, zdaje się, tamtejszy ksiądz wikary i to prawdopodobnie już w drugiej klasie szkoły powszechnej.

Jeżeli idzie o wyjazd do nowicjatu — którego fotografię, jak i zdjęcie grupy nowicjuszy włoskich oglądał przy pierwszym spotkaniu się z Kazimierzem Wiecheciem, rodzice zostawili mu zupełną swobodę. Ojciec powiedział mu nawet: „Rób jak chcesz, żebyś później nie narzekał. Chleb w domu masz i nie wypędzamy cię”. Natomiast jeden z krewnych, starał się wyjazd ten rozradzić.

Nowo pozyskanego kandydata ks. Kazimierz Wiecheć na początku roku szkolnego zabrał do Krakowa, zapisał do IV

klasy w gimnazjum św. Anny — i umieścić na stacji w bursie ks. Gołby na Zakrzówku — gdzie obecnie mieści się klasztor księży salwatorianów. I w tej także bursie uczniowie dożywiali się pokątnie zdobytą przygodnie brukwią. Jeszcze po wielu latach ks. Ignacy Stoszko scj, już jako proboszcz naszej parafii w Płaszowie, brukiew tę wspominał, oraz to, że ich opiekun ks. Gołba, profesor języka hebrajskiego na UJ, swe posiłki spożywał przy tym samym stole co jego wychowankowie.

Na krótko przed wyjazdem do Włoch, nasz student wyjechał do Dołów, aby pożegnać się z rodziną.

Już po rozpoczęciu roku szkolnego, zgłosił się do ks. Kazimierza Wiechecia trzeci kandydat do nowicjatu, autor niniejszego opowiadania. Wkrótce po powrocie z wakacji dowiedział się o ks. Kazimierzu Wiecheciu i o możliwości wyjazdu do Włoch — od Juliana Lubowieckiego, kolegi z tej samej klasy i ławki, a także sąsiada z profesorskich notesów, z którym żył z bliska także i poza szkołą. Chłopcy ci kolegowali z sobą od dosyć dawna i dziś jeszcze obydwaj pamiętają transakcję, dokonaną pewnego dnia między sobą, której przedmiotem był, z jednej strony jeź, schwytyany wieczorem na ścieżce wśród zboża pod Plebańską Górą, a z drugiej dwie świeczki i 1 marka dopłaty, wszystko niewiadomego pochodzenia.

Julian pożyczał niekiedy swemu koledze książki do czytania, wyjęte z biblioteki rodzinnej, gęsto upstrzone rysunkami galopujących husarzy, Indian, Pana Wołodyjowskiego i tym podobne, do których to rysunków miał on specjalne zamiłowanie. Także marginesy jego podręczników szkolnych i zeszytów były tych rysunków pełne. Miał on specjalną łatwość w opracowaniu zadań z języka polskiego.

To on wskazał opowiadającemu drogę do Zgromadzenia. Jak to zobaczymy niżej, w kilka lat później, tę samą rolę odegrali kolejno jego dwaj młodsi bracia, Adam i Tadeusz,

także uczniowie z tamtejszego gimnazjum, pierwszy względem ks. Mariana Cichonia scj, drugi względem ks. Stanisława Michalika scj.

Sprawą paszportów zajął się energicznie pan Lubowiecki. Trzeba było w tym celu postarać się przede wszystkim do wyrobienia tych dokumentów o fotografię. Rzecz ta w owym czasie nie była łatwa do przeprowadzenia. Postanowiono zwrócić się z tym do miejscowego proboszcza. Po namyśle ustawił on obydwu petentów w jednym mieszkaniu, a sam z aparatem usadowił się w drugim. Operacja ta trwała bardzo długo, lecz ostatecznie owe zdjęcia, w ten sposób przez próg dokonane, po kilku dniach oczekiwania, były gotowe. Wkrótce były gotowe i paszporty. Przesłano je ks. Wiecheciowi, który miał z nimi udać się do Warszawy, by postarać się o wizy.

Po raz pierwszy trzech aspiranci spotkali się razem, dopiero w przeddzień wyjazdu za granicę, w Uroczystość Wszystkich Świętych po południu, w klasztorze OO. Reformatów Krakowie.

Ci z Myślenic przybyli do Krakowa furmanką, dostarczoną ze wsi. Towarzyszili im ich ojcowie. Po nocy spędzonej u Lubowieckich, wyjechano przed dniem. Czas był mroźny, a na polach leżała już gruba warstwa śniegu. Nasi podróżni skostnieli zupełnie od zimna, tak że po przybyciu na Plac Szczepański, trudno było im utrzymać w rękach filiżanki z herbatą. Czekał tu na nich ks. Wiecheć.

Po południu furmanka, która ich przywiozła, opuściła Kraków, uwożąc z sobą rodziców, a oni zostali, by rozpocząć zupełnie nowe i zupełnie nieznanne sobie życie. Miało to być życie pod każdym względem bardzo nowe, boć przecież, przynajmniej jeden z nich, nigdy dotąd pociągami nie jechał, trawmawaj i ruch wielkowiejski widział po raz pierwszy, a o życiu zakonnym obydwaj nie mieli prawie żadnego pojęcia. Świadczyć może o tym choćby owa rada, jaką jeden z nich, więcej pod tym względem uświadomiony dał drugiemu, aby

mianowicie lepiej opanował alfabet Morsego, by mogli przy-
najmniej w nocy, porozumiewać się przez ściany stukaniem,
„gdyż tam podobno rozmawiać nie wolno”.

Na kolację ks. Wiecheć zaprowadził swych aspirantów do
swojej stryjenki. Noc spędzono w klasztorze OO. Reformatów,
w zimnej celi, gdyż w zepsutym piecu nie chciało się palić.
Ułożono się we trzech na dwóch łózkach.

Nazajutrz, a był to Dzień Zaduszny, ks. Wiecheć przed
dnem odprawił trzy Msze św., do których po kolei służyli
mu owi aspiranci. Nie wszystko wprawdzie było w porządku
z ministranturą i z dzwonekami, lecz nadrabiano miną.

O 7³⁰ zajęto miejsce w wagonie II klasy pociągu wiedeń-
skiego. Trzecią klasą nie można było o tej porze roku wybierać
się w dłuższą podróż, gdyż po wojennym zużyciu taboru
kolejowego, w wielu wagonach brakowało jeszcze szyb. Na
siatce umieszczono bagaże. Nie wiele tam tego było. Oprócz
niedużej walizki ks. Wiechecia, była jedna jeszcze starsza
walizka, jeden kosz-walizka z wikliny i kuferek pomalowany
na żółto. Kuferek ten zrobiono przed czterema laty, z desek
odbitych z szopy na siano. Deski były cienkie i suche, więc
na ten cel nadawały się. Kuferek ten miał zwiedzić Albisole,
Albino, Bolonię, Brukselę, gdyż dopiero w cztery lata później,
O. Peffer, wydał na niego nieodwołalny wyrok. Wkrótce
poszedł w zapomnienie. Dopiero powracającemu do rodzinnej
miejsowości prymicjantowi po latach, owa dziura w szopie
powstała po wyjęciu desek, przypomniała o owym żółtym
kufierku, towarzyszeni młodzieńczych lat.

Na stacji granicznej, z powodu istniejących wówczas ogra-
niczeń dewizowych, postawiono naszym podróżnym pytanie,
ile pieniędzy mają ze sobą, a najmniejszego poddano nawet
rewizji osobistej. Zaczęła się ona od tego, że kazano mu
wyłożyć na stół zawartość jego kieszeni. Wkrótce na stole
znalazła się poważna ilość łupin z orzechów, w które podróżni
nasi obficie się zaopatrzyli, kilka sznurków i innych drobiaz-

gów, które zazwyczaj chłopcy noszą, a od których nasz aspirant, opuszczając świat nie zdążył się jeszcze uwolnić. Dla pewności urzędnik przeszukał starannie plecy jego kurtki.

Za to z czeską kontrolą celną, odbytą w pociągu, nasi podróżni nie mieli już żadnego kłopotu. Nie mogło być zresztą inaczej. Widać było jednak, że urzędnik, dokonujący rewizji, był nieco zdziwiony wielką ilością zapasów żywnościowych,

Wybuch wesołości u naszych podróżnych wywołało odezwanie się sąsiadki, która zapytywana przez urzędnika celnego co wiezie w torbie, odpowiedziała, że tam jest „ślepicą” (po czesku kura).

Nie obeszło się jednak w tej podróży bez nader przykrego wypadku. Oto na granicy czesko-austriackiej, do której przybyło wśród nocy, podczas przechodzenia od pociągu stojącego po jednej stronie granicy, do drugiego stojącego po stronie austriackiej, ks. Wiecheć zgubił portfel z pieniędzmi, które nieopatrznie włożył do dolnej kieszeni sutanny. Chodziło o znaczą sumę, gdyż rodziny aspirantów wypłaciły na podróż kwoty znacznie przewyższające jej koszty. Przez jakiś czas ks. Wiecheć nie mógł pogodzić się z tą stratą i kilkakrotnie w przedziale powtarzał: „Mein Geld! Mein Geld”. Na szczęście miał jeszcze przy sobie pewną niewielką kwotę, która starczyła mu na pokrycie kosztów dalszej drogi.

Z powodu kilkugodzinnego opóźnienia się pociągu nasi podróżni przybyli do Wiednia dopiero wśród nocy i znaleźli się przez to w dosyć przykrej sytuacji. Pociąg, którym mieli udać się do Wenecji, odchodził dopiero ku wieczorowi dnia następnego. Hotele były pozamykane, na dworze zaś sypał śnieg z wiatrem. Przeczekano więc na ulicy kilka godzin. Dopiero gdy nad ranem otwarto pobliską kawiarnię, schroniono się do niej. Rano dorożką przeprowadzono się wraz z bagażami na drugi dworzec, gdzie przeczekano cały dzień.

Mali emigranci skorzystali z tej przerwy w podróży, by przesłać swoim rodzinom kilka pierwszych wieści o sobie.

Naturalnie, że nic nie wspomnieli o nieszczęściu, które zdarzyło się im w drodze, przez co w widoczny sposób urosli w oczach swojego opiekuna, który nie omieszkał rzucić okiem na wysłaną korespondencję. Wieczorem wyruszono w dalszą drogę.

Scenę, która na zawsze skojarzyła się im ze wspomnieniem przekroczenia granicy włoskiej, był widok, na jednej ze stacji włoskich, grupa młodzieńców z mandolinami w rękę, wesóło grających i płaśających na peronie.

Po kilku dniach podróży, której dokładnego przebiegu po tylu latach nie można już dzisiaj odtworzyć — nasi podróżni, przez Wenecję, Mediolan i Genuę, dotarli wreszcie do celu i pewnej nocy pociąg, biegnący tutaj samym brzegiem morza, wyrzucił ich na małej stacji. Na zawsze utkwiła im w pamięci owa ciepła, księżycowa noc. Z ogrodów, pośród których szli, lekki wiatr niósł jakiś dziwny zapach.

Po półgodzinnym może marszu, podróżni dotarli wreszcie do nowicjatu, nad którą unosiła się wieża znajdującego się obok kościoła. Było to 6 listopada 1920 roku, o godzinie trzeciej nad ranem.

Po dłuższym dzwonieniu otwarto się okno na piętrze, wychyliła się jakaś głowa i padło jakieś pytanie. „Padre Casimiro”, brzmiała odpowiedź ks. Wiechecia. — Ach, Padre Casimiro bene, bene, subito”. I okno zamknęło się, a w chwilę potem otworzyły się drzwi, a w nich ukazała się postać zakonnika, z grubymi, obrzękłymi wargami. Jeden z aspirantów, widząc przed sobą osobą duchowną, skwapliwie ucałował jego rękę, lecz ks. Wiecheć powstrzymał innych, mówiąc że to brat. Był to jeden z nowicjuszy, zacny fra. Cerolamo (br. Hieronim). Zaprowadził on podróżnych zdrożonych na piętro, do pojedynczych cel. Zmęczeni kilkudniową poniewierką młodzieńcy wkrótce zasnęli, pomimo nader prymitywnych i niewygodnych łóżek.

Jednego z nich obudziły strzały, które rozległy się pod jego oknem. Był już dzień. Chcac zobaczyć co się dzieje,

wyskoczył z łóżka i pobiegł do okna. Zobaczywszy tuż pod oknem kilka trzcin rosnących nad potokiem i męczyznę ze strzelbą, wywnioskował, że poluje on na kaczki. Później dopiero miał się dowiedzieć, że najgrubszą zwierzyną żyjącą w tych stronach są wróble.

Przywitanie się z ks. rektorem i mistrzem nowicjuszy w jednej osobie, O. Delborgo — odbyło się u zbiegu dwóch korytarzy pod wiszącym na ścianie zegarem. Był on w wyszarżanym płaszczu i uśmiechnięty.

Wielkie wrażenie zrobił na chłopcach przybyłych z Polski, już okrytej owego roku śniegiem, widok kilku drzew pomarańczowych oblepionych dojrzewającym o owej porze owocem.

Ks. Wiecheć, pomimo że śpieszno mu było do scholastykatu, gdzie rok szkolny już się rozpoczął, pozostał jednak ze swoimi podopiecznymi przez kilkanaście dni, gdyż chciał osobiście czuwać nad ich zaaklimatyzowaniem się w obcym środowisku i poduczyć ich nieco po włosku.

Pewnego razu zaprowadził ich do odległej o kilkanaście kilometrów Savony, aby kupić jednemu z nich obuwie, a przy tej okazji także pokazać im port.

Podczas gdy ks. Wiecheć czynił w sklepie zakupy, jeden z aspirantów pozostał na placu i z zaciekawieniem przyglądał się rozłożonym na straganach nie znanym sobie owocom. W tem przypomniał on sobie, że ma w kieszeni srebrnego lira, który przez sąsiada przywieziony podczas wojny z włoskiego frontu do Polski, teraz po kilku latach, wracał znów do ojczyzny w kieszeni malutkiego emigranta. Lecz co zań kupić? Wybór był dość duży. Nie można jednak było namyślać się zbyt długo, gdyż ks. Wiecheć lada chwila mógł wyjść ze sklepu, a wtedy nie wiadomo co stałoby się z ową srebrną monetą. Wobec tego nasz chłopiec podszedł zdecydowanie do straganu, podał przekupniowi monetę, wskazując w milczeniu palcem na stos orzechów laskowych. „Per un franco”? (za całego franka?) — zapytał straganiarz.

— „No, polacco” (nie, Polak), padła odpowiedź chłopca, który nic jeszcze prawie nie rozumiejąc po włosku, sądził że poczciwy kupiec pyta go czy jest Francuzem. Ponieważ w drodze powrotnej ów amator laskowych orzechów zaczął nimi częstować swych towarzyszy, cała ich transakcja wykryła się, dowiedziano się również i o powyższym dialogu.

Wieczorem, w wigilię swojego odjazdu do scholastykatu, ks. Wiecheć przeszedł po celach przywiezionych przez siebie aspirantów, by na pożegnanie rzec im słowo zachęty. Mówił im o powołaniu, nawiązując do słów wyrzeczonych do Piotra: „Odtąd już ludzi łowić będziesz”.

Odjeżdżał jednak z dosyć ciężkim sercem, gdyż jego aspiranci, pomimo iż byli w klasztorze już ponad dwa tygodnie, niewielkie dotąd, jego zdaniem, w doskonałości poczynili postępy, co im zresztą, pewnego razu bez ogródek powiedział.

Tak zakończyła się pierwsza wyprawa rekrutacyjna ks. Kazimierza Wiechecia do kraju w roku 1920.

Rozdział czwarty

Wyprawy rekrutacyjne ks. Kazimierza Wiechećcia do kraju w latach 1921–1928 — artykuł-odezwa o naszym Zgromadzeniu w „Gazecie Kościelnej” (1 lutego 1921) — wyprawa do kraju w roku 1921 i wstąpienie do Zgromadzenia br. Paschalisa Świdra — rozczarowania i przykrości — podróż do Polski w 1922 roku i przybycie do nowicjatu aspiranta Mariana Cichonia — „chude lata” — wyprawa w roku 1926 i przyjazd do Albisoli aspirantów Franciszka Nagyego i Franciszka Solaka — lata 1927 i przyjazd do Albisoli aspirantów Michała Wietechy i Franciszka Zawadzińskiego — lato roku 1928 i przybycie do nowicjatu Wincentego Turka i Stanisława Michalika — bilans wypraw rekrutacyjnych ks. Kazimierza Wiechećcia — przebieg chronologiczny jego życia we Włoszech.

Podczas ostatniego roku swych studiów teologicznych w bolońskim scholastykacie ks. Kazimierz Weiecheć, pomimo pochłonięcia nauką — a nie umiał on niczego czynić poławicznie — nie zasypiał sprawy przeszczerpienia Zgromadzenia na ziemi polskie. Na jego to prośbę ks. Mateusz Jeż, wciąż jeszcze przebywający na Podlasiu, umieścił w „Gazecie Kościelnej” — dwutygodniku wychodzącym wtedy we Lwowie, organie duchowieństwa polskiego, której był stałym korespondentem — artykuł-odezwę zatytułowany: „Zgromadzenie Księży Serca Jezusowego” (zob. Dodatek). W artykule tym ks. Mateusz Jeż zaznajamiał czytelników z naszym Zgromadzeniem i zachęcał młodych księży, którzy by usłyszeli głos powołania, by wstąpili do nas i w ten sposób przyspieszyli chwilę przeszczerpienia do naszej Ojczyzny Zgromadzenia poświęconego Najśw. Sercu Jezusowemu.

Z okazji otrzymania egzemplarza „Gazety Kościelnej” z wymienioną odezwą, ks. Kazimierz Wiecheć napisał do jej autora list z podziękowaniem — zamieszczamy go w Dodatku — w którym m.in. donosi, iż pod koniec czerwca znów wybierze się do kraju na poszukiwanie powołań. List ten i wymienioną wyżej odezwę zamieszczamy w Dodatku.

Zamierzona wyprawa rzeczywiście doszła do skutku, po zakończeniu roku szkolnego, który dla Kazimierza Wiechećia był czwartym i ostatnim rokiem teologii.

Udając się tego lata 1921 roku do kraju, ks. Kazimierz Wiecheć spodziewał się zapewne, iż tym razem uda mu się przyprowadzić do Albisoli jednego kapłana. Liczył bowiem na echo wywołane wśród duchowieństwa polskiego piękną odezwą ks. Mateusza Jeża.

Artykuł ten nie dał — niestety — praktycznych rezultatów. Zgłaszali się wprawdzie w tym roku i w następnych kapłani. Do wyjazdu za granicę jednak nie doszło.

W jednym wypadku rzecz rozbiła się o to, że ks. Wiecheć na umówione spotkanie nie przybył. Chodziło tu o ks. Matylewskiego, obecnie Paulina na Jasnej Górze, który wówczas jeszcze był kapłanem diecezjalnym. On sam, już jako paulin, o tym epizodzie ze swego życia opowiedział jednemu z naszych współbraci.

W innym wypadku młodemu kapłanowi, który pragnął wstąpić do Zgromadzenia, stanęła na przeszkodzie nierozsądna matka. Niedługo potem zasmucił on Kościół swoją apostazją.

Były, zdaje się, inne jeszcze zgłoszenia kapłanów np. ks. Mirka, obecnie jezuita, w jakich to jednak było okolicznościach i dlaczego zgłoszenia te nigdy nie miały praktycznych następstw, nie można już tego dzisiaj wyświecić. O ile pamięć nie zawodzi, zdaje się, iż swego czasu ks. Kazimierz opowiadał, iż w jednym czy drugim wypadku stanął na przeszkodzie ordynariusz.

Pomimo wszystko ks. Kazimierz Wiecheć także i tym razem powrócił z kraju z gromadką aspirantów do nowicjatu. Pierwsza trójka, przywieziona przez niego do Albisoli w listopadzie poprzedniego roku, miała za sobą dopiero kilka miesięcy nowicjatu, gdy pod koniec września zjawił się on w nowicjacie z 5 nowymi kandydatami. Trzej z nich byli aspirantami na kleryków, dwaj na braci. Między tymi ostatnimi był Mikołaj Świder, obecnie br. Paschalis.

W ten sposób owego roku 1921 w pewnej chwili nowicjaty włoski w Albisoli gościł w swych murach 8 Polaków, nowicjuszy i aspirantów.

Jeżeli w pierwszej chwili z wyników swej wyprawy ks. Kazimierz Wiecheć zdawał się być zadowolony — a dał temu wyraz powiedzeniem: „Tym razem przywożem chłopców a nie chuchra” — to jednak w dwa tygodnie później, jeszcze przed opuszczeniem Albisoli, spotkało go przykre rozczarowanie. Oto wykryło się, że dwóch przywiezionych przez niego aspirantów, zaczyna zdradzać chęć ucieczki do Francji. Bojąc się ich ujemnego wpływu na resztę Polaków, ks. Wiecheć w tym samym dniu, w którym rzecz wykrył, nie tracąc czasu na daremne jego zdaniem perswazje i próby nawracania, odprowadził obydwu młodzieńców na stację, kupił im bilety i wyprawił do kraju. Z paszportami nie było kłopotów, gdyż nie utraciły jeszcze swej ważności. Młodzieńcy ci pochodzili, zdaje się z Krakowa. Jeden z ich zmarł niedługo potem. Wiadomość o jego śmierci wywarła na nowicjuszach głębokie wrażenie.

W kilka miesięcy później w lutym 1922 roku odesłano do kraju także jednego ze wspomnianych dwu kandydatów na braci. Pochodził on z Rzeszowa, z ul. Barnardyńskiej. Było to rozbawione dziecko, na brata się nie nadające. Żartowano z niego w nowicjacie, gdyż podczas załatwiania sprawunków w Albisoli, wykradał on niekiedy część obroku osłom, żujących z worków strąki chleba świętojańskiego, którymi to strączkami częstował później swoich współbraci.

Do Krakowa odwiózł go ów postulant br. Świder. Zbudował on niemało swoich współbraci tym, że nie skorzystał z nadarżającej się niespodziewanej okazji, by odwiedzić swoich.

Br. Świder pochodził z Przybyszówki pod Rzeszowem. Z ks. Kazimierzem Wiecheciem spotkał się on po raz pierwszy w lecie 1921 roku u OO. Bernardynów w Rzeszowie. A oto w jakich okolicznościach.

Ks. Wieheć przyjechał wtedy do Staromieścia, podmiejskiej rzeszowskiej wioski, skąd zgłaszał się do Zgromadzenia pewien młody kapłan i zatrzymał się w wymienionym klasztorze. Wdawszy się w rozmowę z jednym z tamtejszych braci, organistą, dowiedział się od niego, że w warsztatach kolejowych pracuje pewien 26-letni ślusarz, nazwiskiem Mikołaj Świder, który pragnie wstąpić do klasztoru na brata. Na prośbę ks. Wiehecia, jego interlokutor posłał do niego, aby po pracy przyszedł do klasztoru. Tam to w klasztorze OO. Bernardynów, w celi owego brata organisty, ks. Kazimierz Wieheć, i ten który miał zostać br. Paschalisem, spotkali się po raz pierwszy. W kilka tygodni potem nowy kandydat był już w Albisoli.

Po odesłaniu trzech wyżej wymienionych młodzieńców, z owych pięciu kandydatów, przywiezionych przez ks. Wiehecia w roku 1921, nie pozostało więc w nowicjacie jak tylko dwóch. Nieco później, bo już po profesji, jeszcze jeden miał opuścić Zgromadzenie w następujących okolicznościach.

W lecie 1923 roku, scholastyk boloński bawił na wakacjach w miejscowości Ozzano, pod Bolonią, wynajętym na ten cel domu, zwanym Villa dei Spanioli. Oprócz O. Delborgo, rektora scholastykatu, był tam wtedy także i ks. Wieheć, co dopiero przeniesiony z Albino do Bolonii.

Otóż pewnego ranka rozeszła się po domu pogłoska, że br. Paweł — takie było bowiem imię owego Polaka — gdzieś się zapodział. Ks. Wieheć mocno zaniepokojony przeszukał wraz ze scholastykami dom, okliczne krzaki, nie zamieszkał

nawet zaglądnąć do studni. Wszystko na próżno. Dopiero po południu któryś ze współbraci przypomniał sobie, że ostatnio br. Paweł wspominał raz i drugi o pewnym starym zakonie. Idąc po tym tropie, ks. Wiecheć odnalazł swego zbiega w Bolonii, w klasztorze wspomnianego zakonu.

Nie zabawił on tam jednak długo, gdyż generał zakonu odmówił mu przyjęcia. Przeniósł się wtedy do innego jeszcze zakonu, a wreszcie po jakimś czasie zjawił się z powrotem u ks. Wiehecia, przebywającego wówczas, zdaje się, w Albino, z prośbą o przyjęcie. Odesłano go do kraju. Była to jednostka psychicznie anormalna. Z prawdziwym mistrzostwem opowiadał on niekiedy o swoich rzekomych widzeniach.

Opisana historia jest tylko małą i niewinną próbką niepokojów, przykrości i cierpień, na jakie narażali ks. Wiehecia, niektórzy z przywiezionych przez niego młodzieńców z kraju.

I tak, nieco później, jeden z nich, już po nowicjacie nadużył zaufania przełożonych, zbiegł z domu, prowadził życie hochsztaplera, podając się najpierw za księdza z naszego Zgromadzenia, następnie za księdza profesora uniwersytetu mediolańskiego. Wreszcie policja włoska odstawiła go do granicy, jako uciążliwego obcokrajowca. Przełożeni mieli z tego powodu wiele przykrości. Najwięcej jednak przy swojej wielkiej wrażliwości nacerpiał się wtedy ks. Wiecheć. Nie zrażał się on jednak tymi niepowodzeniami, będąc zapewne zdania, że gdzie drzewa robią tam i trzaski lecą. W dalszym ciągu co roku podczas letnich wakacji udawał się do kraju dla rekrutacji powołań.

O ile pamięć nie zawodzi, w roku 1922 wyjeżdżał on z Albisoli do Polski aż dwa razy. Jeden z tych wyjazdów — trudno dziś ustalić który — był, zdaje się, spowodowany zgłoszeniami do nowicjatu polskich księży. Z wypadu tego wrócił ks. Wiecheć do Włoch, niestety, sam. Z drugiej natomiast podróży przywiózł do Albisoli, we wrześniu aspiranta Mariana Cichonia, szczupłego studencika, z ukończoną IV

klasą gimnazjalną. A oto w jaki sposób zetknął się on z ks. Kazimierzem Wieheciami.

Urodzony w Izdebniku k/Kalwarii, po ukończeniu tamże szkoły powszechnej, wraz ze swoim starszym bratem Władysławem uczęszczał do znanego nam już gimnazjum w Myślenicach. Był w trzeciej klasie, gdy pewnego dnia od swego kolegi Adama Lubowieckiego dowiedział się, że niejaki ks. Kazimierz — tak najchętniej w rodzinie Lubowieckich nazywano ks. Wiehecia, by uniknąć wymawiania jego odstrasającego nieco nazwiska — że więc niejaki ks. Kazimierz, który przyjechał z Włoch, zabrał jego brata Juliana na misje zagraniczne. Ponieważ studencik ten od dawna już marzył o misjach, poprosił Adama, aby zgłosił ks. Kazimierzowi jego zamiar, gdy on znowu do jego rodziny przyjedzie.

Od tego czasu upłynęło kilkanaście miesięcy. Pewnego dnia, było to podczas wakacji, Marian był na rzeczce Gościbi, przepływającej przez jego rodzinną miejscowość, gdy wtem dano mu znać, że jakiś ksiądz z Włoch go szuka. „Ach, to Ty! Jesteś gotów? — zawołał przy powitaniu ks. Wieheć. „Idę po kapelusz” — brzmiała odpowiedź. Słyszając to mama, Marianna, wybychnęła płaczem. Nic ona dotąd o zamiarze syna nie wiedziała.

„No, nie tak prędko, — uspokajał ks. Wieheć. — Musimy najpierw przygotować paszport i wyprawę”.

Już od pierwszego spotkania na rodzicach Mariana ks. Wieheć wywarł bardzo miłe zrobił wrażenie, a swoją uprzejmą wesołością zupełnie ich zawojował. W kilka lat później, dali mu dowód wielkiego zaufania, pożyczając mu bezinteresownie, w chwili naprawdę dla niego ciężkiej, wszystkie swoje oszczędności, dorobek całego życia, przeznaczony na kupno własnego domku.

W dwa tygodnie po swym pierwszym spotkaniu z ks. Kazimierzem Wieheciami Marian Cichoń był już w nowicjacie. Przybywając do Albisoli zastał tam z Polaków, br. Pa-

schalisa oraz br. Pawła, o którym wyżej była mowa. Pierwsza trójka Polaków opuściła już nowicjat przed kilkoma miesiącami.

W rok później, latem 1923 roku, a więc jeszcze podczas pobytu w nowicjacie brata Mariana Cichonia, ks. Kazimierz Wiecheć z oworocznej wyprawy przyprowadził do Albisoli znów czterech studentów, a mianowicie dwóch z myślenickiego gimnazjum: Józefa Wielgusa i Kazimierza Kudasa, oraz Ambroziaka, pochodzącego zdaje się, skądś z Wielkopolski i ochrzczonego Izraelitę, prawdopodobnie z Małopolski, nazwiskiem Giske. Wszyscy oni mieli z czasem Zgromadzenie opuścić. Giske odszedł z postulatu, Ambroziak wkrótce po nowicjacie; Kudas z powodu braku zdolności podczas studiów licealnych. Ostatni, rodem z Sieprawia, w 20 lat później. Wkrótce po wystąpieniu zmarł jako kapłan diecezjalny na Ziemiach Zachodnich.

Miesiące wakacyjne 1924 roku ks. Kazimierz Wiecheć spędził razem ze scholastykatem bolońskim, przebywającym wtedy na letnisku w biskupiej willi w Torrano k/Imoli, o ile pamięć nie myli, owego roku z niewiadomych powodów do kraju chyba nie wyjeżdżał. Zresztą zajęty był wtedy wyrabianiem paszportów dla br. Stoszki i br. Majki, którzy na resztę wakacji mieli udać się do Belgii, a następnie na studia teologii do Strasburga.

Ponieważ owego lata w willi tej znaleźli się także bracia Lubowiecki, Cichoń, Kudas i br. Paschalis Świder, pewnego dnia ks. Wiecheć zaprowadził całą tę swoją trzódkę do fotografa w Imoli. Jest to pierwsze, najstarsze grupowe zdjęcie polskich sercanów.

Zdaje się, że to w roku 1925 ze swej wyprawy do Polski — nie zapisała się ona jednak w pamięci żadnego ze Współbraci — ks. Kazimierz Wiecheć przyprowadził do Albisoli kandydata na kleryka, nazwiskiem Rajczewski. Z powodu zaburzeń psychicznych kandydat ten zmuszony był przerwać

nowicjat. Po wyjeździe z Albisoli przebywał on przez pewien czas w Bolonii. Pozwolono mu nosić sutannę, gdyż spodziewano się iż do zdrowia powróci. Odeśłany do Polski jesienią 1928 roku, podczas naszego pobytu przy ul. Koszykarskiej w Płaszowie dostał pomieszania zmysłów, a po odzyskaniu zdrowia nasz dom opuścił.

Tak więc rok 1923, 1924 i 1925, były to „lata chude”, które zgrupowania naszego w liczbę nie powiększyły, ks. Wiecheciowi zaś przysporzyły tyle trosk i przykrości.

Za to trzy ostatnie wyprawy rekrutacyjne w latach 1926–1928, dały Zgromadzeniu kilka cennych powołań, które w historii naszych początków wybitną miały odegrać rolę.

21 września 1926 roku przyprowadził ks. Wiecheć do Albisoli czterech aspirantów na kleryków: obecnego ks. Franciszka Nagyego z Bierunia Starego, który wówczas był studentem z ukończoną V klasą gimnazjalną, Franciszka Solaka z Tarnowa, Ciocha Izydora z rzeszowskiego i Mariana Zawadzkiego z Krakowa.

Franciszek Nagy, dowiedział się o naszym Zgromadzeniu, o ks. Kazimierzu Wiecheci i o możliwości wyjazdu do Włoch, z ogłoszenia, zamieszczonego w „Głosie Narodu”, dzienniku, organie Chrześcijańskiej Demokracji, wychodzącym w Krakowie. W odpowiedzi na jego list skierowany na ul. Św. Marka, ks. Kazimierz Wiecheć przybył pewnego dnia do Bierunia i wkrótce porozumiano się.

Drugi z aspirantów, Franciszek Solak, dowiedział się o Zgromadzeniu z ogłoszenia, które ks. Wiecheć umieścił w „Dzwonie Kościelnym”, krakowskim tygodniku diecezjalnym. Z ks. Kazimierzem Wiecheciem zobaczył się po raz pierwszy w Krakowie, w domu Księży Emerytów, przy ul. Św. Marka, prawdopodobnie w miesiącu lipcu (1926).

Mając zniżkę kolejową, aspirant ten już przed wyjazdem za granicę odbył podróż do Warszawy po wizy paszportowe: swoją, ks. Wiechecia i przyszłych, nieznanym sobie jeszcze

towarzyszy podróży. Wszyscy aspiranci spotkali się dopiero na stacji granicznej w Dziedzicach. Było to dnia 19 września 1926 roku.

W piękną księżycową noc nasi podróżni przybyli szczęśliwie do Albisoli. Na stacji, pomimo spóźnionej pory, czekał na nich wraz z braciszkiem, bawiący w nowicjacie na wakacjach scholastyka br. Zagaria — ten sam, który w przyszłości miał zostać prowincjałem i autorem książki: „*Vis perfectus esse*”.

Po przyjeździe do nowicjatu, zmęczonymi podróżnymi opiekował się O. Albani, młodziutki prymicjant. Miał on później zostać dzielnym misjonarzem w Afryce. Owey wrześniowej nocy roku 1926 w tym zakątku Ligurii znów można było usłyszeć polską mowę, która zamilkła tu już przed kilkoma miesiącami. Ostatnim Polakiem, który tu przedtem bawił, był zdaje się Rajczewski.

Już w jakieś trzy tygodnie potem, ks. Wiecheć, który chwilowo pełnił obowiązki socjusza, zmuszony był odesłać do kraju jednego z co dopiero przywiezionych przez siebie postulantów — Mariana Zawadzkiego. Także i drugi z nich, Izidor Cioch, miał opuścić Zgromadzenie w lipcu 1928 roku.

Wyprawa wakacyjna w roku 1927 dała ks. Wiecheciowi trzech nowych aspirantów: Michała Wietechę z Glinika Polskiego k/Jasła, który w roku 1947, a więc dokładnie 20 lat później, miał zostać pierwszym prowincjałem naszego zgrupowania, Franciszka Zawadzińskiego z Bolechowic k/Krakowa, oraz Wilczyńskiego Jana z Dębicy.

Nieco później, bo w lutym 1928 roku, przybył jeszcze czwarty aspirant, Andrzej Dziedzic, pochodzący z okolic Żywca. Przyprowadził go do Albisoli scholastyk Marian Cichoń scj, wracający z kraju.

Z czwórki tej dwaj ostatni mieli opuścić Zgromadzenie: Wilczyński dla braku zdrowia, jeszcze podczas nowicjatu, Dziedzic zaś po profesji, z ul. Koszykarskiej, zdaje się w roku 1929.

Pierwszy z tej czwórki Michał Wietecha, o naszym Zgromadzeniu i o ks. Wiecheciu usłyszał po raz pierwszy od swojego stryja, wspomnianego już wyżej ks. dra Michała Wietechy, prefekta szkół krakowskich, u którego wtedy mieszkał. Ten zaś poznał ks. Wiehecia u SS. Wizytek przy ul. Krowoderskiej, gdzie Mszę św. obydwaj odprawiali. Niekiedy zapraszał on nawet ks. Wiehecia ze Mszą św. do internatu św. Rodziny, przy ul. Pędzichów, przy którym to zakładzie mieszkał.

Myśl wyjazdu do Włoch powstała u tego młodzieńca w kl. VI gimnazjalnej. Uczęszczał on do gimnazjum znajdującego się przy ul. Krupniczej. Myśl wyjazdu za granicę zrodziła się pod wpływem kolegi tej samej klasy, który również miał zamiar do Włoch wyjechać, lecz później się rozmyślił. Jego stryj ks. dr Michał Wietecha, próbował bezskutecznie temu wyjazdowi się sprzeciwić.

Drugi z aspirantów przywiezionych owego roku do Albisoli, Franciszek Zawadziński, dowiedział się o możliwości wyjazdu do Włoch od swego kolegi szkolnego Albina Kowalika, ten zaś z ogłoszenia w którymś z czasopism. Z ks. Wiecheciem zobaczył się zaś po raz pierwszy w Krakowie, przy ul. św. Marka 10, w miesiącu czerwcu 1926 roku. Owego jednak roku do wyjazdu nie doszło, gdyż ks. Wieheć radził mu ukończyć V klasę gimnazjalną. Tak też postąpił.

Nadszedł pamiętny w historii naszych początków rok 1928, rok naszego osiedlenia się na ziemi polskiej. Ks. Wieheć przybył do Krakowa już 1 kwietnia, by rozpocząć poszukiwania za jakimś miejscem, gdzie moglibyśmy rozpocząć naszą działalność. Osiadł jak zwykle w Domu Księży Emerytów przy ul. św. Marka, którego rektorem był ks. Mateusz Jeż.

W kilka dni potem, podczas ferii wielkanocnych, zjawił się u niego, aspirant nazwiskiem Michalik Stanisław, rodem ze Stadnik k/Gdowa, a w kilka tygodni później Wincenty Turek, który po latach miał stać się pierwszym misjonarzem

ludowym. Ponieważ nasze osiedlenie się w Stadnikach wiąże się ściśle ze wstąpieniem do naszego Zgromadzenia Stanisława Michalika, historię jego powołania opowiemy nieco dalej, gdy będzie mowa o fundacji stadnickiej.

Jeżeli idzie o Wincentego Turka, trafił on do Zgromadzenia w następujący sposób. Tak jak Marian Cichoń, Wincenty Turek pochodził z Izdebnika k/Kalwarii. Znał przeto rodzinę państwa Cichoniów, a z Marianem podówczas jeszcze scholastykiem prowincji włoskiej był nawet w korespondencji. Następstwem tej wymiany myśli było to, że Wincenty Turek zrezygnował z zamiaru, jaki żywił od dłuższego czasu, wstąpienia do OO. Franciszkanów, a postanowił prosić o przyjęcie do Zgromadzenia, co też w maju 1928 roku uczynił. Z ks. Wiechciem bawiącym wtedy w Polsce już od dłuższego czasu, skontaktował go starszy brat Mariana Cichonia, Władysław. Pierwsze spotkanie nastąpiło, jak opowiedzieliśmy, w domu Księży Emerytów przy ul. św. Marka w Krakowie. Od tego czasu nowy aspirant, pracujący w Zakładach Zieleniewskiego na Grzegórkach, widywał się z ks. Wiechciem niemal co tydzień, aż do dnia wyjazdu za granicę, który nastąpił 1 sierpnia tego samego roku 1928. Miał wtedy skończonych 28 lat.

Wyjazd do Włoch nastąpił 1 sierpnia (1928). Nasi dwaj aspiranci spotkali się po raz pierwszy dopiero na dworcu w Krakowie. Ks. Wiecheć rzekł wtedy do aspiranta ze Stadnik: „Będziesz miał starszego kompana; masz się do niego odnosić z szacunkiem”.

Aspirant Michalik o mało nie spóźnił się na dworzec, gdyż wyszedłszy z domu Księży Emerytów, by kupić w księgarni Gebethnera samouczek włoski, nie znając zaś Krakowa nie mógł trafić z powrotem na ul. św. Marka, skąd za chwilę miał z ks. Wiechciem dorożką udać się na stację kolejową.

I tym razem była piękna, księżycowa noc, gdy przybyli do Albisoli. Bramę otwarł im nowicjusz br. Franciszek Za-

wadziński, który widocznie na nich czekał. Niedługo potem zjawili się także dwaj inni nowicjusze Polacy, br. Michał Wietecha i br. Dziedzic, a także i ks. Lorenzo Ceresoli, socjusz.

Dwaj aspiranci, którzy owej sierpniowej nocy w 1928 roku przybyli do nowicjatu w Albisoli, byli z kolei, jeden dwudziestym drugim, drugi — dwudziestym trzecim aspirantem Polakiem, którzy próg tego domu przekraczali. Tylu bowiem młodzieńców od roku 1920 do 1928, a więc w okresie lat ośmiu, przyprowadził z kraju do Albisoli ks. Kazimierz Wiecheć.

Z tej liczby wytrzymało jedenastu, a więc prawie połowa. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, iż był to materiał zbierany z czterech wiatrów, niekiedy zupełnie surowy i do życia zakonnego mało przygotowany, to musimy przyznać, że pomimo wszystko, ks. Wiecheć z wyników kilkuletnich swych niezliczonych trudów, starań i trosk mógł być zadowolony.

Zanim zamkniemy ten rozdział naszej przeszłości nie możemy nie postawić sobie pytania, jakie to przyczyny decydowały młodzież tę, niekiedy w paru dniach, na wyjazd za granicę. Nie miniemy się z prawdą, jeżeli powiemy, że pytanie to, nawet dzisiaj po latach dla zainteresowanych jest wciąż żywe, które przyspiesza bicie ich serca za każdym razem, gdy myślą o tych krótkich, jedynych w życiu chwilach, które zadecydowały o kierunku ich życia.

Badając motywy tego kroku, musimy wykluczyć nacisk ze strony rodziny. To, że w niektórych wypadkach taki wyjazd dziecka pod opieką kapłana w środowisko bezpieczniejsze od tego, w jakim ono dla studiów dotąd przebywało, mógł iść po linii pragnień rodziców, szczególnie matki, to rzecz zupełnie zrozumiała. Inicjatywa jednak wyjazdu wychodziła zawsze tylko od zainteresowanych. Co więcej, spotykała się ona niekiedy nawet z oporem ze strony rodziny.

Po drugie, jest rzeczą pewną, że motywem predominującym tego kroku, była bezsprzecznie myśl o służbie Bożej.

Czy jednak motyw ten w każdym poszczególnym wypadku był na tyle silny, by sam potrafił skłonić młodzieńca czy dziecko (większość wyjeżdżających była jeszcze dziećmi) do powzięcia decyzji, do przeprowadzenia której trzeba było jednak sporej dozy odwagi. Należy w to wątpić. Musimy przeto przyjąć, że w niejednym więc wypadku, niemałą rolę w powzięciu tej decyzji odegrały także i względy uboczne: urok, jakim opromienione są Włochy, urok nowości i przygód, itp.

Nie rozminiemy się z prawdą, gdy powiemy, że w większości wypadków owa decyzja na wyjazd zjawiała się w duszy zupełnie niespodziewanie, niczym nie umotywowana, nie wiadomo skąd, niekiedy z okazji nic nie znaczących zdarzeń, które żadną miarą nie mogły jej spowodować. Stajemy tu wobec tajemnicy, której na imię łaska powołania.

Znamy liczbę tych, którzy idąc za jej głosem, wyjechali do nowicjatu. Nie możemy natomiast zliczyć tych, którzy w owych latach przez jakiś czas także z tym zamiarem się nosili, lecz nie potrafili wykonać go. Ich liczba była bardzo wielka. W samym tylko środowisku myślenickim było ich co najmniej kilkunastu.

Dzisiaj po latach, zapewne niejednego z nich w zadumę pogrąża wspomnienie owej bezpowrotnej chwili, w której Boski Mistrz tak blisko przeszedł koło niego, i która mogła nadać inny kierunek jego życiu. Jednemu z nich starszemu, poważnemu kierownikowi szkoły, niedawno wyrwały się słowa: „Żałuję, że wtedy nie wyjechałem; miałbym dzisiaj cel w życiu, a wy dobrego kaznodzieję”.

Jeżeli idzie o ks. Kazimierza Wiechecia, owe osiem lat, które spędził we Włoszech (1919–1928), były w jego życiu okresem, w którym czuł się on może najszczęśliwszym. Zarysowujące się już urzeczywistnienie marzeń całego jego dotychczasowego życia, układanie planu działania, stopniowa realizacja, coroczne wyprawy do kraju, ruchliwe, z rozmachem

prowadzone poszukiwania za powołaniami — tak bardzo odpowiadające potrzebie jego życiowej natury — wszystko to na marginesie i tak już przeładowanych inną pracą dni — to ówczesne jego życie.

Oto jak wyglądał jego przebieg chronologiczny. Po ukończeniu czwartego roku teologii w bolońskim scholastykacie, jesienią 1921 roku został on przydzielony do małego seminarium w Albino, w charakterze naczelnego prefekta. Na tym stanowisku pozostał on dwa lata. W lecie 1923 roku — został przeniesiony do bolońskiego scholastykatu do pomocy tamtejszemu rektorowi ks. Luigi Delborgo, który podówczas czynił przygotowania dalsze do budowy scholastykatu przy via Derba. Po ukończeniu tej budowy, zdaje się w roku 1925, został on przydzielony z powrotem do Albino, na stanowisko naczelnego prefekta. Tu pozostał do pierwszych miesięcy 1928 roku, czyli do chwili opuszczenia Włoch i osiedlenia się w kraju.

Jeżeli więc pominiemy coroczne jego wyjazdy do kraju i bez mała coroczny także kilkudniowy pobyt w Albisoli, z owych ośmiu lat spędzonych we Włoszech, cztery lata spędził ks. Wiecheć w Bolonii, z czego dwa przypadają na okres formacyjny, a drugie cztery w Albino.

Jeżeli pamięć nie myli, po ukończeniu czwartego roku teologii, a więc w 1921, miał możliwość dalszych studiów, w Rzymie, daną mu przez Ojca Założyciela. Uległ jednak prośbom i przyjął proponowane mu stanowisko prefekta w małym seminarium w Albino. Prowincja włoska cierpiała wtedy na brak ludzi. W powzięciu tej heroicznej decyzji odegrały rolę jego szlachetność i wrażliwość, gdyż pamiętał, że prowincja włoska żywi kilku Polaków, co mu zresztą przypomniano. Ustąpił, pomimo, iż żywił gorące pragnienie dalszych studiów.

Rozdział piąty

Środowisko zagraniczne w których wychowywali się pierwsi polscy sercanie: Albisola Superiore — opis nowicjatu — tamtejsza „communitas” w roku 1920 — trudne początki zakonnego życia — obłóczyny i pierwsza pasterka na ziemi włoskiej — pierwsza wizytacja kanoniczna w życiu — ogólne tło ówczesnego życia — napływ do Albisoli polskich nowicjuszy i postulantów podczas drugiej wojny światowej.

Albisola Superiore, dokąd ks. Kazimierz Wiecheć wywoził swoich aspirantów, jest niedużą miejscowością, położoną między Genuą a Savoną, o mniej więcej pół godziny drogi od wybrzeża.

Sam nowicjat znajduje się zupełnie na uboczu, w wąskiej kotlinie, otoczonej z trzech stron ostatnimi wzniesieniami Alp Liguryjskich, które miejscami dochodzą tu niemal do morza.

Dom nowicjacki oraz kościół, zwany Santuario della Pace, leżą tuż przy drodze, łączącej wybrzeże z miejscowościami położonymi w górach. Wąska ta droga z trudem wije się wśród gór równoległe do potoku, wyschniętego przez większą część roku. Dzisiaj podobno rozbudowano ją w autostradę.

Okolice tutaj jest bardzo uboga. Nie ma tu łąk z zbożem, tylko strome góry, pokryte w bezpośrednim sąsiedztwie nowicjatu krzakami o grubym listowiu, wyżej zaś karłowatą pinią. Gdziekolwiek spotkać tu można również niewielki zagajnik kasztanów jadalnych i nieco drzew oliwnych, a w pobliżu domów jedno czy drugie drzewo figowe lub migdałowe. Pomarańcze i cytryny są tutaj rzadkością. Można je spotkać

tylko na wybrzeżu, i to w miejscowościach osłoniętych od zimnego, dokuczliwego wiatru, wiejącego tutaj w porze zimowej z gór ku morzu.

Ludność miejscowa, bardzo pracowita i pobożna stara się wykorzystać pod uprawę zboża i wina każdy skrawek ziemi na ten cel się nadający. Przy nakładzie pracy i przy zastosowaniu systemu podmurowań, potrafiła ona wydrzeć górom niejedną zagon, nawet na bardzo stromych i wysokich wzniesieniach, dokąd nawóz musi się wynosić w koszyku. Pomimo wszystko tej ziemi jest tu tak mało, że obcokrajowiec, który zabłąkał się w te strony, mimo woli zapytuje sam siebie, z czego ludność ta utrzymuje się.

Jeżeli chodzi o dom nowicjacki, owego pamiętnego roku 1920, w którym zjawili się tu pierwsi polscy postulanci, nie był on wcale podobny do tego, czym jest obecnie. Wówczas był to stary, jeszcze do niedawna opuszczony klasztor, składający się z dwóch niewielkich, piętrowych skrzydeł i ubogiego kościoła. Przylegały doń kilkumorgowy, położony na równinie ogród, oraz kilkanaście morgów krzaków, na graniczącym z ogrodem, dosyć stromym i sfałdowanym wzgórzu. Trzy lub może cztery drzewa pomarańczowe osłonięte domem, kilka drzewek cytrynowych wzdłuż muru, kilkadziesiąt starych krzaków winogrodu — ocieniały one aleję biegnącą środkiem ogrodu (pergolato) — kilka drzewek dzikich, kwaśnych wiśni, jedna czy druga rengolda, to wszystko, co rośło wtedy w nowicjackim ogrodzie.

Także dom i kościół parafialny sprawiały wrażenie zaopущenia i najwyższego ubóstwa. Należy jednak zaznaczyć, że nasi mieszkali tu dopiero od niedawna — od dwóch zdaje się lat — i to w charakterze dzierżawców. Przed ich przybyciem, dom ten — własność zdaje się miejscowej gminy — przez jakiś czas chronił w swych murach liczne rodziny uciekinierów z terenów objętych wojną. Z czasem, po nabyciu tej posiadłości przez naszych, wiele miało się tu zmienić. Dom został rozbudowany, a ogród lepiej wykorzystany.

Powróćmy jednak do owej chwili, w której do tego zgubionego wśród gór, ubogiego zakątka Ligurii, przybyli pewnej nocy trzej pierwsi polscy aspiranci. Było to, jak widziliśmy wyżej, nad ranem 6 listopada 1920 roku.

Pierwsze spotkanie z tamtejszą małą nowicjacką wspólnotą odbyło się dopiero w refektarzu przy obiedzie, gdyż po kilkudniowej poniewierce wstali oni bardzo późno. Widok klęczącego na środku refektarza młodzieńckiego nowicjusza, który odprawiał kulpe, rząd niewielkich, stojących na stole, a wypełniających czerwonym płynem flaszek; talerz z polentą (potrawa z mąki kukurydzianej) i rozparowanie jej zdawałoby się obiecującym smakiem — oto co z tego pierwszego spotkania utkwiło w pamięci zabłąkanym tutaj i nieswojo czującym się polskim chłopcom.

Jeżeli idzie o ówczesnych włoskich nowicjuszy, o ile zachowali oni w pamięci tę scenę, to jej wspomnienie kojarzy się u nich zapewne z obrazem trzech nieśmiałych i dosyć niezgrabnych chłopców, z których dwaj o wiejskim wyglądzie i z wiejską ubraniem, wyglądali na dziesięcioletnie co najwyżej dzieci.

Rektorem i mistrzem nowicjatu był wtedy, dziś już nie żyjący, a wówczas w sile wieku, ks. Alojzy Duborgel, zwany potocznie Padre Luigi. Był on Francuzem. Pochodził z Sabaudii. Większą część swego kapłańskiego życia spędził on jednak we Włoszech, a prowincja tamtejsza, której był jednym z głównych fundatorów, bardzo wiele mu zawdzięcza.

Był to wzorowy pod każdym względem zakonnik, opanowany, nie zrażający się żadnymi trudnościami. Odnaczał się przy tym trzeźwym, zdrowym rozsądkiem i zmysłem praktycznym. Wyrył się on głęboko w pamięci i sercu Polaków należących do pierwszej emigracji, których bez mała wszystkich był już to mistrzem, już to przełożonym. Z tytułu swego wkładu osobistego w wyrobienie duchowe pierwszych polskich sercanów stoi on w jednym rzędzie z ks. Legayem,

ks. Pefferem i ks. Ceresolim. Zmarł w Rzymie 1 kwietnia 1944 roku. Ci, w których życiu tak ważną odegrał rolę, po raz ostatni na ziemi widzieli go w sierpniu 1939 roku w Krakowie, gdzie przybył w charakterze wizytatora generalnego.

Ekonomem nowicjatu był w owym czasie starszy, tysy już, postawny ksiądz Józef Goebels, Niemiec z Kolonii. W życiu codziennym nazywano go Padre Giuseppe. Był to kapłan gruntownie wykształcony. Językiem włoskim władał poprawniej od Włochów. Nie był jednak przez nich lubiany. On to przez kilka pierwszych tygodni był spowiednikiem polskich postulatów. Pomimo obustronnej dobrej woli, i pomimo że przygotowanie do spowiedzi trwało bardzo długo i że posługiwano się przy nim słownikiem niemieckim i gramatyką, niewiele on z ich niemczyzny musiał rozumieć; prawdopodobnie tyle, ile oni z jego nauk. Nic przeto dziwnego, że już w kilka tygodni po ich przybyciu do nowicjatu, gdzieś około połowy grudnia, uznał on za stosowne skierować swych młodych penitentów do zwyczajnego nowicjackiego spowiednika.

Był zaś nim O. Deregibus, jezuita, mieszkający w nowicjacie i pomagający księdzu magistrowi także i w konferencjach. W owych bowiem czasach po naszych domach formacyjnych dla braku personelu, chętnie uciekano się do pomocy księży jezuitów. Toteż w naszych nowicjatach i scholastykatakach dosyć często pełnili oni funkcje spowiedników i ojców duchownych. Tak było wtedy i we Włoszech.

Owego roku bawił w Albisoli także ks. Kamil Humbert scj, należący do prowincji francusko-belgijskiej.

Wśród tamtejszych nowicjuszy wyróżniał się swym wysokim wzrostem i szlachetną postawą komisjonariusz br. Oreste Ceresoli, zdemobilizowany porucznik. Poza nazwiskiem nic nie łączyło go jednak z bratem Wawrzyńcem Ceresolim, późniejszym prowincjałem. Ten ostatni opuścił

już wtedy nowicjat przed kilkoma miesiącami i przebywał w scholastykacie w Bolonii. Dla swej łagodności, pogody i uprzejmości szczególnie lubiany był przez polskich aspirantów. Żartobliwie nazywał on ich niekiedy „ostrogotami”. Nie irytował się nigdy. Bardzo liche zdrowie zmusiło go niestety, w dwa lata później, do opuszczenia Zgromadzenia.

Z pośród pozostałych nowicjuszy najbardziej wyrył się w pamięci naszych Polaków, również starszy już wiekiem, br. Antoni Gallo, który po latach i męczeńskim życiu miał umrzeć w opinii świętości w naszym rzymskim domu. Pochodził on z okolic Neapolu. Polacy żartowali niekiedy z jego neapolitańskiej wymowy, pytając go: „Fratel Antonio, come si dice: la scopa o la ścopa?” Na co on odpowiadał z uśmiechem: „si dice la ścopa”.

W tym czasie bawił w nowicjacie, nie wiadomo w jakim charakterze, także jeden z uczniów małego seminarium w Albino, Amorese, późniejszy misjonarz afrykański. Od pierwszej już chwili czuł on specjalną sympatię dla Polaków, chętnie spędzał z nimi rekreacje i wtajemniczał ich w arkana swojego ojczystego języka. Nieco później zabrał się on z uporem do nauki ich ojczystej mowy i to z takim powodzeniem, iż język ten, tak trudny dla obcokrajowców, po kilku latach przebywania z Polakami, dosyć dobrze rozumiał.

Naszych polskich aspirantów, jako pochodzących z północy i zahartowanych, jak sądzono, na dokuczliwe także i we Włoszech zimno, umieszczono od północy, w skrzydle domu położonym wzdłuż drogi, w trzech oddzielnych celach, których okna wychodziły na drogę i potok, na samym końcu korytarza.

W celach tych nie było wiele: gwóźdź wbity w ścianę służył sa szafę, za łóżko zaś wąska i niziutka „branda” czyli kawałek płótna rozwieszony na drewnianych krosnach. Leżał na niej cienki, stary i podarty materac, zasłany prześcieradłem. Drugie prześcieradło i zużyty koc służyły za przykrycie. Mikroskopijna poduszka wypchana była mocno skruszonym

sianem. Stolika nie było. Nie był on zresztą potrzebny, gdyż do celi przychodzono tylko na noc. Pod drugą ścianą, na niziutkim, nie pomalowanym stołeczku, stała gliniana miseczka, mogąca zmieścić do 2 litrów wody. Służyła ona za miednicę.

Umieblowanie mieszkania dopełniało nieduże krzesło, wyplecione sypiącymi się już, skręconymi kukurydzianymi liśćmi. Niepodobna było jednak na nim usiąść, gdyż jedna z nóg mogła lada chwila zawieść. Jego przeznaczenie było zresztą inne: nocną porą miało ono służyć do podtrzymania ubrania. Otóż rzeczywistość tamtejsza była taka, że w porze zimowej — nasi chłopcy spędzili tu dwie zimy — wymienione krzesła rzadko kiedy służyły na ten cel. To bowiem, co wieczorem nasi zdejmowali z siebie, na noc kładli starannie nie na łóżko lecz na okno, by utkać nimi dziury w zbutwiałych i wyszczerbionych ramach okiennych. Zabieg ten nie zawsze jednak bywał skuteczny, gdyż wiejący w okno potężny, zimowy wiatr, zwany tutaj Aquilone, niekiedy strącał to wszystko na ziemię.

Wkrótce po przybyciu do Albisoli rozpoczęło się dla naszych chłopców zwyczajne nowicjackie życie. Było ono dla nich, przychodzących ze „złotej” wolności i do życia zakonnego nie przygotowanych, początkowo dosyć trudne. W szczególny sposób dawało im się we znaki poranne wstawanie o godzinie piątej, oraz odprawianie wówczas co tydzień o północy Godziny świętej. Najmłodszy z nich w owym okresie sypiał tak twardo, że współbracia chcąc go obudzić na Godzinę świętą, musieli nawet ściągać go z łóżka. Dłużyły się naszym aspirantom także i niektóre ćwiczenia nowicjackie, np. rozmyślanie. Najmłodszemu zaś z nich, który dopiero po raz pierwszy znalazł się poza domem rodzinnym, dawała się we znaki również i nostalgia.

Źródłem cierpienia w owych miesiącach ich pobytu w nowicjacie był również wspomniane już wyżej zimno. W

grudniu i styczniu temperatura spadała tu dosyć często do zera, w domu zaś nie było ani jednego pieca. Ogień znajdował się tu tylko w niedostępnej dla nowicjuszy, prowadzonej przez zakonnice kuchni, oraz w kadzielnicy podczas nabożeństw.

Zimno to, połączone z wiatrem i wilgocią, którą w wysokim stopniu tu na wybrzeżu morza nasycone jest powietrze, powodowało na rękach bolesne „geloni” czyli odmrożenia. Nabrzmiwały one i pękały do krwi. Przy tak poranionych rękach poranna toaleta nie należała wcale do przyjemności.

Na domiar złego konferencje, które w normalnych warunkach są dla początkujących źródłem światła i otuchy, naszym chłopcom nie dawały prawie nic, gdyż wygłaszane bywały w niezrozumiałym dla nich języku włoskim.

W tych warunkach polscy aspiranci byliby się może wkrótce zniechęcili, gdyby nie mądra metoda wychowawcza doświadczonego księdza magistra. Polegała zaś ona na tym, że przez kilka pierwszych miesięcy, na wszystko patrzył on przez palce, pozwalał im on robić co chcieli, a tylko mile przy każdym spotkaniu do nich się uśmiechał.

Dla ścisłości należy dodać także i to, że tak zazwyczaj trudny w początkach, szczególnie dla przychodzących ze szkół państwowych, tryb życia nowicjackiego, jeżeli idzie o polskich aspirantów, łagodzony był w Albisoli także i urokiem nowości nieznanego kraju, zwłaszcza otaczającej ich przyrody. Kilka rosnących w ogrodzie drzew pomarańczowych, oblepionych dojrzewającym właśnie owocem, który dotąd nasi widywali tylko za sklepową witryną — drzewka cytrynowe — pinie, niby polskie sosny, a przecież nie, o bardzo długich szpilkach i dużych szyszkach, znajdowano na przechadzkach w pośród opadłego listowia, nieznanego sobie dotąd kasztany jadalne, nieznanego, o grubym listowiu, latem i zimą zielone krzewy — a już w lutym obsypane różowym kwieciem, drzewa migdałowe — nieznanego jagody i owoce — widywane podczas przechadzek, z otaczających nowicjat gór wspaniałe morze —

plywające po nim łodzie i okręty — częsty widok Włochów polujących na ptaki — nawet wozy, na dwóch olbrzymich kołach zaprzężone w muła i beztrosko drepącego przed nim długoucha — wszystko to bawiło przybyłych z północy chłopców, rozpraszało ich troski i ułatwiło im wrośnięcie w glebę zakonnego życia.

Wspomniane wyżej cierpienia miały zresztą tę dobrą stronę, że przyśpieszyły chwile ich wewnętrznego przełomu. Skoro bowiem otaczająca ich rzeczywistość była tak ciężka, nie pozostawało im jak zwrócić się w stronę nieba. Gdy zaś to się stało, rzeczywistość zaczęła powoli stawać się nie tylko znośną lecz nawet radosną.

Do tego już w lutym nadeszła wiosna, a wraz z jej przyjściem życie nowicjackie stało się dla początkujących mniej uciążliwe. A gdy przybyszom z Polski, którzy już jako tako oswoili się z nowym dla nich środowiskiem, przydzielono nowicjackie urzędy, na troski po prostu nie było już miejsca. A wtedy czas, który początkowo jakby się zatrzymał w miejscu, zaczął znów szybko płynąć.

Dosyć wiernym odbiciem kolejnych wewnętrznych przeżyć i przeobrażeń tych, którzy z czasem mieli stać się pierwszymi polskimi sercanami, była ich ówczesna korespondencja. Po listach, w których były tylko opisy trybu życia nowicjackiego, zwyczajów i otaczającej przyrody, zaczęły następować coraz częściej inne, będące już echem konferencji, lektur duchownych i po raz pierwszy w życiu przeżywanych głębiej prawd wiecznych.

Sutanny nasi postulanci włożyli po raz pierwszy w wigilię Bożego Narodzenia, a więc już w siedem tygodni po swym przybyciu do nowicjatu. Odbyło się to bez żadnej zewnętrznej uroczystości. Po prostu wręczono im je. Były one już używane. Głównym powodem wybrania tej daty było to, że w Noc Bożego Narodzenia, z powodu zajęcia nowicjuszy na chórze — musieli oni służyć do uroczystej pasterki.

Perspektywa tego występu napęłniła naszych chłopców uczuciem mocno zbliżonym do niepokoju. Wszak niczego podobnego dotąd w życiu nie widzieli, a do tego chodzenia, klękania i wstawania w dopiero co otrzymanej sutannie, nie wydawało im się rzeczą zbyt łatwą.

Z drugiej jednak strony owa pierwsza raz włożona sutanna, szczególnie zaś wspomniane obawy, stanowiły pożądaną dywersję, odciągającą uwagę naszych postulantów od myśli, że są to ich pierwsze święta w życiu, spędzane z dala od rodzinnego domu, bez wieczerzy wigilijnej, nieznaney we Włoszech, i bez polskich kolęd.

Nasi postulanci bawili w Albisoli dopiero kilka tygodni, gdy wciągnięto ich także do lektury przy posiłkach. Nie można przeto dziwić się, że niejedyn raz podczas tej lektury wychodziły prawdziwe „curiosa”, na które nawet ks. Delborgo, chociaż wiele on w życiu widział i niczemu się nie dziwił, dyskretnie się uśmiechał. Prawdziwym zaś utrapieniem dla tych początkujących lektorów bywał włoski akcent, który jak wiadomo, ma dosyć szeroką skalę możliwości, co gorsza, odznacza się tą dziwną przekorą, że najczęściej właśnie nie tam pada, gdzie obcokrajowiec go umieszcza.

Także i usługiwanie w refektarzu dla początkujących nie zawsze było łatwe. Prawdziwym zaś postrachem dla jednego z naszych stało się donoszenie do stołu księży jajek na miękko. Uraz zaś ten spowodowany został tym, że niosąc po raz pierwszy owe jajka na talerzu w kieliszkach, upuścił na posadzkę pierwsze już przy windzie, drugie w połowie refektarza, trzecie zaś, gdy docierał do celu.

Jeżeli idzie o wspomniane wyżej urzędy zdaje się, że najmłodszy z Polaków br. Lubowiecki, pełnił jakiś czas urząd refektarzowego; najmniejszy, br. Majka był kościelnym a później komisjonariuszem; najstarszy zaś br. Stoszko dzwonnikiem i ministrem.

Ten ostatni urząd, szczególnie w pewnym okresie — gdy mianowicie po profesji i odejściu starszego rocznika, nowicjat był wyludniony — nie był wcale nagrodą. Na początku bowiem zajęć, kiedy to po ich zwyczajnym ofiarowaniu i założeniu fartuchów, minister zwykł był pracę przydzielać — kościelny szedł sobie do kościoła, refektarzowy do refektarza, do dyspozycji zaś ministra nie pozostawał jak tylko jeden nowicjusz, który na domiar złego, będąc poetą — celował w pisaniu sonetów — nie miał wielkiej ochoty do mioty, skutkiem czego, dosyć często czuł się niedysponowanym. Toteż biedny minister, późniejszy doktor teologii, wszystkie porządki w domu najczęściej sam sobie przydzielał. Pracę jego utrudniała ta jeszcze okoliczność, że w zniszczonej posadzce obydwu korytarzy znaczna liczba tafli była ruchoma, co dla zamiatającego mocno było niewygodne.

Jeżeli zaś idzie o urząd dzwonnika, dopiero w roku 1939, a więc po latach osiemnastu, przyznał się on swojemu byłemu magistrowi i swoim współbraciom, jak to pewnej nocy, mając o godzinie 11 zbudzić „communitatem” na Godzinę świętą, zasnął sobie, a gdy się obudził spostrzegł, ku swemu przerażeniu, iż była już godzina druga nad ranem. Chcąc ratować sytuację i swój honor, przystawił krzesło i przesunął o trzy godziny wstecz wskazówki wiszącego zegara, którym zazwyczaj regulowano nowicjackie ćwiczenia. Chwilę potem, ks. magister, śpiesząc do kościoła na Godzinę świętą, według swego zwyczaju zatrzymał się przed zegarem, by skonfrontować z nim swój wciąż psujący się zegarek. Widząc zaś tak wielką w godzinach różnicę, pokiwał smutno głową nad swoim chronometrem, wyrównał różnicę i poszedł dalej. Po nabożeństwie, gdy dom już zasnął, przebiegły „Polacchino” wyszedł po cichu ze swego mieszkania, przystawił krzesło i przesunął wskazówki zegara na właściwe miejsce.

Regularny tryb nowicjackiego życia, przerywały od czasu do czasu oczekiwane przez nowicjuszy całodzienne wycieczki, urządzone pod przewodnictwem księdza magistra.

Trzy z nich szczególnie utkwiły w pamięci naszych Polaków: jedna przez góry, do miejscowości położonej nad zatoką genueńską, zwanej Verazze; druga do zrujnowanego pokapucyńskiego klasztoru za Savoną; trzecia do znanej w Ligurii świątyni Matki Najświętszej, zwanej Madonna della Misericordia, znajdującej się wśród gór, o kilkanaście kilometrów za Savoną.

Ta ostatnia wycieczka miała charakter pobożnej pielgrzymki. Wyruszono wczesnym rano. Modlitwy poranne i rozmyślanie odprawiono w drodze. Po przybyciu do celu ks. magister odprawił Mszę św., nowicjusze zaś przystąpili do Komunii świętej.

Ten kilkugodzinny marsz na czczo był jednak nader wyczerpujący. Na domiar złego przygotowanie obiadu w gospodarstwie trwało bardzo długo, toteż owego dnia nowicjuszom mocno dał się we znaki głód. Na szczęście część powrotnej drogi odbyto autobusem.

Podczas tych wycieczek posiłki były bardzo skromne. Talerz makaronu lub trochę chleba i sera oraz odrobina wina, często stanowiły cały obiad. Bo też bieda w nie zagospodarowanym jeszcze nowicjacie była naprawdę wielka. Wtajemniczeni opowiadali, że bywały takie dni, w których ks. magister, przewidując iż może nadejść piekarz po należność za dostarczony chleb, zmuszony bywał usunąć się dyplomatycznie z domu. Nic przeto dziwnego, że w tych okolicznościach liczone się z każdym groszem, nawet na całodziennych wycieczkach.

Miłym dla początkujących urozmaiceniem nowicjackiego życia bywały również, urządzone dwa razy w tygodniu, wspólne popołudniowe przechadzki. Po raz pierwszy na takiej przechadzce, w towarzystwie włoskich nowicjuszy, byli nasi

Polacy w dniu św. Marcina, patrona wspomnianego wyżej O. Degregibusa. Udano się w tym dniu do „Torretta”, niedużej wieży, czy baszty, znajdującej się na stromej, nad nowicjatem wznoszącej się górze. Wspaniały widok rozciągał się stamtąd na morze.

Również upragnionym przez naszych wytchnieniem były kąpiele w morzu, odbywanej na dzikiej plaży, o wczesnych godzinach porannych, pod osobistym nadzorem księdza magistra. Woda bywała tam jakby nagrzana.

Prawdziwym świętem był dla nowicjuszy, szczególnie naszych, dzień winobrania. Ponieważ przy nowicjacie nie było mechanicznej tłoczni, piękne winogrona znoszone z ogrodu, bez litości deptał nogami jeden z nowicjuszy, na postawionej nad beczką kracie.

Jeżeli wśród włoskich nowicjuszy bywali i tacy, którzy nawet podczas winobrania praktykowali w całej pełni doskonałe umartwienie, to ze wstydem wyjawić trzeba, że byli i inni, którzy nie czekali na dzień winobrania, by zapoznać się ze wspaniałymi winogronami, zwisającymi nad ich głowami w ogromnej alei. Były one dla nich ustawiczną pokusą, niekiedy ponad ich nie wyrobione jeszcze siły. Toteż wspomniana aleja, która bywała świadkiem bardzo wielu odniesionych nad naturą zwycięstw, niekiedy widywała, niestety, także upadki. Na szczęście ks. magister Delborgo w swej dobroci nawet nie podejrzewał o to swoich nowicjuszy, a zauważane niekiedy w winnicy szkody przypisywał ptactwu.

Bo też ptaków tych bywało w okolicy bardzo dużo. W braku grubszej zwierzyny, Włosi zawzięcie na nie polowali. Nasi przybysze z północy, dla których niektóre szczególne gatunki ptaków, jak skowronki i jaskółki, bywały nietykalne i prawie że święte, gorszyli się z początku takimi zwyczajami i dziwili się, jak myśliwemu może opłacić się strzał, i to jeszcze wątpliwy, do latającej w powietrzu jaskółki. Pewnego razu widzieli nasi nad morzem, jak strzelcy rozstawieni w

łożysku wyschłego potoku, za piątym dopiero strzałem stracili jakiegos ptaka, podobnego do naszego skowronka.

Wron i srok w tamtejszych stronach zupełnie nie było. Raz tylko, ku wieczorowi, widzieli nasi stado lecących ku morzy wron lub może gawronów. Trzymały się one jednak na przyzwoitej wysokości. To nic nie znaczące wydarzenie wytrąciło naszych z równowagi; przypomniał im się bowiem ich ojczysty kraj.

Ponieważ każdy niemal Włoch bywa zapalonym myśliwym, rozmowy podczas rekreacji schodziły często na temat ptaków i sposobów polowania na nie.

Rekreacje wspólne, szczególnie popołudniowe, spędzano najczęściej w towarzystwie księdza magistra, spacerując z nim po ogrodzie. Dosyć często bywał on jednak nieobecny. Troska o chleb codzienny pędziła go poza nowicjat. Często wyjeżdżał on do Savony.

Jeżeli idzie o żywy inwentarz, przy nowicjacie była zaledwie jedna krowina. Toteż mleko do kawy starczyło tylko na śniadanie. Z tego zapewne powodu kawy na podwieczorek wcale nie podawano. Posiłek ten odbywał się zresztą w sposób mocno uproszczony. Gdy zadzwoniono, nowicjusze schodzili w milczeniu do refektarza i stawali skromnie przy drzwiach. Komisjonariusz przynosił wtedy worek z chlebem — chleb ten miał formę bułek — stawiał na posadzce i odwijał go. Nowicjusze podchodzili, nachylali się nad workiem, zabierali wydzieloną porcję i stojąc spożywali ją. Niektórzy popijali wodą, której karafka stała na stole do ich dyspozycji.

Były przy nowicjacie także i króliki. Stosownie do swoich zwyczajów, zdychały one dosyć często. A gdy do tego pewnego dnia, jeden z nich utopił się w gnojówce, zrozpaczony i bliski płaczu brat przyszedł do księdza magistra z prośbą, by w jego króliczarni spróbował egzorcyzmów.

W jakiś czas po przybyciu naszych do nowicjatu zaczęły wśród nowicjuszy krążyć uporczywe pogłoski, że w domu

straszy. Słyszano mianowicie, od czasu do czasu, tajemnicze stukania i kroki w mieszkaniu, w którym zmarł przez kilkoma miesiącami nowicjusz Barbenni. To znów pewnego razu jeden z nowicjuszy z wielkim przejęciem opowiedział współbraciom, że poprzedniego wieczora widział o zmroku jak znajdująca się na korytarzu ręczna pompa sama pompowała wodę. Kiedy indziej znów ktoś zaalarmował dom wiadomością, że znajdujące się w pustej celi harmonium, poprzedniej nocy samo miało grać. Co więcej, pewnej nocy, młody aspirant na brata, sypiący w osobnej celi, wystraszony, uciekł w bieliźnie do ks. ekonomy.

Żaden z naszych chłopców objawów tych nie zauważył. Jeden tylko ks. Kazimierz Wiecheć, podczas któregoś ze swych krótkich pobytów w nowicjacie, słyszał pewnej księżycowej nocy jakieś tajemnicze kroki i brzęk łańcucha obok cysterny, znajdującej się na dziedzińcu, naprzeciw jego okna.

Pogłoski o owych strachach, co jakiś czas krążyły upo-rczywie po nowicjacie także i w następnych latach. Ile w tym było prawdy, trudno dociec.

W niewiele miesięcy po przybyciu do Albisoli zobaczyli nasi chłopcy, po raz pierwszy, prowincjała świeżo utworzonej prowincji włoskiej, ks. Oktawiusza Gasparriego. Przybył on do nowicjatu dla dokonania zwyczajnej wizytacji kanonicznej.

Zapowiedź tej wizytacji napełniła niepokojem naszych polskich nowicjuszy, którzy nie byli jeszcze obeznani ze zakonnymi zwyczajami. Za ten przedwizytacyjny stan ducha naszych młodzieńców byli odpowiedzialni przede wszystkim starsi współnowicjusze.

Przedmiotem szczególnego niepokoju była dla jednego z naszych pewna stara łacińska gramatyka, przywieziona z Polski, którą on w kufierku przechowywał i do której niekiedy zaglądał. Miły jednak uśmiech przybywającego wizytatora z miejsca rozwiały wszelkie obawy, tak że nawet owa nieszczęsna gramatyka zaczęła wydawać się mniej niebezpieczną. A już

prawdziwe uczucie sympatii dla księdza prowincjała wywołała chwila wizytacyjnej z nim rozmowy, szczególnie zaś jego obietnica przysłania małemu, nieśmiałemu nowicjuszowi żywotu jego świętego patrona. Wspomnienie owego dobrego uśmiechu i okazanej wtedy życzliwości nie potrafiły zatrzeć ani przestrzeń ani czas.

Ani przestrzeń ani czas nie zatarły również wspomnienia życzliwości, jaką na ogół otaczali naszych włoscy starsi współnowicjusze. Wczuwali się oni w sytuację tych małych emigrantów i starali się być dla nich dobrzy. Z tego to zapewne powodu, chociaż z owych miesięcy nie ma ani jednego zdjęcia fotograficznego — styl życia: ogromna prostota i ubóstwo, w owym czasie tak łatwo na to nie pozwalały — to jednak sylwetki swych pierwszych w życiu współbraci owi Polacy żywo przechowali w duszy.

A gdy dzisiaj, po 30 przeszło latach, obracamy się wstecz do owych kilkunastu miesięcy spędzonych w tym zakątku włoskiej ziemi i przymknawszy oczy, staramy się wywować w pamięci i wyobraźni tło i główne linie ówczesnego życia, wtedy przed oczyma duszy jawi nam się ciasna, otoczona górami kotlina, ze starym klasztorem, kościołem i wieżą, z rozlanym tu wszędzie wiskającym się ogromnym ubóstwem. Równocześnie przypomina nam się i to drugie tło naszego ówczesnego życia: uśmiechniętą życzliwość i pogodną dobroć tamtejszych przełożonych i współnowicjuszy. Bardziej niż włoskie morze i włoskie niebo koloru bławata, one zapadły nam w duszę.

W takim to środowisku i takich warunkach zapoznali się z życiem zakonnym, Zgromadzeniem i jego duchem nasi i stali się jego członkami.

W tym samym środowisku i w tych samych mniej więcej warunkach wychowywali się, również bez mała wszyscy, należący do naszej pierwszej emigracji. W następnych bowiem latach zmieniali się w Albisoli ludzie, tło jednak i styl życia pozostawały bez mała takie same.

Z czasem, gdy liczba nowicjuszy zaczęła wzrastać a warunki materialne nieco się poprawiły, nadbudowano tu wprawdzie nad jednym skrzydłem piętro, następnie zaś dobudowano nawet osobny dom, większa część jednak naszych, mowa to o pierwszej emigracji, wychowała się jeszcze w starym, wyżej opisanym klasztorze.

Jeżeli idzie o mistrzów nowicjuszy, którzy w następnych latach wychowywali kolejno naszą pierwszą emigrację, było ich trzech: znany nam już ks. Luigi Delborgo, ks. Calasia Palladini i ks. Lorenzo Ceresoli, pochodzący z północnych Włoch, z okolicy Albino.

Pierwszy z nich ks. Luigi Delborgo, w ośmioletnim okresie, który nas w tej chwili interesuje, był tu mistrzem dwa razy. Po trzechletnim bowiem rektoracie w scholastykacie bolońskim, w latach zdaje się 1922/23–1924/25, powrócił znów do Albisoli. On to był wychowawcą większej części naszej pierwszej emigracji.

Ks. Lorenzo Ceresoli, który zastąpił go na urzędzie mistrza w roku zdaje się 1928 czy 1929, był mistrzem tylko braci: Turka i Michalika, i to jeszcze nie przez cały czas nowicjatu.

Jeżeli zaś idzie o ks. Palladino, zaraz po objęciu urzędu był on przez jakiś czas mistrzem brata Cichonia, a pod koniec zaś swego urzędowania przez kilka miesięcy także i braci Franciszka Nagyego i Franciszka Solaka.

W styczniu 1930 roku opuścili Albisole ostatni Polacy, należący do pierwszej emigracji. Byli nimi bracia: Wincenty Turek i Stanisław Michalik. Ponieważ w międzyczasie doszło już do otwarcia naszej pierwszej placówki na ziemi polskiej, zdawało się, że w Ligurii polscy nowicjusze już się więcej nie pojawiają. W rzeczywistości stało się inaczej. Bo oto już w dwa lata później, w sierpniu 1932 roku, znów zjawiono się w Albisoli dwóch naszych postulantów — niestety, obaj z czasem mieli odpaść — bracia Franciszek Komender i Julian Majka.

Nie był to jeszcze koniec. Jak bowiem zobaczymy niżej, katastrofa wrześniowa 1939 roku, rzuciła tu aż 11 polskich nowicjuszy i postulantów, którzy po rozproszeniu naszego nowicjatu w Felsztynie, przez Rumunię i Węgry dotarli do Włoch i tu przez przełożonych zostali skierowani do Albisoli, już to dla dokończenia, już to do odprawienia nowicjatu. I tak między innymi, tu właśnie kończyli rozpoczęty w Felsztynie nowicjat bracia klerycy: Jan Bem, Stanisław Sidełko oraz br. Żurek. Tu odprawili cały swój nowicjat brat-kleryk Mytnik i br. Borowy.

Jeżeli kiedyś po latach, kto z polskich współbraci zabłądzi do tego zakątka włoskiej ziemi, niech szuka w tamtejszej kronice, a zapewne znajdzie w niej na przestrzeni lat 1920–1940 aż 37 nazwisk polskich postulantów i nowicjuszy, którzy przez tamtejszy dom się przewinęli. A jeśliby pragnął znaleźć jakąś po nich pamiątkę, inną niż ich podpisy w księdze protokołów, niech idzie przed grotę Matki Boskiej, znajdującą się w ogrodzie. Powstała ona w roku 1926 o do jej powstania przyczynili się ówczesni Polacy.

A gdy się przed nią pomodli, niech wspomni tu na swych pierwszych Współbraci, którzy kiedyś przed laty, w tym zakątku żyli, patrzyli na te góry i morze i nosili w swej duszy obraz tych zakątków i pamięć łask w nich otrzymanych.

Rozdział szósty

Środowiska zagraniczne, w których wychowywali się pierwsi polscy sercanie: Bolonia, scholastykat przy via Nosadella w Bolonii — pierwsi Polacy, — ówcześni scholastycy włoscy — przełożeni bolońskiego scholastykatu — życie scholastykatu — kościół „Madonna dei poveri” — wakacje w Ozzano i Torrano — scholastykat przy via Derna — Albino.

Bolonia

Po ukończeniu nowicjatu w Albisoli polscy młodzieńcy bywali skierowani na dalsze studia zazwyczaj do scholastykatu prowincji włoskiej w Bolonii.

Do końca roku szkolnego 1925/26, a więc w okresie, który w tej chwili nas interesuje, mieścił się on jeszcze przy wąskiej uliczce via Nosadella, w domu oznaczonym numerem 6, obok kościoła Matki Boskiej pod wezwaniem Regina Coeli, zwanego potocznie Madonna dei poveri (Matki Boskiej Ubogich). Kościół ten, jak i wspomniany dom odstąpił naszym w roku 1913 podobno na lat 99, ówczesny arcybiskup Bolonii msgr della Chiesa, późniejszy papież Benedykt XV. Z czasów swych studiów rzymskich znał on i darzył zażyłością naszego Ojca Założyciela. Nasi księża, którzy w roku 1912 przybyli do Bolonii — ks. Oktawiusz Gaspari i znany nam już ks. Goebels, doznali od niego życzliwego przyjęcia.

Dom w którym znalazł pomieszczenie scholastykat dopiero tworzącej się prowincji włoskiej, wciśnięty między kościół a sąsiednie zabudowania, nie miał więcej niż kilkanaście metrów frontu. Główną jego częścią składową była klatka

schodowa, o wąskich i stromych schodach. Z niej to wchodziło się do mieszkań rozrzuconych dosyć nieregularnie i położonych na różnych poziomach. Sporo tu było różnych zakamarków i schodków prowadzących raz w górę, raz w dół. Korytarza nie było.

Skromną kapliczkę domową, cudem pomysłowości i kosztem porzeróbek, umieszczono nad zakrystią kościoła. Małeńkie okienko, wychodzące na kościół, umożliwiało branie udziału w nabożeństwach kościelnych.

Na miejsce rekreacji służyło ciasne, otoczone zewsząd domami podwórko, o powierzchni kilkadziesiątu zaledwie metrów kwadratowych, w okresie zaś niepogody mała salka, położona na II piętrze.

W pewnym okresie dokupiono garaż, znajdujący się po drugiej stronie podwórka. Przerobiono go i nadbudowano nad nim kilka mieszkań.

Pierwszym Polakiem, który zjawił się przy via Nosadella, był scholastyk br. Kazimierz Wieheć. Przybył on tu, jak widzieliśmy, w październiku 1919 roku z Lowanium, skierowany przez Ojca Założyciela. Miał on wtedy ukończony II rok teologii. Tutaj to odbył on ostatnie dwa lata swych studiów teologicznych, a po otrzymaniu święceń kapłańskich, stąd dokonał w roku 1920 swej pierwszej wyprawy rekrutacyjnej do Polski.

W roku 1922, już po wyjeździe ks. Kazimierza Wiehecia do Albino, przybyli z Albisoli do scholastykatu bolońskiego, z końcem marca lub pierwszych dniach kwietnia 1922 roku, dwaj inni Polacy, znani nam już: br. Ignacy Stoszko i br. Julian Lubowiecki. Ich towarzyszy nowicjatu br. Majka, skierowany chwilowo do Albino, miał przybyć do Bolonii dopiero w październiku.

Dla ścisłości należy jednak zaznaczyć, że br. Julian Lubowiecki, młodszy od swych współbraci Polaków o całe dwa lata, został na rok szkolny 1922/23 zatrzymany w

Rzymie, gdzie owego 1922 roku spędzał wakacje z br. Stoszką. Ks. Oktawiusz Gaspari, ówczesny prowincjał, przeznaczył go do pracy biurowej przy budującej się świątyni Chrystusa-Króla.

W późniejszych latach zjawili się przy via Nosadella także br. Paschalis Świder, br. Cichoń, br. Wielgus i br. Kučas. Najdłużej z Polaków, bo jeszcze po przeniesieniu scholastykatu na via Derna, przebywał tu br. Cichoń.

Nasi polscy młodzieńcy, owej jesieni 1922 roku zastali w bolońskim scholastykacie swych kilku starszych towarzyszy nowicjatu, między innymi późniejszego sługę Bożego Antoniego Gallo. Z innych jeszcze starszych, byli tu wtedy bracia: Wawrzyniec Ceresoli, Zagaria, Zambeti Benjamin, Albani i Suardi. Wszystkich scholastyków tak licealistów jak teologów było razem na początku owego roku 1922/23 nie więcej niż kilkunastu. Ich liczba miała się zwiększyć dopiero w kilka miesięcy później. Między innymi przybyli tu wtedy drugi brat Gallo, br. Amorese, br. Pezzarossi, br. Natale, br. Gigante i br. Caricati. Przybył tu wtedy z Rzymi i br. Lubowiecki.

Niektórzy spośród dopiero co wymienionych scholastyków mieli z czasem odegrać w swojej prowincji pewną rolę. I tak — dwu z nich — Zagaria i Ceresoli, piastowali kolejno urząd prowincjała. Albani, Amorese, Natale — zostali pierwszymi w prowincji misjonarzami afrykańskimi. Jeżeli zaś idzie o wpływ, jaki w przyszłości niektórzy z nich mieli wywrzeć na naszą drugą emigrację, to na pierwszym miejscu należy postawić ks. Ceresoligo. W charakterze rektora scholastykatu bolońskiego miał on odegrać znaczną rolę w urobieniu wewnętrznym naszej drugiej emigracji.

Ponad wszystkich jednak prowincję swoją miał z czasem wsławić, o to opinią świętości, obecnie sługa Boży br. Antoni Gallo. W gronie swoich ówczesnych współbraci nie wyróżniał się on jednak niczym nadzwyczajnym. Był cichym, pobożnym, nader pracowitym scholastykiem. Nie mogąc, z powodu bardzo

liczego zdrowia dotrzymać kroku innym scholastykom, prosił on niekiedy autora niniejszego opowiadania, by mu był za towarzysza w drodze na wykłady i z powrotem. Inny z Polaków, który nieco później poznał sługę Bożego i żył z nim jakiś czas przy via Nosadella, ks. Marian Cichoń, miał w przyszłości oddać słudze Bożemu inną, daleko większą przysługę — na wiosnę 1954 roku odbył podróż ze Szwajcarii do Rzymu, by tu w procesie informacyjnym świadczyć o heroicznosci jego cnót. Powróćmy jednak do przerwane go opowiadania.

Przełożonym tej grupki młodzieży zakonnej był od niedawna ks. Luigi Delborgo, którego nasi kilka miesięcy przedtem, mieli mistrzem i rektorem w Albisoli. Poprzednik jego na rektoracie w Bolonii, ks. Hames — zdaje się Luksemburczyk — wyjechał już pod koniec roku szkolnego 1921/22 do swojej prowincji.

Rektorem kościoła i zdaje się, ekonomem domu był wtedy starszy już ks. Karol Troppel, Francuz, znany powszechnie w mieście pod nazwą padre Carlo. Do Zgromadzenia przybył on już jako kapłan, podobno z jakiegoś innego, starego zakonu, w okolicznościach dosyć tajemniczych. Scholastycy żartowali często z jego niemożliwej włoszczyzny. Zresztą cieszył się on pewną powagą wśród duchowieństwa, a niektórzy z kanoników katedralnych podobno byli jego penitentami.

W lecie 1923 roku przybył tu jeszcze trzeci kapłan, przeniesiony z Albino, na prośbę ks. Delborgo, ks. Kazimierz Wiecheć. Miał on pomagać ks. Delborgo w szukaniu środków potrzebnych na zamierzoną budowę nowego scholastykatu przy via Derna, a później być także jego prawą ręką przy budowie.

Kuchnią i bielizną zajmowały się z największym poświęceniem włoskie Urszulanki, zwane przez naszych Suore Bergamasche, gdyż w prowincji Bergamo miały swój dom macierzysty. One to pracowały również w naszych domach

w Albisoli i Albino. Po latach wspominając owe czasy, nasi wprost nie znajdowali słów uznania dla ich bezgranicznie ofiarnej pracowitości.

Alumni scholastykatu przy via Nosadella w owych czasach uczęszczali na wykłady do regionalnego czyli Międzydiecezjalnego Seminarium Arcybiskupiego im. Papieża Benedykta XV, położonego przy via dei Milli, o kilkanaście minut pieszej drogi od naszego domu.

Studia w owym zakładzie trwały siedem lat i obejmowały trzyletni kurs licealny, na którym wykładano te same przedmioty co w gimnazjach klasycznych, ze specjalnym uwzględnieniem filozofii, której poświęcano kilka godzin tygodniowo — oraz czteroletnie studium teologii. Rektorem tego seminarium był w tym okresie msgr. Mimmi, późniejszy kardynał. Profesorami zaś byli kapłani przeważnie diecezjalni. Na kursie licealnym — od niego scholastycy włoscy i polscy, po nowicjackiej przerwie, rozpoczynali swe dalsze studia — łaciny, greki i historii literatury klasycznej, której uczył ks. Mascherini. Był to kapłan małego wzrostu, cichy, pokorny, miłujący odosobnione, ubogie i pracowite życie. Literatury włoskiej i historii uczył wtedy ks. Seracchioli. Filozofii i apologetyki uczył ks. Corsini; matematyki ks. bp Logi; fizyki i chemii don Alvisi, oraz biologii i geologii ks. Nani, zdaje się Filipin.

Naszym polskim młodzieńcom w szczególny sposób utkwiły w pamięci wykłady Boskiej Komedii oraz wspólna z profesorem lektura dzieła Manzoniego „Promessi sposi”.

Warto może zaznaczyć, że jeżeli w początkach nasi Polacy, przynajmniej niektórzy, wykazywali pewne braki, szczególnie z włoskiego i łaciny, to jednak po kilku już miesiącach dorównywali oni swym kolegom włoskim a niejednego z nich nawet przewyższali.

Jeżeli idzie o studia teologii, zdaje się, że poza ks. Kazimierzem Wiechciem, ks. Marianem Cichonem i ks.

Franciszkiem Zawadzińskim, nikt więcej z pierwszej emigracji studiów tych we wspomnianym seminarium regionalnym nie odbywał. Jak bowiem zobaczymy niżej, na studia teologii zostali oni skierowani gdzieindziej. Co więcej, po przeniesieniu scholastykatu prowincji włoskiej do nowego, obszernego gmachu, wybudowanego przy via Derna, dla braku miejsca w seminarium regionalnym scholastycy włoscy przestali uczęszczać na kurs licealny tego zakładu. Natomiast korzystano z wykładów kolejno u ojców dominikanów i ojców serwitów, a wreszcie otwarto u siebie własne studium. W tych to zakładach naukowych niektórzy z naszych od roku 1928 częściowo lub w całości, odbywali swe studia licealne. Lecz nie uprzedzajmy biegu wypadków i powróćmy na via Nosadella.

Życie we włoskim scholastykacie przy via Nosadella nacechowane było w owych latach najwyższym ubóstwem i prostotą. Wszystko tu było więcej niż ubogie. Sam dom był ciasny i niewygodny. Proste było umeblowanie i kuchnia. Odzież też była bardzo uboga. Gdy w roku 1924 pierwsi dwaj z naszych scholastyków wysłani zostali z Bolonii do Belgii, ich wyprawa była tak skromna, że ich nowi przełożeni zmuszeni byli zaopatrzyć ich w niejedno, gdyż w tym, co przywieźli ze sobą, nie można ich było wysłać na dalsze studia. Otóż nielepiej ubrani byli również inni scholastycy włoscy.

W porze zimowej chłód mocno dawał się we znaki także i tutaj. Bardziej jeszcze niż w Albisoli. Klimat boloński jest bowiem surowszy. W sypialniach panowała tak niska temperatura, że niekiedy woda w miednicach zamarzała. Nie lepiej było także i w studium. Był tu wprawdzie żelazny piecyk. Więcej on jednak dawał dymu niż ciepła. Za to w porze letniej, już od maja dawał się we znaki upał; wieczorami zaś bezsenność, spowodowana gorącem i hałasami dochodzącymi z sąsiednich ulic, które w tej porze roku, dopiero po zachodzie słońca, długo w noc tętniły życiem.

Pragnienie tak bardzo tu dokuczało, że zachowanie reguły zabraniającej picia poza czasem posiłku wymagało niekiedy prawdziwego heroizmu. W tych warunkach okres egzaminów był bardzo wyczerpujący. Przeto z upragnieniem oczekiwano tu co roku wyjazdu do willi wakacyjnej.

Należy jeszcze dodać, że ze szkodą dla nauki dosyć dużo czasu zabierało naszym dwukrotne wychodzenie na wykłady do seminarium.

Te prymitywne warunki bytowania, niestety, odbijały się na zdrowiu młodzieży. Raz jeden, raz drugi ze scholastyków musiał zasięgać porady lekarskiej. Często nawet lekarz był bezradny.

Gdy chodziło o domowe, doraźne leczenie, ks. Delborgo miał swoją, wypróbowaną, skuteczną metodę: przy każdym mianowicie podwyższeniu temperatury aplikował rycynus i „bordo”, czyli specjalny rosół dla przepłukania przewodu pokarmowego — oraz ścisłą dietę. Dopóki temperatura nie opadła do normalnej, pacjent nie otrzymywał żadnego pokarmu.

Pomimo prymitywnych warunków, w jakich płynęło wtedy życie scholastykatu, młodzież tamtejsza pełna była werwy, zapału i optymizmu. Pomimo ciasnoty i małej liczby cholastryków raz i drugi urządzano tu skromne akademie misyjne i inne. Przy takiej to okazji, pewnego razu, także i dwaj polscy scholastycy wystąpili jako aktorzy w jakiejś wesołej sztuczce. Jeden z nich, samym swoim ukazaniem się na scenie wywołał u widzów nie milnący huragan śmiechu aż do łez, tak że aktorzy przez dłuższy czas nie mogli rozpocząć swej roli.

Innym razem, a było to w lecie w willi wakacyjnej w Ozzano, nasi scholastycy urządzili odczyt misyjny z przeźroczkami, na który zaprosili okoliczną ludność i miejscowego, życzliwego nam księdza proboszcza. Impreza ta zakończyła się jednak kompromitacją, gdyż prymitywny aparat proje-

kcyjny na lampę karbidową całkowicie zawiódł. Instalacja produkująca gaz karbidowy, pomimo wysiłków młodych operatorów, kilkakrotnie po głośnym bulgotaniu, stawała w płomieniach, gdyż wąż gumowy, pożyczony od księdza proboszcza, a służący kiedyindziej do spuszczenia wina, zatkawszy się ósrodką chleba, nie chciał doprowadzić gazu do lampy. Goście, jeden po drugim, zaczęli opuszczać salę zapowietrzoną gazem acetylenowym. Wkrótce na sali pozostał sam ksiądz proboszcz, zażenowany niepowodzeniem gospodarzy i mocno zmartwieni scholastycy. Wreszcie wszystko zakończyło się salwą himerycznego śmiechu.

Na przechadzki chodzono już to małymi grupkami na miasto, już to wspólnie na podmiejskie wzgórza. W niedziele podczas tych przechadzek w pewnym okresie wstępowano na prywatną adorację do jednego z licznych w Bolonii kościołów.

Jeżeli idzie o kościoły, w szczególny sposób naszym utkwity w pamięci San Petronio i katedra. Do tej ostatniej zachodzili niekiedy nasi wieczorami dla posłuchania kazań głoszonych przez słynniejszych kaznodziei. Szczególną zaś atrakcją stały się dla nich kazania głoszone tutaj pewnego razu przy jakiejś okazji w formie dysputy między dwoma kaznodziejami.

Zachodzono niekiedy między innymi także do San Domenico i Santa Catarina. Zdaje się, że w tym to kościele pokazywano naszym podpis własnoręczny św. Teresy od Dzieciątka Jezus, złożony przez nią w księdze pamiątkowej, podczas opisanej w „Dziejach duszy” jej pielgrzymki do Rzymu.

Dosyć często za cel swoich przechadzek obierali nasi znane w środkowych Włoszech sanktuarium Matki Boskiej zwane Madonna di San Luca, położone na wzgórzu, kilka kilometrów za miastem, połączone jednak z miastem krużgankami.

Niekiedy zachodzono także i na piękny, duży cmentarz boloński, pełen marmurowych nagrobków i kaplic. Napisy

na nich nie zawsze były chrześcijańskie. I tak pewnego razu, błądząc po owym cmentarzu natknęli się nasi na rodzaj kaplicy, w której można widzieć figurę siedzącej, pogrążonej w rozpacz kobiety, a na ścianie odczytać napis: „Vita brevis, rara gaudia, mors infida, aeternus dolor”.

Dosyć dużo miejsca w życiu scholastyków zajmował połączony z naszym domem, wspomniany wyżej kościół „Madonna dei poveri”. Służyli tu oni do Mszy św.

Naszym polskim młodzieńcom w szczególny sposób utkwiło w pamięci odprawione w tym kościele uroczyste triduum z okazji beatyfikacji św. Teresy od Dzieciątka Jezus, z kazaniem ks. biskupa Pranziniego. Był to krewny owego Pranziniego, o którym opowiadają „Dzieje duszy”. Z wdzięczności dla św. Teresy za to, co ona uczyniła dla jednego z członków jego rodziny, ks. biskup Pranzini podjął się wygłoszenia swych kazań. W jednym z nich opowiedział on swym słuchaczom historię nawrócenia owego nieszczęśnika, dodając kim on był. Wrażenie było wielkie.

Raz i drugi przewodniczył nabożeństwom w naszym kościele także kardynał Nasali Rocca, arcybiskup Bolonii, wielki przyjaciel naszego scholastykatu.

W roku 1924 lub 1925 kościół nasz o mało nie spłonął. Otóż podczas uroczystego nabożeństwa, kościelny — jeden z Polaków — przez nieuwagę, przy zapalaniu świec dotknął stoczek zawieszony nad ołtarzem draperii, która w mgnieniu oka zapaliła się. Z niesłychaną szybkością ogień przeniósł się na inne draperie, którymi tamtejszym zwyczajem udekorowany był cały kościół. Strzępy palącej się materii zaczęły spadać na głowy wiernych. W kościele rozpoczął się popłoch. Straż pożarna zlikwidowała ogień.

Jeżeli idzie o ważniejsze zdarzenia, które w owym okresie wstrząsnęły życiem scholastykatu bolońskiego, to jednym z nich był przewrót faszystowski i marsz czarnych koszul na Bolonię, w jesieni 1922 roku, a więc wkrótce po przybyciu

naszych Polaków do scholastykatu. Stan wyjątkowy trwał w mieście kilka dni. Wkrótce jednak pościągano rozstawione na rogach ulic karabiny maszynowe. Do rozlewu krwi tutaj nie doszło.

Wspomniany przewrót nie wpłynął w niczym na życie scholastykatu. Przyznać jednak trzeba, że chociaż nasi księża i scholastyki nie byli zachwyceni dokonaną rewolucją, szczególnie zaś stosowanymi wobec opozycji przez faszystów metodami (rycynus i kij), to przecież pozytywnym jej następstwem było to, że publiczne zaczepianie księży przez rozwydrzone elementy, tak częste przedtem w Bolonii, prawie że ustało.

W roku 1923 zaszedł wypadek, który scholastyki nasi głęboko odczuli: była nim tragiczna śmierć całej niemal rodziny br. Franceschetti, odbywającego swe studia w Rzymie, należącego jednak do bolońskiego scholastykatu. Jego dom rodzinny w północnych Włoszech został w jednej chwili zmyty z powierzchni ziemi i porwany w dół przez wody sztucznego jeziora, położonego znacznie wyżej, którego zapora zawiodła. Zginęła cała rodzina. Ocalał tylko brat, który chwilę przed tym wypadkiem wyszedł ze strzelbą na ptaki. Wypadek ten był tym tragiczniejszy, że zdarzył się na kilka zaledwie miesięcy przed święczeniami kapłańskimi ks. Franceschetti.

Niecodziennym przeżyciem dla maleńkiego scholastykatu przy via Nosadella była wizytacja dokonana z ramienia Ojca Założyciela przez jego asystenta ks. Wawrzyńca Philippe'a w roku szkolnym 1922/23. Na naszych dwóch scholastykach wielkie wrażenie wywarła pełna godności i autorytetu postać tego kapłana. Widzieli go oni wtedy po raz pierwszy w życiu. W następnych latach miał on odegrać w ich życiu ważną rolę.

Ze względu na panujące w porze letniej upały, scholastykat boloński przenosił się na okres wakacyjny na wieś. W

roku 1923 spędzono wakacje w Ozzano, wiosce położonej zdaje się o kilkadziesiąt kilometrów na południowy-wschód od Bolonii, w wynajętej na ten cel piętrowej willi, zwanej „Villa dei Spagnoli”.

Oprócz księdza Delborgo bawił tu wtedy przez pewien czas także i ks. Wiecheć, co dopiero przeniesiony z Albino do bolońskiego scholastykatu. Wśród scholastyków byli tu wtedy bracia: Stoszko, Majka i zdaje się Lubowiecki, a także brat Paschalis Świder. Nasi w wolnych chwilach zaczytywali się w zaprenumerowanych dla nich przez księdza Wiechecia „Przeglądzie Powszechnym” i „Misjach Katolickich” ojców jezuitów. Bojąc się, by nie zapomnieli języka ojczystego, dostarczał on im polskich czasopism i książek. Na ich prośbę wystarał się także o gramatykę języka rosyjskiego.

W roku następnym wyjechano na letnie wakacje do Torrano, miejscowości położonej niedaleko Imoli. Stała tam na małym wzniesieniu dosyć duża willa z kościółkiem, od jakiegoś czasu nie zamieszkana, własność, zdaje się, biskupstwa z Imoli. Naszym Polakom na zawsze utkwiała w pamięci piesza przeprowadzka do tej willi.

Dla uniknięcia upału wyruszono z Bolonii w wieczór. Pokorzępiając się wodą z przydrożnych studni, scholastycy pokonali owej nocy ponad 40 kilometrów i rano szczęśliwie przybyli do celu. Ponieważ zaś nie mieli z sobą ani żywności, ani pieniędzy, a wóz wiozący bagaże opóźniał się i przybył dopiero koło południa, dokuczliwy głód i osłabienie oszukiwano i skracano drzemką w cieniu drzew.

Jeżeli idzie o samą miejscowość Torrano, była to nieduża wioska. Koło domów znajdowały się dosyć duże sady brzoskwiniowe, zaprowadzone przez miejscowego księdza proboszcza, zapalonego rolnika. Przynosiły one ludności znaczne dochody.

Wkrótce po swym przybyciu do tej miejscowości ks. Luigi Delborgo, w towarzystwie kilku scholastyków, wśród których

byli także i nasi Polacy, złożył wizytę miejscowemu ordynariuszowi, rezydującemu w Imoli. Był nim członek zakonu ojców kapucynów.

Najważniejszą rozrywką podczas wakacji tu spędzanych były dosyć częste, całodniowe wycieczki, urządzone w Apeniny pod przewodnictwem księdza Wiehecia. Dosyć często bawiono się tu także w piłkę nożną. Nie była to jednak regularna gra, lecz gromadna, bezładna gonitwa za piłką nożną. Ksiądz Wieheć zapalony i zdolny szachista, grywał w szachy, partia za partią ze starszymi scholastykami.

Z Polaków, oprócz księdza Wiehecia spędzali tu wakacje owego roku bracia Stoszko, Lubowiecki, Majka, Cichoń, Wielgus, Kudas i brat Paschalis Świder.

W owym roku 1924 bawili tu także dwaj scholastycy holenderscy, odbywający swe studia w Rzymie: bracia Mekkelholt, późniejszy wikariusz apostolski na Sumatrze i Dorrestejn, autor książki „De spiritualitate P. L. Dehon”. Blisko 30 lat później, ten ostatni w liście pisanym do autora niniejszego opowiadania, jeszcze wspominał o pewnej braterskiej przysłudze oddanej mu przez brata Lubowieckiego podczas jednej z owych wakacyjnych wycieczek, odbywanych pod przewodnictwem księdza Kazimierza Wiehecia — w trudnym dla Holendra przejściu przez niewielkie wzniesienie; polski scholastyk podtrzymywał na pół nieprzytomnego z trwogi współbrata.

W następnych latach podczas wakacji w willi tej przebywali krócej lub dłużej także i bracia Franciszek Nagy, Franciszek Solak i Michał Wietecha.

Ostatni raz scholastykat boloński spędził tu miesiące wakacyjne zdaje się w roku 1928. Dalsze korzystanie z owej willi stało się niemożliwe, a to z powodu strachów, które nocną porą dawały się tu naszym we znaki. Za pierwszym razem, w lecie 1924, wakacje spędzono tu zupełnie spokojnie. W późniejszych dopiero latach tajemnicza postać, krążąca

nocą po domu — nie widziano jej, lecz słyszano jej ciche stapanie, przytłumione jęki i narzekania — napawały scholastyków trwogą.

Od stróżki owej willi dowiedziano się, że ową tajemniczą zjawę i ona także słyszy dość często, i że do tego już się przyzwyczała. Dowiedziano się również, że z tego to właśnie powodu dom ten przez kilka już lat z rzędu stał pusty, i że ostatni jego lokatorowie, klerycy z seminarium biskupiego z Imoli, pewnej nocy z niego puciekali. Według tego, co sobie na ucho opowiadano, ową tajemniczą zjawę miał być pewien zmarły tutaj kapłan, który dla literatury zaniedbywał obowiązki kapłańskie. Zbyt wiele osób było świadkami tych zdarzeń. Jeszcze po latach współbracia niekiedy o nich opowiadali.

Powróćmy jednak do wakacji roku 1924. Dla dwóch najstarszych synów duchowych ks. Kazimierza Wiehecia wakacje te były ostatnimi, jakie spędzili na ziemi włoskiej. Już bowiem gdzieś z wiosną owego 1924 roku, pewnego dnia ks. Kazimierz Wieheć oznajmił im, że przełożeni mają zamiar wysłać ich na dalsze studia do Strasburga. Ponieważ zaś francuskiego nie znali wcale, ks. Tropel zaczął udzielać im lekcji tego języka.

Starania o paszport i wizy trwały niemal całe wakacje. W ostatniej dekadzie września, pewnego wieczoru O. Delborgo załadował do pociągu obydwu młodych Polaków i odprawił ich do Mediolanu. Stąd pociągiem międzynarodowym z przesiadką w Bazylei — przez Strasburg i Luksemburg, nigdzie nie zatrzymując się po drodze — dotarli do Brukseli.

Powróćmy jednak jeszcze do Bolonii.

W roku 1925 scholastykat boloński został przeniesiony do nowowynbudowanego obszernego domu przy via Derna, w nowej, powstającej dopiero dzielnicy. Dom przy via Nosadella pozostał odtąd tylko siedzibą rektora kościoła, by z czasem stać się również rezydencją prowincjała. Czasem umieszczano

tu także słabujących scholastyków, potrzebujących słabszego reżimu. I tak, pomimo przeniesienia scholastykatu na via Derna, tu właśnie spędził trzy lata ks. Marian Cichoń, uczęszczając na wykłady teologii do seminarium regionalnego (1929/30–1932/33).

Zaznaczyć warto, że w tym mniej więcej czasie jego brat Władysław, artysta-malarz, absolwent Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, wymalował częściowo kaplicę nowego scholastykatu przy via Derna.

Dom przy via Derna, rozbudowany zdaje się dwukrotnie — za wyjątkiem wspomnianych wyżej Polaków, którzy w roku 1924 opuścili Włochy, oraz ks. Wincentego Turka — znali wszyscy Polacy, należący do pierwszej i drugiej emigracji włoskiej. Wszyscy oni bowiem w tym właśnie domu odbywali, przynajmniej częściowo, swoje studia licealne lub teologiczne. Toteż można powiedzieć, że ze wszystkich środowisk zagranicznych i to nie tylko włoskich, scholastykat boloński przy via Derna największą odegrał rolę w historii naszej pierwszej i drugiej emigracji, tak gdy idzie o liczbę Polaków, którzy od roku 1925 do 1944 przezeń się przewinęli, jak i o czas ich pobytu w tym domu. Podczas gdy przez takie środowiska zagraniczne jak Strasburg, Lille czy Lowanium przeszły tylko nieliczne grupki naszych, to przez scholastykat przy via Derna przewinęła się ogromna ich większość.

Co więcej, u wielu z nich wspomnienie Bolonii z jej wąskimi uliczkami, portykami, dwoma pochyłymi wieżami, z sanktuarium Madonny de San Luca i kościołem św. Petroniusza, skojarzyło się na zawsze ze wspomnieniami tak głębokich przeżyć, jak święcenie kapłańskie w tym mieście otrzymane i pierwsza Msza św. w życiu tutaj odprawiona — czy przejść tego rodzaju, jak groźne trzęsienie ziemi przeżyte tutaj przez niektórych w roku 1929, lub straszliwe bombardowania z powietrza podczas II wojny światowej.

Wyraz „Bolonia” do końca życia budzić będzie w duszach wielu z naszych współbraci wdzięczność dla Boskiego Mistrza, który dziwnymi drogami potrafił przyprowadzić ich z dalekiej północy do tego miasta, by ich tu obsypać swymi największymi łaskami i przygotować ich do posłannictwa.

Albino

Wspomnijmy o innym jeszcze tutejszym środowisku, które chociaż mniejszą niż Albisola i Bolonia — to jednak rzeczywistością odegrało rolę w życiu przynajmniej niektórych polskich sercanów pierwszej i drugiej emigracji. Tym środowiskiem była szkoła apostołska w Albino, w prowincji Bergamo. Jest to najstarszy nasz dom we Włoszech, gdyż założony został jeszcze w 1907 roku. W czasie pierwszej naszej emigracji, był to najpiękniejszy z czterech domów jakie wówczas prowincja włoska posiadała.

Samo Albino, nieduże miasteczko położone jest w uroczej okolicy na pogórzu oddzielającym Alby od niziny Lombardzkiej. Jest to przepiękna i zdrowa okolica, która umożliwia odbywanie urozmaiconych wycieczek, szczególnie na wysokie wzniesienia Podalpia.

W chwili, gdy zaczęli doń napływać pierwsi Polacy, dom tamtejszy nie był tak jeszcze rozbudowany jak obecnie. Składał się on wtedy z centrum, stanowiącego główny trzon domu i z dwu niewielkich skrzydeł. Tak jak obecnie, było tam już wtedy małe seminarium, zwane we Włoszech szkołą apostołską. W owym czasie nie liczyła ona więcej nad setkę uczniów. Nosili oni sutanny, nawet najmniejsi.

Rektorem tego zakładu był wówczas ks. Santulli, ekonomem ks. Cortinovis, rodem zdaje się, z samego Albino. Grono profesorskie składało się z księży, scholastyków i jednej siły świeckiej.

Okoliczna ludność w owych czasach nazywała naszych „preti francesi”.

Pierwszym wychowankiem tego seminarium, który doszedł do kapłaństwa, był ks. Bosio, późniejszy prokurator przy Stolicy Świętej.

Pierwszym Polakiem, który zjawił się w Albino, był ks. Kazimierz Wiecheć. Przybył on tu, zdaje się, wczesną jesienią 1921 roku, po ukończeniu swych studiów w Bolonii i po powrocie z drugiej wyprawy rekrutacyjnej do kraju. Objął on tu stanowisko naczelnego prefekta i profesora, na którym to stanowisku miał pozostać z przerwami cztery lata, aż do chwili naszego osiedlenia się w kraju — w roku 1928.

Wiosną 1922 roku, zjawił się to drugi Polak br. Majka, skierowany tutaj z Albisoli po I profesji św. Przez kilka miesięcy był on świadkiem życia, jakie w tym czasie prowadził ks. Wiecheć. Wstawał pierwszy, kładł się na spoczynek ostatni. Gdy chłopcy wstawali, on był już po Mszy św. i dzięki czynieniu. Oprócz lekcji, większość dyżurów, poprawa zadań, załatwianie bieżących spraw, przygotowanie okazyjnych uroczystości i występów teatralnych, wszystko to było na jego głowie.

Wśród uczniów i profesorów budził respekt. Bez przesady można powiedzieć, że w owych latach był główną kolumną i duszą małego seminarium.

Jeżeli idzie o innych Polaków z pierwszej emigracji, zjawili się oni tu kolejno tylko na krótki czas, na rok lub kilka miesięcy. I tak br. Paschalis Świder przybył tu dnia 24 kwietnia 1923 roku i pozostał tu jeden rok. Brat Cichoń w roku 1924 i br. Franciszek Nagy w 1928 roku (przybył do Albino w styczniu), spędzili tu tylko kilka miesięcy. Br. Michał Wietecha bawił tu od listopada 1928 roku do końca roku szkolnego 1929; pomagali oni w dyżurach, pracowali w biurze i uczyli się prywatnie.

Także i niektórzy z naszej drugiej emigracji spędzili jakiś czas w Albino. I tak, gdy w lecie 1940 roku, po wybuchu wojny między Włochami a Francją, Albbisola stała się tere-

nem przyfrotnowym. Nasi ówcześni trzej nowicjusze, bracia Mytnik, Borowy i Hyszko, jako obcokrajowcy, zmuszeni zostali przez władze włoskie do opuszczenia Albisoli. Przełożeni skierowali ich wtedy do Albino. Tu pod kierownictwem ks. Delborgo, Asystenta Generalnego, kontynuowali nowicjat. Po trzech miesiącach wrócili jednak z powrotem do Albisoli.

Ostatnim z naszych, który bawił w Albino, był br. Roman Kubina. Spędził on tu rok szkolny 1944/45 w charakterze prefekta dyżurującego, przerabiając równocześnie III rok teologii, zorganizowany dla prefektów małego seminarium.

N.B. Opuszczono opis innych środowisk zagranicznych, w których wychowywali się pierwsi polscy sercanie: Strasburg, Lille, Lovanium, Brugelette.



Rozdział siódmy

Przy ulicy Koszykarskiej w Płaszowie (22 września 1928 — 30 kwietnia 1931): nasze zgrupowanie na progu roku 1928 — przyjazd ks. Kazimierza Wiehecia do Krakowa — propozycja Księcia Metropolity Adama Sapiehy — opis Płaszowa i jego przeszłość — wypad księdza Wiehecia do Włoch (1–19 sierpnia 1928) — Dom Księży Emerytów w Krakowie pierwszą siedzibą sercańskiej grupy — przeprowadzka do Płaszowa (22 września 1928) — tryb życia przy ulicy Koszykarskiej — niedostatek i przykrości od środowiska — opis środowiska — pierwsza spowiedź wielkanocna i pierwsza kolęda — katechetura — pierwsi kandydaci — przyjazd z zagranicy pierwszych współbraci.

Rok 1928 stanowi datę przełomową w historii naszych początków. W tym to bowiem roku doszło do naszego osiedlenia się na ziemiach polskich.

W styczniu owego roku 1928 zgrupowanie nasze liczyło już 14 członków. Byli zaś rozmieszczeni następująco.

Ks. Kazimierz Wieheć, jedyny kapłan, przebywał w małym seminarium w Albino, w północnych Włoszech, w charakterze naczelnego prefekta. Bawił tam także, jako prefekt dyżurujący br. Franciszek Nagy, który dopiero co, bo w Boże Narodzenie roku poprzedniego ukończył nowicjat w Albisoli. Jego dwaj towarzysze nowicjatu, br. Franciszek Solak i br. Izydor Cioch, oraz starszy od nich br. Wielgus, przebywali w owym czasie w bolońskim scholastykacie, znajdującym się już od dwóch lat przy via Derna. Tu przebywali wtedy również br. Paschalis Świder, podówczas

jedyny brat w naszym zgrupowaniu, oraz aspirant Rajczewski.

W tym samym czasie w Albisoli odprawiali rozpoczęty przed kilkoma tygodniami nowicjat bracia Franciszek Zawadzinski, Michał Wietecha i Jan Wilczyński.

Brat Marian Cichoń bawił od kilku już miesięcy u swych rodziców w Cieszynie, dla poratowania nadszarpniętego zdrowia. Wreszcie najstarszy z synów duchownych ks. Kazimierza Wiechecia bracia Ignacy Stoszko, Władysław Majka i Julian Lubowiecki odbywali swe studia teologiczne w Strasburgu we Francji. Dwaj pierwsi od kilku miesięcy byli już subdiaconami, a w marcu mieli otrzymać święcenia kapłańskie.

Ojciec Założyciel nie żył już wtedy od dwóch przeszło lat a naczelne rządy Zgromadzenia sprawował pierwszy jego następca ks. Philippe, późniejszy biskup ordynariusz Luksemburga.

W pamiętnym roku 1928 ks. Kazimierz Wieheć przybył do Krakowa, tym razem na stałe, w Niedzielę Palmową, 1 kwietnia, po osiemnastu latach od swego wyjazdu do małego seminarium w Tervuren.

Kilkanaście godzin przed nim, w sobotę ostatniego marca, w godzinach przedpołudniowych, przybyli do Krakowa także dwaj inni polscy sercanie, neoprezbiterzy ks. Ignacy Stoszko i ks. Władysław Majka, którzy w poprzednią sobotę otrzymali święcenia kapłańskie w Strasburgu, a teraz udawali się do swoich rodzin, nie widzianych już od ośmiu lat, ze Mszą św. prymicyjną. Nie zatrzymując się w Krakowie, tego samego dnia, a więc jeszcze przed przyjazdem ks. Kazimierza Wiechecia, udali się do swoich rodzinnych stron. Po prymicjach mieli oni jeszcze powrócić do Strasburga, dla dokończenia roku szkolnego.

Ks. Kazimierz Wieheć, przybywając na stałe do Krakowa, postanowił zatrzymać się tymczasowo w Domu Księży Emyretów, przy ul. św. Marka 10, gdzie rektorem był jego dawny

katecheta, opiekun i przyjaciel, znany nam już ks. prałat Mateusz Jeź.

Przybywając do Domu Księży Emerytów ks. Wiecheć zastał tu dwóch młodych księży sercanów prowincji holenderskiej, ks. Jana Vernooy'a i ks. O. Mensa. Przeznaczeni na misje do Szwecji, przybyli oni do Krakowa 3 października poprzedniego roku, by tu u ks. prałata Jeźa poduczyc się języka polskiego. Pierwsze lekcje tego języka pobierali oni już w Lowanium podczas wakacji 1927 roku. Ich nauczycielami polskiego byli ks. Stoszko i ks. Majka, wtedy jeszcze scholastycy, którzy owego roku tam właśnie spędzali swe wakacje. Udając się do Krakowa po drodze wzięli oni udział w Międzynarodowym Kongresie Misyjnym w Poznaniu od 28 września do 1 października.

Jednemu to właśnie z nich, ks. Janowi Vernooy'owi, obecnie proboszczowi w Helsinkach zawdzięczamy podaną wyżej dokładną datę przyjazdu na stałe do Polski ks. Wiechecia i kilka szczegółów, będących cennym wkładem w historię naszego pierwszego domu w Polsce. Oto urywek odpowiedzi danej w języku niemieckim na niektóre pytania przesłanego mu kwestionariusza:

Ks. Wiecheć przybył do Krakowa 1 kwietnia 1928 roku w nocy około wpół do drugiej. Była to Niedziela Palmowa. Wiem to dokładnie, gdyż prowadziłem dziennik.

Wkrótce udał się on do Metropolity ks. bpa Sapiehy. Ten zaproponował mu Płaszów. Ks. Wiecheć chciał jednak przedtem poszukać gdzie indziej. Był nawet w innej diecezji.

Gdy 11 kwietnia żegnałem się z ks. biskupem, Jego Ekscelencja rzekł do mnie: «Proszę, powiedz księdzu Wiecheciowi, że jeżeli chce, może w Płaszowie budować Kościół, jeżeli jednak to mu nie odpowiada, nic innego nie mam dla niego w diecezji». Słowa te przekazałem księdzu Wiecheciowi i w następnym dniu wyjechałem do Szwecji.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę niezwykłą rzutkość księdza Wiechecia, możemy przyjąć niemal za pewne, że wspomniana

wyżej jego pierwsza wizyta u Księcia Metropolity nastąpiła wkrótce po jego przyjeździe do Krakowa, a więc już w pierwszych dniach Wielkiego Tygodnia i że Płaszów oglądał on po raz pierwszy w tym samym prawdopodobnie dniu. Dzielnica ta nie nadzwyczajna, jednak na nim musiała zrobić wrażenie, skoro, jak pisze ks. Vernooy, postanowił on próbować szczęścia jeszcze w innej diecezji. Przybył on zresztą do kraju prawdopodobnie z zamiarem osiedlenia się w poznańskim. Twierdził bowiem, że tamtejsze powołania miały być solidniejsze od powołań z Małopolski i Królestwa. O tym zamiarze osiedlenia się w poznańskim wspominał on swoim młodszym współbraciom w poprzednich latach kilkakrotnie. Co wobec tego skłoniło go do złożenia wizyty Księżciu Metropolicie?

Jeśli pamięć nie myli, rzecz miała się następująco. Po swym przybyciu do Krakowa w jesieni roku 1927 wymienieni dwaj ojcowie holenderscy złożyli wizytę Księżciu Metropolicie, w czasie której zwierzyli się, że wkrótce jeden z naszych księży przyjedzie z Włoch, by otworzyć w Polsce pierwszy dom księży sercanów. Na to Księżę Metropolita rzekł: „Proszę mu powiedzieć, by po przyjeździe zgłosił się do mnie”. Słowa te powtórzono księdzu Wiecheciowi.

Nie wiemy o jakiej to diecezji wspomina przytoczony wyżej urywek listu ks. Vernooy'a. Nie jest wykluczone, iż uczynił on wtedy wypad do Przemyśla. Ksiądz Franciszek Nagy twierdzi, że ksiądz Wieheć był owego roku 1928 także w Wilnie. Kiedy dokładnie to było, trudno tego dociec.

Prawdopodobnie podczas tego wypadu spotkała księdza Wiehecia pewna przykreść spowodowana jego niezbyt estetycznie brzmiącym nazwiskiem. Jednego razu opowiedział on swojemu młodszemu współbratu, jak to w okresie swoich poszukiwań za miejscem naszego osiedlenia się, w pewnej kurii biskupiej mimo woli usłyszał taki urywek rozmowy ordynariusza naradzającego się ze swoim zdaje się kancle-

rzem: „Ech! Jak on się nazywa ten ksiądz! Mógłby przecież inne jakie przybrać sobie nazwisko!”

Jakkolwiek było, ze wspomnianego wyżej wypadku wrócił ks. Wiecheć z niczym i zaczął realnie myśleć o przyjęciu uczy-nionej mu przez Księcia Metropolitę propozycji. Kiedy doszło do porozumienia, trudno to dzisiaj ustalić. Przykre zajście, o któ-rym opowiemy niżej, kazało przypuszczać jednak, że porozu-mienie to musiało być tylko ustne, bez wymiany dokumentów.

W tygodniu poświęconym, wkrótce po wyjeździe ks. Vernooy'a do Szwecji, ks. Wiecheć wybrał się do Płaszowa w towarzystwie ks. Majki, który po odprawieniu prymicji zjawił się u niego w Domu Księża Emerytów. „Trójka zawiozła ich na koniec ulicy Lwowskiej, która wtedy nazywała się jeszcze ulicą Salinarną, następnie ulicą Dąbrowskiego i De-kerta, nie pytając o drogę, gdyż ks. Wiecheć znał ją dobrze, przybyli na ulicę Saską.

Tu, w samym rogu ulicy Saskiej i ulicy Przewóz ks. Wiecheć pokazał swojemu młodemu towarzyszowi parcelę, którą, jak mówił, magistrat miasta Krakowa ma odstąpić na budowę kościoła. Chwilowo była ona uprawiana przez kilku dzierżawców. Po zbiorach mieli oni jednak z dalszej dzierżawy zrezygnować. Wskazując budynek szkolny przy ul. Saskiej ks. Wiecheć informował swego towarzysza, że tutejsza kate-chetura byłaby również do objęcia przez nas.

Wkrótce obok dumających nad ową parcelą księżmi zja-wiło się trzech miejscowych obywateli, Franciszek Cieślik, kierownik tutejszej siedmioklasowej szkoły powszechnej, Wi-ktor Kawalerowicz, emerytowany żandarm austriacki i wła-ściciel kamienicy przy ul. Płaszowskiej, oraz Wojciechowski, krawiec. Pierwszy z nich naszym pojawieniem się tutaj był szczególnie zainteresowany, gdyż był on właśnie jednym z dzierżawców przeznaczonej pod budowę parceli.

Wszyscy trzej starali się jednak jak najlepiej usposobić ks. Wiehecia do projektu osiedlenia się naszego w ich dzielnicy.

Na towarzyszu ks. Wiehecia w owym pośepnym dniu kwietniowym, bez promyka słońca, Płaszów, ze swoimi czarnymi, żużlem wysypanymi ścieżkami, zadymioną stacją i dymiącymi kominami kilku podówczas cegielni, nieco przygnębiające wywarł wrażenie. Wyglądał on wtedy raczej na lichą, podmiejską wioskę, niż dzielnicę Krakowa. Wrażenie to uzasadniały dosyć często spotykane tu jeszcze strzechy i liczne wierzby, którymi obsadzone były gromadzkie pastwiska.

Nie było tu wtedy wodociągu ani elektryczności. Do Podgórza chodziło się pieszo. Ulica Łanowa dopiero powstawała. Nie było ani „Działek” ani portu.

Do Krakowa był Płaszów włączony dopiero od lat kilkunastu, tuż przed pierwszą wojną światową. Aż dotąd był on zwykłą wioską podkrakowską. Pewien dokument z połowy XIII wieku już o niej wspomina. W owym czasie wieś ta była własnością klasztoru zwierzynieckiego. Za Długosza był Płaszów wsią królewską i należał do parafii Bożego Ciała na Kazimierzu.

W chwili gdy ks. Kazimierz Wieheć zaczynał myśleć o naszym osiedleniu się w Płaszowie, dzielnica ta należała do największej podówczas w archidiecezji krakowskiej parafii św. Józefa w Podgórzu, liczącej wtedy podobno 36 000 dusz.

Należy również zazanczyć, że uczyniona ks. Wieheciowi przez Księcia Metropolitę propozycja osiedlenia się w Płaszowie, była częścią szeroko zakrojonego i konsekwentnie realizowanego planu obsadzenia przedmieść rozrastającego się Krakowa zakonnikami.

Powróćmy jednak do przerwane go opowiadania. Kilka dni po wyżej opowiedzianym wypadku do Płaszowa zjawili się u ks. Wiehecia, mieszkającego, jak wiemy, przy ul. św. Marka, tym razem już obydwaj prymicjanci, wracający ze swych rodzinnych stron do Francji.

Po ich wyjeździe ks. Wieheć przez kilka miesięcy pozostał w kraju sam, przygotowując fundację w Płaszowie. W środę 1

sierpnia wyjechał on zresztą do Włoch, by zaprowadzić do nowicjatu w Albisoli dwóch aspirantów, znanych nam już Wincentego Turka i Stanisława Michalika. Nie zabawił on tam jednak długo, gdyż autor nieniejszego opowiadania, przybywając z Belgii do Krakowa, zastał go już przy ul. św. Marka.

Kilka dni później zjawił się w Krakowie trzeci jeszcze sercanin, br. Paschalis Świder. Przybył on z Bolonii.

Ponieważ w wydzierżawionym domu przy ul. Koszykarskiej w Płaszowie lokatorzy nie zdążyli się jeszcze wyprowadzić, ks. Wiecheć polecił swoim towarzyszom udać się na jakiś czas do swoich domów rodzinnych, a gdy powrócili pod koniec sierpnia, umieścił ich również w Domu Księży Emerytów. Wraz z ks. Wiecheciem spędzili tu około trzech tygodni.

Mieszkało tam wtedy, między innymi, kilku księży katechetów krakowskich szkół, jak np. ks. kanonik Gałuszkiewicz, znany liturgista ks. dr Kordel i ks. Hajduga, późniejszy benedyktyn z Tyńca, który podówczas był jeszcze kapłanem diecezjalnym, notariuszem kurii metropolitalnej. Nasi księża spotykali się z nimi przy wspólnym stole. Ks. dr. Hajduga odpowiadał ich nawet niekiedy w ich mieszkaniach.

Do Płaszowa przeprowadzili się nasi dopiero w sobotę 22 września, ku wieczorowi. Jednego z nich, który dopiero o zmroku zdążył do swych współbraci na Koszykarską zaczęło kilku pijaków. Skończyło się jednak na serdecznych uściskach z ich strony i zapewnieniu o życzliwości.

Kolację owego dnia spożyto stojąc, nie było bowiem jeszcze ani stołów ani krzeseł.

Wynajęty przez ks. Wiehecia przy ul. Koszykarskiej czerwony, parterowy domek, oznaczony numerem 7, własność pani Darowskiej z Biezanowa, składał się z czterech dosyć dużych pokoi, z których każdy poprzedzony był kuchenką, oraz z dużej kuchni i pokoiku, znajdujących się na poddaszu.

Wkrótce po przeprowadzce zaczęło się w tym zaimprovizowanym klasztorze dosyć regularne życie. A oto jak ono

wyglądało. Ponieważ w domu dla braku miejsca nie było kaplicy, na ćwiczenia poranne udawano się wspólnie do Ochronki sióstr służebniczek przy ul. Myśliwskiej. Po śniadaniu ks. Wiecheć najczęściej wychodził do miasta lub załatwiał sprawy w dzielnicy, jego zaś towarzyszył szedł do szkoły. Około pierwszej schodzono się na obiad. Ku wieczorowi znów udawano się wspólnie do Ochronki na prywatną adorację. Modlitwy wieczorne odmawiano w domu.

Początki nasze w kraju były bardzo ciężkie. Byliśmy tu niemal obcy. Nie mieliśmy ani dobroczyńców ani znajomości. Władze kościelne zajęły wobec nas stanowisko wyczekujące, raczej nieufne.

Brakowało nam także i doświadczenia, którego nie mogły zastąpić nawet niezwykła energia, wysoka inteligencja i nieprzeciętny zmysł praktyczny ks. Wiehecia.

Brakowało również i środków materialnych. Obciążone wtedy długami Zgromadzenie nie mogło nam ich dostarczyć. Władze centralne bez ogródek oświadczyły pewnego razu ks. Wieheciowi, by nie liczył na ich pomoc materialną. Nic przeto dziwnego, że w naszym domu przy ul. Koszykarskiej, szczególnie w początkach, bieda była naprawdę wielka. Skromne nasze zasoby pieniężne wyczerpały się bowiem zupełnie na zaopatrzenie domu i kuchni w najniezbędniejsze sprzęty. Toteż bywały dni, kiedy nasi księża nawet do śródmieścia udawali się pieszo, gdyż w kasie domowej dosłownie nie było grosza.

W tych warunkach kuchnia bywała bardzo skromna. Na śniadanie i podwieczorek do chleba najczęściej nie podawano nic lub marmoladę z buraków.

Nie można się przeto dziwić, że w naszym ubóstwie pierwszej i drugiej jesieni, chodząc od domu do domu, urządzaliśmy zbiórkę zboża w swych rodzinnych stronach. Dawała nam ona kilkanaście metrów zboża, co w naszym budżecie domowym było pozycją o pewnym znaczeniu. Dla ścisłości

należy zaznaczyć, że jednak z tego ubóstwa nie robiono tragedii i brano je na wesoło.

To samo należy powiedzieć o przykrościach, które w pierwszym okresie spotykały nas od środowiska. I tak nasi księża bywali tu niekiedy zaczepiani na ulicy obelżywymi wyzwiskami przez rozpolitykowanych, podpitych wyrostków. Księdzu Wiecheciowi w nocy, raz i drugi, zasmarowano okno błotem, którego przy ulicy Koszykarskiej nie brakowało.

Życzliwi nam mieszkańcy dzielnicy, a tych była ogromna większość, oburzali się na to i chcieli nawet spowodować interwencję policji. Ks. Wieheć jednak, mniemając że najlepszym środkiem obrony w takich wypadkach bywa cierpliwość, na to nie pozwolił i na żadne zaczepki nie reagował.

I tak, gdy pewnego popołudnia wracał z młodszym współbratem z adoracji z Ochronki, u zbiegu ulic Myśliwskiej, Saskiej i Koszykarskiej zaczął ich jakiś starszy mężczyzna z siwą długą brodą i zaczął lżyć na cały głos. Ks. Wieheć nie stracił panowania nad sobą i bez słowa odpowiedzi przeszedł mimo.

Młodzi towarzysze ks. Wiehecia w podobnych wypadkach nie zawsze potrafili zachować zimną krew i równowagę ducha. Gdy w lecie roku następnego zaczepiono w tym samym miejscu udających się do ochronki dwóch naszych księży, jeden z nich, ks. Lubowiecki (podówczas był on już w Płaszowie) skoczył ku napastnikom i ukazując im potężne swe pięści zmusił do milczenia i do wycofania się. Podobne zaczepki zdarzyły się raz i drugi.

Płaszów był w owych czasach dzielnicą zaniedbaną, o bardzo złej sławie. Bójki bywały tu często. Wiedzieli coś o tym lekarze Krakowskiego Pogotowia Ratunkowego, którzy dosyć często, szczególnie porą nocną, musieli interweniować z doraźną pomocą. Przyjeżdżali tu niechętnie, gdyż przy tej okazji sami bywali niekiedy narażeni na niebezpieczeństwo. Pijaństwo panoszyło się tu nagminnie. Także i kradzieże

były na porządku dziennym. Niestety, sami doświadczyliśmy tego.

Podczas budowy kaplicy i domu kradziono nam materiał, niekiedy w biały dzień. Pewnego razu, już po naszym przeprowadzeniu się na ulicę Saska, w nocy z Wielkiej Soboty na Wielką Niedzielę, skradziono nam z piwnicy i z kuchni całe „święcone” i zastawę stołową, nawet garnki z mlekiem. Bezwartościowy zegar ścienny, znajdujący się w kuchni, nie pozbawieni humoru złodzieje, powiesili na drzewie przy ul. Saskiej, naprzeciw kuchni. Nasi księża, mimo wszystko, nie byli pozbawieni „święconego”. Skoro bowiem tylko wieść o dokonanej u nas kradzieży rozniosła się po dzielnicy, wierni, wczuwając się w naszą sytuację, zaczęli znosić na furkę co kto mógł.

Nie brakowało w Płaszowie w owych czasach nawet zawodowych „kasiarzy”. Toteż skoro tylko w którejś części kraju rozbito bank, policja państwowa na wszelki wypadek niezawodnie tutaj także urządzała obławę.

Wpływ kościoła parafialnego w Podgórzu, odległego o blisko godzinę drogi, prawie tu nie docierał. Ksiądz katecheta szkoły powszechnej, mieszkający zresztą w Podgórzu lub Krakowie, w niedziele i święta odprawiał tu w Ochronce Mszę św. dla dziatwy szkolnej, lecz na nią uczęszczali tylko nieliczni wierni. Niektórzy z nich chodzili do kościoła parafialnego w Podgórzu. Bardzo wielu jednak, przypuszczalnie połowa, przez większą część roku obywatela się bez kościoła.

Na domiar złego w dzielnicy tej zaczęło szerzyć się sekciarstwo, staro-katolicy, kościół narodowy, badacze Pisma św. W pewnej chwili dosyć dużo mówiono to o zabiegach starokatolików, by stworzyć w tej dzielnicy swoją placówkę.

Jeżeli nasi księża napotykali w tutejszym środowisku jednostki obojętne lub nawet wrogie, to znaleźli tu również dużo życzliwych i oddanych nam przyjaciół. Wśród nich na pierwszym miejscu serdeczna wdzięczność każe nam wymie-

nić, dziś już nie żyjącą od lat, Rozalię Warzechową, właścicielkę piętrowego domu i cieplarni z kwiatami przy ul. Płaszowskiej.

Była to osoba bardzo pobożna, ofiarna, a przy tym nader przedsiębiorcza. Podczas swego pobytu w Domu Księża Emerytów nasi księża dosyć często bywali w jej kwaciarni przy ulicy Szpitalnej, naprzeciw teatru im. Słowackiego, a po przeprowadzeniu się do Płaszowa w jej domu przy ul. Pałaszowskiej. W ciężkim dla nas początkowym okresie niejedną raz oddała ona ks. Wiecheciowi cenną przysługę, podpisując jego weksle, gwarantując swoim majątkiem zaciągane przez niego podczas budowy pożyczki.

Jeżeli idzie o pracę duszpasterską, ograniczała się ona do zwyczajnych nabożeństw z krótkimi kazaniami, odprawianymi dla wiernych w niedziele i święta w kaplicy Ochronki oraz nauczania religii w miejscowej szkole powszechnej. Zopatrywano także chorych.

Wspomniana kaplica, była to nieduża, wilgotna salka, mogąca pomieścić najwyżej kilkadziesiąt osób. Podczas nabożeństw wierni zajmowali także zakrystię, w porze zaś cieplej stali również na dworze za oknami.

Praca w konfesjonale niewiele czasu w początkach zabierała naszym księżom. I tak pierwsza spowiedź wielkanocna trwała jedno popołudnie. Spowiadał zaś wtedy jeden tylko kapłan.

Obzędów wielkotygodniowych ani rezurekcji dla braku miejsca w owym czasie nie urządzano. Nie było również procesji Bożego Ciała.

Aby nawiązać kontakt z miejscową ludnością, już od pierwszych świąt Bożego Narodzenia tutaj obchodzonych, ks. Wieheć wprowadził zarzucony w Płaszowie zwyczaj chodzenia po kolędzie. Pracą tą dzielił się ze swoi towarzyszem.

Jeżeli większa część rodzin oczekiwała i przyjęła chodzącego po kolędzie księdza z prawdziwą życzliwością, to przecież

owego roku w niejednym mieszkaniu zastali drzwi zamknięte lub rodziny na kolędę nie przygotowane. W jednym wypadku kapłanowi wchodzącemu do mieszkania przemocą wyrwano klamkę z ręki i zatrzaśnięto drzwi przed nosem.

Jakkolwiek było, to jednak już pierwsza kolęda zbliżyła nas z niejedną rodziną a także przekonała wszystkich o bezinteresowności naszych księży.

Skutecznym środkiem zbliżenia się do ludności była katecheza w miejscowej szkole przy ulicy Saskiej. Liczyła ona wtedy zaledwie 180 dzieci. Szkoła przy ulicy Łanowej wtedy jeszcze nie istniała. Poprzednim katechetą był kapłan diecezjalny, ks. Stanisław Staerz. Ponieważ nie było wtedy w Płaszowie wymaganej do pełnej katechezy liczby godzin (24), towarzysz ks. Wiechecia, pełniący obowiązki katechety, udawał się dwa razy w tygodniu do istniejącej już dzisiaj szkoły żeńskiej im. Królowej Wandy, przy ul. Józefińskiej w Podgórzu.

W następnym roku szkolnym 1929/30, po przybyciu ze Strasburga do Płaszowa ks. Juliana Lubowieckiego, na usilne nalegania wizytatora szkolnego ks. dra Hanuszka, nasi księża objęli drugą jeszcze katechizację w Podgórzu. Brakowało bowiem w owym czasie w archidiecezji krakowskiej kapłanów i musiano posługiwać się po szkołach katechetkami.

W jesieni 1932 roku, w następstwie nieporozumienia z księdzem wizytatorem, spowodowanego przeniesieniem ks. Majki, katechety w Podgórzu, do szkoły na Planty Dietlo-wskie, z tej drugiej katechizacji jednak zrezygnowano. Nie uprzedzajmy jednak wypadków.

Już w kilka tygodni po naszym przybyciu do Płaszowa liczba mieszkańców malutkiego klasztoru przy ul. Koszykar-skiej powiększyła się. Zaczęli to bowiem ściagać rekrutowani przez ks. Kazimierza Wiechecia kandydaci na braci. W pewnej chwili było ich zdaje się czterech. Po kilku miesiącach jednak rozproszyli się wszyscy.

Natomiast zaczęli tu ściągać z zagranicy polscy współpracownicy. Pierwszym, który zawinął na ulicę Koszykarską, był znany nam już ks. Julian Lubowiecki, należący do pierwszej trójki, których ks. Wieheć przywiózł z Polski do Albisoli ze swojej prymicyjnej podróży do kraju w roku 1920. Po ukończeniu studiów w Strasburgu i po otrzymaniu święceń kapłańskich w lipcu 1929, skierowany został przez przełożonych do Polski, by zwiększyć małą grupę sercańską. Jego prymicje były pierwszymi, jakie obchodziliśmy w Płaszowie a jedynymi przy ulicy Koszykarskiej.

W dwa lata później, w styczniu 1933 roku, miał on na własną prośbę powrócić do Francji, skąd wyjechał do Stanów Zjednoczonych.

W kilka miesięcy po przybyciu na Koszykarską ks. Lubowieckiego, w styczniu 1930 roku, zjawili się także dwaj neoprofesi, br. Turek i br. Michalik, przybywający z Albisoli. W pewnej chwili przybyli tu także br. Dziedzic i aspirant Rajczewski. W lipcu zaś tego samego roku 1930, także i scholastyk Michał Wietecha. Ten ostatni właśnie ukończył w Bolonii pierwszą licealną. Wymienieni przybyli do Krakowa na stałe.

W tym samym miesiącu lipcu przybył na Koszykarską czwarty polski sercanin ks. Ignacy Stoszek. Zabawił on tu jednak tylko trzy miesiące i wyjechał z powrotem do Francji, dla dokończenia pracy doktorskiej. Równocześnie spędzał tu wakacje (1930) także brat Franciszek Zawadziński, który jednak pod jesień powrócił do scholastykatu w Bolonii.

Wyznać należy, że owe przyjazdy do kraju scholastyków, którym trzeba było przecież zorganizować studia, nie mało martwiły księdza Wiehecia. Prowincja włoska jednak, nie mogąc dłużej udźwignąć ciężaru kształcenia tylu Polaków, zaczęła wysyłać ich jednego po drugim do Krakowa.

Problem ich studiów ks. Wieheć rozwiązał w ten sposób, że dla braci Turka, Michalika i Dziedzica wyszukał świeckich

profesorów, którzy dochodząc, uczyli ich w domu, br. Michała Wietechę zaś zapisał do seminarium księży salezjanów na Dębnikach, naprzeciw Kopca Kościuszki a w następnym roku szkolnym do V-go gimnazjum w Krakowie.

We wrześniu 1932 roku, już po naszym przeniesieniu się na ulicę Saską, młodzież ta wyjechała do scholastykatu prowincji francuskiej w Lille.

Pobyt nasz przy ulicy Koszykarskiej trwał około dwa i pół roku, bo od 22 września 1928 roku do końca kwietnia 1931 roku. Pod tą bowiem dopiero datą przeprowadziliśmy się do domu wybudowanego przez ks. Wiehecia przy ulicy Saskiej.

Przebieg tej budowy pragniemy teraz opowiedzieć.

Rozdział ósmy

Przy ulicy Saskiej — trudności z parcelą — przygotowanie do budowy domu i kościoła — poświęcenie kamienia węgielnego — przeprowadzka z ulicy Koszykarskiej (30 kwietnia 1931) — poświęcenie kościoła (4 października 1931) — pierwsze misje w Płaszowie i wprowadzenie obrazu Matki Boskiej Płaszowskiej (sobota 21 listopada 1931) — pierwsza wizytacja generalna — otwarcie małego seminarium (1932/33) — profesorowie — życie w małym seminarium — wyjazd do Belgii pierwszych postulantów (sierpień 1935) — otwarcie własnego nowicjatu w Felsztynie (25 czerwca 1937) — kolejni rektorzy domu w Płaszowie — księża i bracia — zamianowanie superiora regionalnego (15 lipca 1939) — trzecia wizytacja generalna — nasze zgrupowanie w przeddzień wybuchu II Wojny Światowej.

W styczniu 1929 roku, po czterech miesiącach naszego pobytu w Płaszowie, ks. Kazimierz Wiecheć o mało nie zrezygnował z zamiaru osiedlenia się w archidiecezji krakowskiej, z powodu wygórowanych warunków postawionych Zgromadzeniu przez Księcia Metropolitę Adama Sapiechę. Zażądał on, by ks. Wiecheć wykazał się promesą bankową na 200 00 złotych, przeznaczoną na budowę kościoła w Płaszowie. (Na Mszę św. wierni składali w owym roku od 2 do 5 zł.). Tylko pod tym warunkiem Zgromadzenie stałoby się właścicielem parcenli przy ul. Saskiej, przeznaczonej pod budowę kościoła. Co więcej, Zgromadzenie nie mogłoby kwestować na budowę poza dzielnicą Płaszów.

Zmartwiony takim obrotem sprawy ks. Wiecheć rzecz całą przedstawił Radzie Generalnej w Rzymie. Otrzymał odpowiedź, by zrezygnował z zamiaru osiedlenia się w ar-

chidiecezji krakowskiej i poszukał odryniariusza mniej wymagającego. Nic nikomu nie mówiąc wyjechał wtedy, by rozglądnać się w innej diecezji. Jeśli pamięć nie myli, udał się do Łodzi. Wracając do domu przywiózł z sobą fotografię jakiegoś kościoła na cmentarzu, który mieliśmy obsługiwać.

Tymczasem wieść o wyjeździe i zamiarach ks. Wiehecia rozniosła się po dzielnicy. Zaniepokojeni mieszkańcy, nie czekając na jego powrót, wystali delegację do Księcia Metropolity, który jeszcze o niczym nie wiedział. Wysłuchawszy opowiadania delegatów o opłakanym stanie religijnym i moralnym dzielnicy i ich obaw, polecił im, by po powrocie księdza Wiehecia razem z nim się zgłosili do niego. Tak też się stało.

Do porozumienia jednak nie doszło. Ksiądz Wieheć wrócił do domu od Księcia Metropolity rozgoryczony i ostatecznie zdecydowany na opuszczenie Płaszowa. W tym samym jednak dniu w godzinach popołudniowych nadjechał do Płaszowa sam Książe Metropolita. Razem z ks. Wieheciem udał się pieszo do Ochronki SS. Służebniczek Starowiejskich przy ul. Myśliwskiej i w drodze porozumiano się. Spotkawszy po drodze idącego po cywilnemu brata Paschalisa Świdra, który pochwalił Pana Boga, wyraził się: „No, nie jest znów tak źle w tym Płaszowie, jak mi opowiadano”.

Sprawa parceli przy ulicy Saskiej musiała jeszcze przejść przez Radę Miejską. Przyłączając się do Krakowa tuż przed Pierwszą Wojną Światową, gmina Płaszów zastrzegła sobie, że grunt pod kościół, gdy sprawa jego budowy dojrzeje, przydzieli bezpłatnie Miasto. Rzecz wpłynęła na posiedzenie Rady Miejskiej na wiosnę 1929 roku. Przeciw wnioskowi opowiedzieli się radni socjaliści, atakując przy tej okazji zakony. W obronie zakonów i ich działalności stanął ks. senator Ludwik Kasprzyk, który był wtedy członkiem Rady Miejskiej z ramienia Demokracji Chrześcijańskiej. Wniosek przeszedł. Rada Miejska odstąpiła bezpłatnie pod kościół

parcelę o obszarze 1 ha, 30 a., uchylając się od kosztów przy jego dalszej budowie. Ilustrowany Kurier Codzienny zanotował to zajęcie.

W kilka lat później (1937/38) Zgromadzenie dokupiło jeszcze od Rady Miejskiej na dogodnych warunkach 1 hektar 10 arów i 65 m² gruntu. Połowę ceny wpłacono hgotówką, resztę, bez procentu splacono w 24 ratach miesięcznych. Prezydentem miasta był wtedy dr. Kaplicki.

Plany kościoła i domu sporządził znany w Krakowie architekt Mączyński.

Po przewyciężeniu wyżej opisanych trudności, ks. Wiecheć zabrał się do gromadzenia materiałów pod budowę. Kupił parę koni i zaczęto zwozić kamienie z Wapiennika w Podgórzu i piasek z nad Wisły. Pomimo istnienia w dzielnicy kilku cegielni na budowę postanowił wypalać we własnym zakresie. Wyrabiano ją ręcznie przy ulicy Gromadzkiej, po lewej jej stronie idąc od ulicy Płaszowskiej, w miejscu, gdzie ulica Gromadzka zbliża się do ulicy Krzywdy. Glinę kopano na miejscu. Wysuszoną cegłę przewożono na naszą posiadłość i tutaj wypalano w piecu polowym.

Gdy wkrótce potem cena cegły uległa obniżce w następstwie światowego kryzysu gospodarczego, nasunęło się pytanie czy trzeba było tyle zachodu i tyle trosk się opłacało, tym więcej że niektóre partie cegły w ten sposób wyrabianej pozostawiały wiele do życzenia.

Cały rok 1929 i pierwsze miesiące 1930 roku zesły na gromadzeniu materiałów. Właściwą budowę rozpoczęto późną wiosną. Straciwszy zaufanie do miejscowych robotników ks. Wiecheć sprowadził murarzy i pomocników z Jadownik k.Brzeska. Przewodził im Józef Serwin, podmajstrzy murarski. Wkrótce zdobył on sobie zaufanie księży sercanów. Przez blisko 40 lat, aż do swej śmierci, wraz ze swoimi murarzami prowadził on wszystkie nasze budowy. Gdy miał trudności, a nie brakowało ich w latach powojennych, zamawiał Mszę

św. za dusze w czyśćcu. Życie swoje ukoronował budową kościoła w Dziekanowicach k. Dobczyc. Tamtejszy ksiądz proboszcz ks. Stefan Muniak, poznał go i oglądał jego pracę w Stadnikach.

Jadowniki k. Brzeska przysporzyły Zgromadzeniu także kilku cennych powołań.

W kilka tygodni po rozpoczęciu budowy odbyło się poświęcenie kamienia węgielnego, w niedzielę 10 sierpnia (1930). Dokonał go Księżę Metropolita Adam Sapieha, w obecności ks. proboszcza ks. dra Józefa Niemczyńskiego. Na uroczystość tę komitet budowy, złożony z dwudziestu kilku obywateli, rozesłał po dzielnicy zaproszenia imienne. Ulewny deszcz udaremnił planowaną na budowie Mszę św. Odprawiono ją w obecności Księcia Metropolity na obszernym korytarzu budynku szkolnego, znajdującego się naprzeciw powstającego klasztoru.

Kuria Generalna niewiele pomogła materialnie w rozpoczętej budowie, gdyż Zgromadzenie znajdowało się wtedy w bardzo ciężkim położeniu.

Trudno dzisiaj powiedzieć, ile przyniosły składki wiernych złożone podczas nabożeństw w okresie budowy oraz z okazji poświęcenia kamienia węgielnego i kościoła, jak i na ręce komitetowych, chodzących okresowo po domach. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że mieszkańcy dzielnicy nie byli zamożni, oraz że światowy kryzys gospodarczy mocno dawał się we znaki także i u nas, wkład wiernych w budowę nie mógł być wysoki. W bezpłatnej robociźnie był on żaden. Poza dzielnicą, dla wiadomego powodu, składek na budowę nie zbierano.

Jeżeli niektórzy z mieszkańców odznaczali się wielką ofiarnością, to inni rozkradali materiały budowlane. Trzeba było pilnować je nocami podczas cały czas trwania budowy, co było bardzo uciążliwe dla brata Paschalisa, naszych scholastyków i księży.

W okresie budowy ks. Wiecheć wyjechał raz i drugi za granicę, zdaje się do Belgii, dla szukania funduszków. Wielką pomocą była zapomoga 100 000 franków belgijskich, jaką otrzymał od jednego z naszych ojców prowincji francuskiej, w zamian za pewną przysługę oddaną mu przez ks. Wiechecia.

Przyciśnięty potrzebą ks. Wiecheć zmuszony był w tym okresie często posługiwać się kredytem krótkoterminowym. Żaden jednak z weksli przez niego wystawionych nie poszedł do protestu. Znalazł on zawsze, niekiedy w ostatniej chwili, kwotę potrzebną do wykupienia w terminie swojego weksla. Bankierzy żydowscy z Kazimierza (dzielnica Krakowa) znali jego podpis i darzyli zaufaniem. („Ksiądz od Najświętszego Serca”). Ten rodzaj płatności przysporzył mu niemało zmartwień.

Rozpoczęta budowa postępowała szybko, tak że przed zimą (1930/31) kościół i dom stanęły pod dachem. Wczesną wiosną 1931 rozpoczęto tynkowanie domu i kościoła od wewnątrz. śpieszono się, by przed końcem kwietnia wykończyć z grubsza chociaż kilka mieszkań i nie płacić więcej dosyć wysokiego czynszu za dom przy ulicy Koszykarskiej. Tak się też stało; ostatniego kwietnia przenieśliśmy nasze rzeczy do nowego domu.

Na razie, oprócz kuchni, zdążono otynkować tylko cztery mieszkania pierwszego piętra. Wchodziło się do nich rusztowaniem przez okno. Dalsze mieszkania pierwszego piętra ukończono dopiero później. Mury w tym pierwszym roku były jeszcze wilgotne. Pieców nie było. Na zimę wstawiono małe żelazne piecyki. Grzały dopóki w nich palono. Umeblowanie było więcej niż ubogie.

Poświęcenie nowego kościoła odbyło się w niedzielę 4 października, drugiego roku budowy (1931). W zastępstwie Księżę Metropolity poświęcił go infułat Kulinowski, archiprezbiter Kościoła Mariackiego. On też wygłosił kazanie. Do tej pory wszelkie nabożeństwa odprawiały się w kaplicy

Ochronki SS. Służebniczek Starowiejskich przy ul. Myśliwskiej.

Już w następnym miesiącu, od 14 do 22 listopada (1931), w nowopoświęconym kościele odbyły się w Płaszowie misje, głoszone przez Ojców Redemptorystów z Podgórze. Poruszyły one pewną część wiernych: były wypadki nawróceń.

W przeddzień zakończenia misji, w sobotę wieczorem 21 listopada (1931), wprowadzono uroczystość do kościoła obraz Matki Boskiej Płaszowskiej (XV w.). Został on darowany księżom sercanom przez p. Stanisława Cichonia, ojca księdza Mariana Cichonia scj. Rodzina państwa Cichoniów przebywała wtedy w Cieszynie.

W tymże roku 1931 na wiosnę, a więc jeszcze przed poświęceniem kościoła, odbyła się pierwsza wizytacja generalna naszej placówki. Przeprowadził ją O. Wawrzyniec Philippe, Luksemburczyk, następny po Ojcu Założycielu Przełożony Generalny Zgromadzenia. Przybył on do nas z Czechosłowacji, gdzie również odbył wizytację tamtejszych domów.

W czasie swojego pobytu w Krakowie prowadził procesję Bożego Ciała u Ojców Redemptorystów w Podgórzu.

W rozmowach z nami dał nam dowód zaufania, wtajemniczając nas w niektóre trudności, przez jakie przechodziło podówczas Zgromadzenia. Wygłosił on do nas konferencję w języku włoskim. Zaczął od słów: „Jesteśmy zakonnikami, zakonnikami Najświętszego Serca Jezusowego”.

Widząc, że drugie piętro stoi w stanie surowym, obiecał ks. Wieheciowi, że prowincja holenderska udzieli mu pożyczki 10 000 guldenów, by nam umożliwić otwarcie małego seminarium. Tak też się stało. Nieco później ojcowie holenderscy dług ten wspaniałomyślnie anulowali.

Ta pierwsza wizytacja trwała zaledwie kilka dni. Nasza sercańska grupka liczyła bowiem wtedy tylko trzech księży (ks. Wieheć, ks. Majka i ks. Lubowiecki), trzech scholastyków

(Michał Wietecha, Wincenty Turek i Stanisław Michalik) i jednego brata (br. Paschalis Świder). Dodawszy nam otuchy, opuścił Polskę.

W następnym roku (1932), również na wiosnę, O. Philippe odwiedził Płaszów po raz drugi. Była to ojcowiska wizyta.

Tym razem oddał on ks. Wiecheciowi tę wielką przysługę, że obiecał mu wyrobić miejsce dla naszych kleryków w Lille, w scholastykacie prowincji francuskiej, gdzie mogliby uczyć się na Instytut Katolicki. Ksiądz Wieheć niepokoił się o nich, gdyż w naszych ówczesnych warunkach płaszowskich ich formacja i studia pozostawiały wiele do życzenia, z czego i oni zdawali sobie sprawę.

Wyjazd nastąpił 6 września (1932). Pod przewodnictwem ks. Franciszka Solaka, który po prymicjach i wakacjach w kraju wracał na Zachód celem odbycia ostatniego roku studiów w Strasburgu, czterech kleryków udało się do Francji: Wielgus na czwarty rok teologii (przybył on do Krakowa tegoż lata z Włoch), Wietecha na pierwszy rok teologii, Turek i Michalik na pierwszy rok filozofii.

W trzy lata później Ojciec Philippe został zamianowany ordynariuszem Luksemburga.

Na próżno szukalibyśmy w aktach prowincji jakiejś wzmianki o jego dwóch pobytach w Polsce.

Drugą wizytację generalną, od 30 maja do 4 czerwca, przeprowadził w Płaszowie następca Ojca Philippe'a na stanowisku Przełożonego Generalnego O. Wilhelm Govaart, holender. Trzecią, tuż przed samą II Wojną Światową, ks. Alojzy Duborgel, radny generalny, Francuz. Wrócimy do niej nieco niżej. Czwarta wizytacja nastąpi dopiero po 19 latach, w roku 1958.

Powróćmy jednak wstecz.

Z rokiem szkolnym 1932/33 ks. Wieheć otworzył w Płaszowie małe seminarium. (Ujęte w cudzysłów partie niniejszego rozdziału zapożyczone zostały, niemal dosłownie, ze wspomnień ks.

Adama Gąsiorka. Razem ze Stefanem Kierpcem i Stefanem Rychlickim był on uczniem małego seminarium w Płaszowie w jego początkach. Byli to pierwsi uczniowie tego seminarium, którzy dotarli do kapłaństwa).

„W pierwszym roku wszystkich uczniów było około czterdziestu. Podzieleni byli na trzy klasy. Klasa trzecia była to zbieranina z całej Polski. Nie pozostał z niej nikt. Jeden raz więcej sprawdziło się powiedzenie: «Festina lente»!”

Gdy idzie o profesorów, z małymi wyjątkami w owych latach uczyli w małym seminarium niemal wszyscy nasi księża: wymienimy ich niżej. W pierwszych latach uczyli także profesorzy świeccy. Przychodzili oni do Płaszowa pieszo, od tramwaju przy dzisiejszej ulicy Lwowskiej. Wtedy i przez wiele jeszcze następnych lat mieszkańcy Płaszowa nie mieli żadnego połączenia z Podgórzem.

Oto nazwiska profesorów: profesor Antoni Bielak (matematyka, fizyka, chemia i w pewnym okresie historia); profesor Józef Grzech (język polski i łacina); profesor Tadeusz Kornecki (język grecki i geografia). Oprócz tego p. Studziński z Płaszowa uczył niektórych gry na skrzypcach.

Ze wszystkich profesorów świeckich najtrwalej zapisała się w pamięci postać profesora Antoniego Bielaka, człowieka szlachetnego i szczerze nam oddanego, zarówno wtedy, jak i w czasie okupacji i po wojnie. Do końca został naszym serdecznym przyjacielem.

Profesorowie Grzech i Kornecki zginęli z rąk hitlerowców.

W czasie wizytacji generalnej w maju 1936 roku Ojciec Generał Wilhelm Govaart polecił zwolnić profesorów świeckich a zatrudnić w małym seminarium naszych księży. Tak też uczyniono od nowego roku szkolnego.

„Życie w małym seminarium tak mniej więcej wyglądało. Zarówno na modlitwę jak i na Mszę św. uczniowie schodzili z początku do kościoła, a właściwie do zakrystii, biorąc udział we Mszy św. przez otwarte okienko za wielkim ołtarzem. Dopiero w następnym roku otwarto dla nich

kaplicę domową na drugim piętrze, od strony ulicy, na końcu korytarza.

Ławki do niej jak i ołtarzyk wykonał jeden ze starszych uczniów, Aleksy Lewczuk Poleszuk, z zawodu stolarz. Ks. Marian Cichoń zaś wymalował do ołtarza piękną Madonnę z Dzieciątkiem. Przed Jej obrazem w pewnym okresie najstarsi wychowankowie wygłaszali swoje egzorty na majowych nabożeństwach.

Refektarz znajdował się w piwnicy pod kuchnią. Na parterze, od strony ulicy, znajdowała się rozmównica i spora sala teatralna ze sceną. Często odbywały się w niej przedstawienia, urządzone przez miejscowe Stowarzyszenie Młodzieży Katolickiej, którego organizatorem, opiekunem oraz reżyserem przedstawień był ks. Kazimierz Wiecheć. Od czasu do czasu Stowarzyszenie to wyjeżdżało z przedstawieniami poza Płaszów, np. do Domu Katolickiego przy ul. Smoleńsk (dzisiejsza Filharmonia). Były one na poziomie, gdyż ks. Wiecheć był uzdolnionym reżyserem i miał kilkuletnią zaprawę, nabytą w szkole apostołskiej w Albino.

Na tutejszej scenie, także pod kierownictwem księdza Wiehecia i wychowankowie wystawiali czasem przedstawienia, choćby wspomnieć „Patagonię” czy „Jacka i Wacka”.

We wspomnianej sali odbywały się czasem wspólne obiady księży i wychowanków, profesorów i gości, na przykład z okazji imienin księdza rektora. W tych domowych uroczystościach brał niekiedy udział nasz serdeczny przyjaciel, ks. prałat Mateusz Jeż.

Tutaj odbywały się czasem ćwiczenia gimnastyczne, tutaj znajdował się stół dla ping-ponga, z którego korzystali w dzień wychowankowie, wieczorem zaś młodzież płaszowska.

Na podwórzu grywano czasem w koszykówkę, a na zaimprovizowanej skoczni skakano w dal, oraz o tyczce wzwyż, a także ćwiczano na poręczach. W piłkę nożną grwano na błoniach, pomiędzy wierzbami, po drugiej stronie ulicy. Często

bramki bronił sam ksiądz rektor Wiecheć, oczywiście w sutannie, która bardzo mu pomagała w tym zadaniu. Najlepszym piłkarzem wśród profesorów był ks. Franciszek Solak.

Na przechadzki wychowankowie udawali się najczęściej nad Wisłę i na Rybitwy. Od czasu do czasu urządzano całonocne wycieczki pieszo do Tyńca lub gdzie indziej.

Z początku przez pewien czas wychowankowie pod wodzą któregoś z księży udawali się pieszo na spowiedź św. do OO. Redemptorystów w Podgórzu.

W pierwszych latach panowało w małym seminarium wielkie ubóstwo. Każdy posiadał tanie, składane krzesło, które nosił z sobą wszędzie, do studium, do refektarza, do kaplicy. Upadaliśmy wtedy pod drobnymi długami, zaciągniętymi w wielu sklepach za dostarczone towary. W tych warunkach przyjmowano do seminarium tylko uczniów, którzy mogli opłacać pełną pensję (50 zł. miesięcznie). Jeden z wychowanków z powodu trudności finansowych nawet opuścił małe seminarium i przez rok był konwersem u OO. Reformatów. Dopiero gdy w roku szkolnym 1936/37 nastąpiła poprawa warunków materialnych, powrócił do Zgromadzenia”.

Pod koniec lutego 1935 roku ks. Wiecheć wysłał ks. Władysława Majkę na trzy miesiące do Belgii, do tamtejszego nowicjatu w Brugelette, by przygotował się tam do objęcia stanowiska mistrza nowicjuszy. Pod koniec czerwca bowiem kilku pierwszych wychowanków kończyło małe seminarium i zachodziła konieczność otwarcia dla nich nowicjatu. W tym czasie ks. Wiecheć czynił usilne poszukiwania za jakimś domem na ten cel. Z powodu braku środków materialnych mogła być mowa o dzierżawie.

Rektorem nowicjatu w Brugelette był wówczas ks. Emil Pfeffer, Luksemburczyk, opiekun, przyjaciel i dobroczyńca ks. Stoszki i ks. Majki w czasie ich studiów w Strasburgu. Słyszając o naszych trudnościach poddał księdzu Wiecheciowi myśl, by

przystał do Brugelette ten pierwszy rocznik polskich postulantów. Propozycję tę ksiądz Wiecheć przyjął z wdzięcznością.

Postulantów tych było siedmiu, między innymi Stefan Kierpiec, Adam Gąsiorek, jego starszy brat Eugeniusz Gąsiorek i Stefan Rychlicki.

„Skrócono nieco rok szkolny i puszczono ich na krótkie, pożegnalne wakacje do domu. Po powrocie z nich odbyły się w Płaszowie pierwsze obłóczyny pierwszych tutejszych wychowanków, na którą to radosną uroczystość zjechali rodzice i krewni. Tym samym rozpoczęto postulat, którego kierownictwo powierzono księdzu Majce”.

W sierpniu (1935), pod opiekę księdza Franciszka Solaka, przez Poznań, Zbąszyń (wówczas stacja graniczna), Berlin, Kolonię, Liège i Brukselę przybyli szczęśliwie do Brugelette, gdzie 21 lat temu (1914/15) ks. Kazimierz Wiecheć odprawił swój nowicjat, oraz gdzie na kilka miesięcy przed jego przybyciem do nowicjatu, zmarł w 1913 roku Sługa Boży O. Andrzej Prévot.

Ksiądz Solak pozostał z nimi kilka miesięcy, do kwietnia następnego roku (1936) i wrócił do Krakowa. Przed swoim powrotem spotkał się w Brugelette z Ojcem Generałem Wilhelmem Govaartem, który właśnie wybierał się do Polski na wizytację. Była już o niej mowa.

Z końcem następnego roku szkolnego (1935/36) dwóch wychowanków ukończyło małe seminarium: Alojzy Lewczuk z Polesia i Wiktor Stelmach z Jadownik k.Brzeska. Także i oni zostali skierowani do nowicjatu za granicę. Tym razem do Amiens we Francji.

W roku 1937, w czerwcu, doszło wreszcie do otwarcia nowicjatu w Polsce, na terenie diecezji przemyskiej, w Felsztynie k.Sambora. Ordynariuszem diecezji był wtedy ks. bp Barda, były uczeń prałata Mateusza Jeża.

By przygotować dom na przyjęcie tego pierwszego rocznika ks. Franciszek Nagy, mając do pomocy jednego brata



postulanta, już w maju udał się do Felsztyna i objął w posiadanie wzięty w dzierżawę na trzy lata dworek. Pozostał on w Felsztynie w charakterze ekonoma domu aż do swojego wyjazdu do Brazylii w pierwszych miesiącach 1938 roku.

Rocznik, który miał udać się do Felsztyna, liczył 14 postulantów, w ich liczbie dwóch kandydatów na braci. Dziesięciu pochodziło z naszego małego seminarium.

Przed wyjazdem odbyły się w Płaszowie ich obłóczyny. Wziął w nich udział ks. bp Cobben, ówczesny Wikariusz Apostolski Finlandii, który bawił właśnie w Płaszowie razem z pewnym prałatem fińskim.

Wyjazd do Felsztyna nastąpił 24 czerwca (1937).

Jeśli idzie o rektorów naszego domu w Płaszowie, pierwszym był jego budowniczy i założyciel Zgromadzenia w Polsce, ksiądz Kazimierz Wiecheć. Pozostał on na tym stanowisku do pierwszych miesięcy 1936 roku.

Po nim urząd ten sprawowali kolejno, najpierw ad interim, przez kilka miesięcy, ks. Ignacy Stoszko, po nim zaś, do wizytacji generalnej przeprowadzonej przez O. Govaarta, ks. Władysław Majka (od lipca 1936 do czerwca 1937). Po przeniesieniu ks. Majki do nowo otwartego nowicjatu w Felsztynie rektorem domu w Płaszowie był ks. Ignacy Stoszko, także przez rok. Po nim, od września 1938, ks. Michał Wietecha. Na tym stanowisku pozostał on przez 9 lat, do czerwca 1947 roku. Jego następcą na rektoracie w Płaszowie będzie ks. Stanisław Nagy.

A oto sercanie, którzy w owych latach, oprócz ks. Kazimierza Wiechecia, przebywali przy ulicy Saskiej, w tej kolejności, w jakiej przybywali z zagranicy lub z Felsztyna.

Ks. Władysław Majka, od początku naszego osiedlenia się w Płaszowie do 24 VI 1937 i wyjazdu do Felsztyna — katecheta w szkole powszechnej w Płaszowie przy ul. Saskiej, później w Podgórzu, wreszcie znów w Płaszowie.

Br. Paschalis Świder, od początku naszego osiedlenia się w kraju do 1938, a następnie na przemian to w Felsztynie, to w Krakowie.

Ks. Julian Lubowiecki, od końca lipca 1929 do grudnia 1933 i wyjazdu do Francji, następnie do Stanów Zjednoczonych — katecheta w Płaszowie przy ul. Saskiej, dobierał godzin nauczania w Krakowie.

Ks. Ignacy Stoszko, od września 1932 do lipca 1958, z początku profesor języka francuskiego w małym seminarium i rektor kościoła, a od 1 stycznia 1939 proboszcz ekspozyt naszej parafii w Płaszowie.

Ks. Franciszek Solak, od połowy sierpnia 1933 do 1949, profesor w małym seminarium, prefekt dyżurujący, a od lipca 1936 także ekonom domu.

Ks. Marian Cichoń, od roku 1933 przebywał blisko rok, prowadził w małym seminarium Sodalicję Mariańską, malował kulisy itp. Z powodu gruźlicy wyjechał do Zakopanego.

Ks. Franciszek Nagy, od lipca 1935 aż do wyjazdu do Felsztyna w maju 1937 — profesor.

Ks. Franciszek Zawadziński, od 20 lipca 1935 do kwietnia 1945 i do przeniesienia do Stadnik — profesor, następnie w 1937/38 katecheta w Płaszowie, potem wikary w nowo erygowanej ekspozyturze (prowadził KSM), w 1940 równocześnie ekonomem domu.

Ks. Michał Wietecha, od 13 lipca 1936 do 1958, najpierw profesor (28 godzin tygodniowo), prowadzący biuro, od następnego roku także prefekt, a od 27 września 1938 rektor.

Ks. Józef Wielgus, przybył do Płaszowa w roku 1937, odszedł w 1946.

Ks. Wincenty Turek, od sierpnia 1938 do końca sierpnia 1940 i wyjazdu z ks. Wiechciem do Zakładu w Prusach pod Krakowem — katecheta w Płaszowie

Jan Jurowski, brat, przybył do nowicjatu w Felsztynie w 1938 (?), przebywał do roku 1945.

Ks. Dionizy Bucki, scholastyk, następnie ksiądz, przybył z Felsztyna w listopadzie 1938, pozostał w Płaszowie do sierpnia 1949 i przeniesienia do Stadnik.

Z pośród pomocy domowej zatrudnionej w owych latach osobna wzmianka, podyktowana wdzięcznością, należy się praczce. Była nią Anna Kurpiel, bardzo pracowita i pobożna starsza panna. W owym czasie bieliznę prano jeszcze ręcznie. Podczas I Wojny Światowej była ona sanitariuszką z rangą podporucznika, odznaczona cesarskim medalem. Pozostała u nas aż do swej śmierci w roku 1964. Ksiądz Michał Wietecha umiał docenić jej zasługi dla domu.

Wczesną wiosną 1939 roku, rektor płaszowskiego domu, ks. Wietecha, przeczuwając wybuch wojny, poddał Radzie Generalnej myśl, by dla naszych dwóch domów zamianował superiora regionalnego. Został nim, od 15 lipca (1939), ks. Ignacy Stoszko. Radnymi zostali ks. Majka i ks. Wiecheć. Nominacja ta opiewała tylko na rok, miała być jednak automatycznie przedłużana w wypadku wojny, na cały czas jej trwania. Superior regionalny miał mieć tę samą władzę, co prowincjał w swojej prowincji.

Ks. Stoszko pozostał na tym stanowisku aż do erekcji naszej Prowincji i nominacji pierwszego prowincjała, ks. Michała Wietechy, w roku 1947. Superior regionalny zamianowany w 1946 nie wszedł bowiem w urząd.

W pierwszych dniach sierpnia 1939 przybył do Krakowa ks. Alojzy Duborgel, radny generalny, by odbyć zwyczajną wizytację generalną, trzecią od naszego osiedlenia się w Polsce.

W kilka dni potem, w niedzielę 6 sierpnia, wziął udział w uroczystej Mszy świętej polowej i rewii wojskowej na Błoniach, w 25-lecie wymarszu Legionów w bój.

Tego samego wieczoru Współbracia płaszowscy, przychodząc z Ojcem Wizytatorem na kolację do refektarza, nie mogli oderwać oczu od czerwonej łuny zalewającą całą zachodnią

część nieba. Ojciec Wizytator spoglądał zdumiony. Nikt w owej chwili nie przeczuwał, że dokładnie za miesiąc, 6 września, wojska hitlerowskie zajmą Kraków.

Ks. Duborgel zwizytował nasze dwa domy i złożył wizytę obydwom ordynariuszom. Wyjechał z Polski po ogłoszeniu mobilizacji, wśród zamieszania z tym związanego, ostatnim pociągiem przed wybuchem wojny. Jego polscy wychowankowie już go więcej nie zobaczyli. Zmarł w Rzymie 1 kwietnia 1944 roku.

W przeddzień wybuchu II Wojny Światowej zgrupowanie polskich sercanów, wraz ze scholastykami, nowicjuszami i postulantami liczyło 42 członków. Byli oni rozmieszczeni następująco:

do domu felsztyńskiego należało 26 członków, w tym trzech księży (ks. Wiecheć, ks. Majka i ks. Cichoń), 10 scholastyków (Karol Rudzok, Włodzimierz Kmiecik, Władysław Marekvia, Roman Kubina, Anatol Pieczara, Stanisław Nagy, Stanisław Gawlik, Stanisław Kocurek, Jan Porada, Lower), 8 nowicjuszy, 4 postulantów i kleryk Stanisław Michalik;

do domu piaszowskiego należało 9 członków, w tym 6 księży (ks. Stoszko I., ks. Solak, ks. Wielgus, ks. Zawadziński, ks. Wietecha Michał, ks. Turek), scholastyk Bucki i 2 braci (br. Paschalis Świder, wojna zastała go w Felsztynie, br. Jurowski):

w Brazylii, ks. Franciszek Nagy;

w Lowanium 3 scholastyków (Kierpiec, Gąsiorek, Worwag);

w Lille 3 scholastyków (Rychlicki, Lewczuk, Stelmach).

Małe seminarium w Piaszowie w czerwcu 1939 roku liczyło około 70 uczniów.

Oprócz tego od 17 lipca (1939) przebywał w Felsztynie ks. Jerzy Brezan, Łużyczanin. Poszukiwany przez Gestapo, po zajęciu Czechosłowacji przez Niemców przy pomocy po-

lskich kolejarzy przedostał się do Polski i schronił w naszym domu w Płaszowie. Po kilku dniach przybył do Felsztyna, by być jak najdalej od granicy niemieckiej.

Był on zwiastunem już nadciągającej burzy.

Uwaga marginesowa: — Rozdział ósmy został napisany dopiero w roku 1976, przy pomocy wspomnień i zapisków starszych Współbraci.

Rozdział dziewiąty

Polscy sercanie w czasie II Wojny Światowej (1): odyseja młodzieży felsztyńskiej, z Lowanium i Lille — opuszczenie domu w Felszynie (9 września 1939) — grupa rumuńska i jej przybycie do Rzymu (26 września 1939) — grupa węgierska i jej przybycie do Mediolanu (26 października 1939) — powrót do Krakowa reszty członków domu felsztyńskiego — dalsze losy domu w Felszynie — w Lowanium: pierwszy dzień wojny (10 maja 1940) — zmobilizowani — wyjazd do Francji — w Côtquidam (21 maja–19 czerwca) — dwutygodniowa ucieczka na południe Francji — u ks. kard. Hlonda w Lourdes — studia teologii w Saint-Cirgues.

Zawierucha wojenna, jaka rozszalała się 1 września 1939 roku, wprowadziła wiele zamętu w grupę sercanów polskich. Zaskoczyła jednych w Krakowie, drugich w Felszynie, innych w Belgii i Francji.

Po kilku dniach działań wojennych wojska niemieckie tak daleko się posunęły (6 września kapitulował Kraków), że członkowie należący do domu felsztyńskiego odcięci zostali od swej macierzy sercańskiej w Płaszowie. Wobec groźby zbliżającego się frontu, nalotów i bombardowań, 9 września mistrz nowicjuszy i rektor domu, ks. Władysław Majka, zebrawszy scholastyków, nowicjuszy i postulantów, zakomunikował im, że tego wieczoru, grupkami po trzech, co pół godziny jedna, opuszczą nowicjat i skierują się w stronę Kołomyi, pod wskazany adres. Tam będzie się oczekiwać na dalszy rozwój sytuacji. Upřednio zaopatrzono ich w dowody osobiste. Radził im, by unikali podróżowania za dnia, szcze-

gólnie kolejną. Pierwsza grupa wyruszyła dopiero o zmroku, by nie wywołać paniki w miasteczku. O godzinie 22⁰⁰ wyszła ostatnia.

Następny dzień, 10 września, był dla Felsztyna bardzo ciężki. Nad ranem ruch w kierunku wschodnim, w nocy bardzo ożywiony na szosie, biegnącej wzdłuż naszego parku, ustał. Drzewa parku i krzewy wchłonęły licznych uciekinierów i żołnierzy. Zaczęły się naloty na Felsztyn i okolicę. Front się zbliżał. Koło południa seria bomb spadła tuż koło parku od strony wschodniej. Jedna wybuchła już w parku. Uszanowała jednak granicę nakreśloną przez ścieżkę, na której nowicjusze zwykle odmawiali swój codzienny różaniec.

Szczególnie ostatnia seria bomb zaniepokoiła wszystkich. Jakiś góral z kilkunastoletnim chłopczyną zwrócił się z prośbą o spowiedź i o jakąś czapkę, gdyż utracił nakrycie głowy. Mistrz nowicjuszy poprosił go, by zaczekał, i wzięwszy stułę fioletową, przeszedł się z nią w milczeniu po parku i wrócił do kaplicy. Ruszyła za nim procesja uciekinierów. Po chwili kaplica nowicjacka była pełna. Kilka słów wyjaśnienia, chwila skupienia i modlitwy, akt żalu i rozgrzeszenie. Gdy wyszli, kaplica znów się wypała. Tym razem poszło już sprawniej. I tak kilka razy. W pewnej chwili ks. Kazimierz zastąpił księdza magistra, gdyż pragnący otrzymać rozgrzeszenie wciąż jeszcze napływali.

W pewnej chwili dnia mistrz nowicjuszy przeniósł Najśw. Sakrament do kościoła parafialnego (około półtora kilometra). W miasteczku zastał go nalot. Seria bomb przeznaczona dla baszty Herbutów, stojącej koło kościoła, eksplodowała obok celu, nie powodując większych szkód.

Wieczorem mistrz nowicjuszy opuścił Felsztyn, by udać się w stronę Kołomyi. Zatłoczoną szosą dostał się do Sambora wozem osobowym, z żołnierzami, którzy tego dnia stali w naszym parku. Tej samej nocy inną okazją dotarł do Drohobycza, oświetlonego płonącymi zbiornikami.

Ksiądz Wiecheć i br. Paschalis Świder pozostali jeszcze w Felsztynie, by zabezpieczyć niektóre rzeczy.

Wszyscy liczyli na rychły powrót.

Tymczasem dwunastu z uciekających, posuwając się zasadniczo trasą Sambor, Drohobycz, Stryj, Stanisławów, po kilku dniach i wielu przygodach, zeszli się szczęśliwie w Kołomyi¹⁾.

Do tej grupy należeli: Rudzok Karol, Kmiecik Włodzimir, Marekvia Władysław, Pieczara Anatol, Kocurek Stanisław, Lower, Porada Jan, Bem Jan, Sidełko Stanisław, Gut Władysław, Brandt, Borowy Władysław.

17 września wieczorem, gdy dotarła do nich wiadomość o wkroczeniu Armii Czerwonej w ówczesne granice Polski, opuścili Kołomyję, kierując się w pośpiechu ku granicy rumuńskiej. Rano dotarli do Kut. Po wielu trudnościach i długim czekaniu, gdyż Rumuni przepuszczali przez most tylko żołnierzy — wreszcie razem z polskimi lotnikami, w ich płaszczach i czapkach, za radą lotników pierwsi wskoczyli do podstawionego w połowie mostu nowego, wygodnego autobusu rumuńskiego.

Była godzina 19-ta, 18 września 1939 roku.

Jeden z tej grupy Brandt, kandydat na brata, oświadczył, że za granicę nie pójdzie, i pomimo nalegań współbraci wycofał się, by wrócić do rodziny.

W Czerniowcach spotkali księdza Stanisława Bełcha, sekretarza diecezjalnego Akcji Katolickiej diecezji przemyskiej. Po wyrobieniu sobie paszportów w Czerniowcach — kilku z nich zaangażowano w bierze paszportowym — i otrzymaniu wizy włoskiej, razem z nim przybyli do Rzymu 26 września (1939), po przeszło dwutygodniowej tułaczce od opuszczenia Felsztyna.

Miano skierować ich do Hiszpanii, lecz zamiar ten okazał się nierealny z powodu biedy panującej w tym kraju po wojnie domowej. Pozostali tedy we Włoszech.

Jeśli idzie o księdza Majkę, dotarł do Kołomyi dopiero 18 września koło południa, gdy naszych już tam nie było. Nie zatrzymując się, tego samego dnia dotarł do granicy rumuńskiej w Śniatyniu (najdłuższy dzień w życiu). W dwie godziny później Śniatyń zajęli żołnierze Czerwonej Armii.

W niedzielę 24 września po południu rozpoczął drogę powrotną. Posuwał się naprzód w miarę jak uruchamiano łączność kolejową. Cały czas w sutannie, gdyż to było bezpieczniej; po cywilnemu przebrał się dopiero na spotkanie z Niemcami. Do Felsztyna przybył na pierwsze nabożeństwo różańcowe.

Tutaj, a może już w Samborze, spotkał się z Brandtem, wracającym od granicy rumuńskiej. Od niego dowiedział się, że 11 naszych przekroczyło granicę rumuńską.

Dom nowicjacki stał pusty, w takim stanie, w jakim zostawiły go przemarsze wojsk. W mieszkaniu księdza magistra zastali, oprócz słomy (ta była wszędzie) wymalowany na suficie duży emblemat, gwiazdę, młot i sierp. Oczyściwszy ze słomy dwa mieszkania, postanowili zamieszkać tu i oczekiwać powrotu tych, którzy nie przeszli granicy.

Po kilku dniach, pewnej nocy, dom został zajęty przez oddział kawalerii. Przenieśli się zatem do Przemyśla, do znanego sobie dobrze klasztoru oo. reformatów i czekali na otwarcie granicy na Sanie. W pierwszych dniach listopada cudem udało im się zdobyć przepustkę, 7-go przekroczyli granicę i wrócili szczęśliwie do Krakowa.

P. Władysław Cichoń, artysta-malarz, brat księdza Mariana Cichonia, który z żoną i kilkuletnim synkiem schronił się do Felsztyna, już po wyjściu naszych w stronę Kołomyi, nie zdobył przepustki i musiał zimować w Przemyślu z tysiącami innych uciekinierów. PP. Cichoniowie mieszkali w klasztorze oo. reformatów.

Dwaj ostatni emigranci z Felsztyna przybywając do Płaszowa zastali dom płaszowski niemal nienaruszony a Współbraci przy życiu i zdrowiu.

Spotkali tu także księdza Wiehecia, Stanisława Nagyego i brata Paschalisa Świdra. Pierwszy wrócił brat Paschalis. Ksiądz Wieheć zaś po drodze, około 20 września, wstąpił jeszcze na Zasanie i odebrał od brata Nagyego odnowienie ślubów. Ten ostatni opuścił szpital pod koniec września. Po dwutygodniowym pobycie u Świętoniowej k.Przeworska, u rodziców pielęgniarki z Zasania (pociągi wtedy jeszcze nie kursowały), wrócił do Płaszowa.

Wracający z Felsztyna dopiero w Płaszowie dowiedzieli się o losach drugiej połowy swych felsztyńskich współbraci. Chcemy je opisać.

Cztery z ośmiu trójek, które w pamiętny wieczór 9 września (1939) opuściły Felsztyn, by udać się w stronę Kołomyi, wolniej posuwające się naprzód, po kilku dniach i wielu przygodach, zeszyły się razem.

Do grupy tej należeli: ks. Brezan, ks. Marian Cichoń, Michalik Stanisław, Bandosz Bolesław, Oleksy Jan, Domżański Józef, Mytnik Stefan, Hyszko Władysław, Duck Werner, Żurek Alojzy.

We wtorek, 19 września, ostatnia trójka dołączyła do grupy ks. Cichonia, który już od tygodnia znajdował się w Jammerstalu, osiedlu niemieckim, na południe od Doliny (miasto powiatowe).

Na drugi dzień, 20 września, dotarła do nich wiadomość o wkroczeniu Czerwonej Armii. Skierowano się w stronę granicy węgierskiej. Po całodziennej wędrówce przez góry i lasy, o godz. 23⁰⁰ przekroczono granicę. Ks. Cichoń z Duckiem, którzy zostali w tyle, przeszli granicę dopiero nazajutrz.

Po różnych przygodach ks. Brezana udali się pociągiem do Budapesztu. Tutaj ks. Brezan dwoma taksówkami zawiózł ich do oo. paulinów. Ubłoceni po kolana, przedefilowali przez kościół w czasie nabożeństwa popołudniowego, by udać się do zakrystii. Natychmiast zainteresowały się nimi osoby prywatne, zabierając ich po dwóch do siebie.

Klasztor oo. paulinów był już wypełniony po brzegi uciekinierami z Polski.

Pobyty w domach prywatnych trwał 10 dni.

Tymczasem ks. Brezan skomunikował się z ks. Hauerem scj, radnym generalnym w Rzymie, który był spowiednikiem w domu generalnym ss. salwatorianek. Ten polecił się przebieść z domów prywatnych do Kolegium SS. Salwatorianek w Budapeszcie.

Zaczęto starania o paszporty. Władze polskie czyniły trudności z ich wydaniem. Uważano, że młodzież wyjeżdżająca do Włoch byłaby stracona dla służby w polskiej armii. Przy interwencji nuncjusza papieskiego otrzymano je wreszcie 21 października (1939).

Jedna z ss. salwatorianek dzięki swym znajomościom wyrobiła im bezpłatny przejazd do granicy włoskiej.

Po otrzymaniu wizy włoskiej i jugosłowiańskiej, 25 października wyjechali z Budapesztu. Na drugi dzień rano byli w Mediolanie.

Pobyty na ziemi węgierskiej trwał 7 tygodni.

Emigranci z Felsztyna po przybyciu do Włoch zostali rozmieszczeni po różnych domach prowincji włoskiej. Jedni kończyli lub odprawiali nowicjat, inni kontynuowali swoje studia. Włoscy współbracia dzielili się z nimi wojennymi racjami żywności.

Dodajmy, nim Felsztyn zniknie nam z oczu na zawsze, że w dwa lata później, w roku 1941, po napadzie Niemiec na Związek Radziecki i przesunięciu się frontu na wschód, pod koniec września mistrz nowicjuszy przedostał się z Krakowa do Felsztyna, i samotnie spędził tam miesiąc w pustostojącym nowicjacie. Odpokutował wtedy za wszystkie grzechy, jakie popełnił w tym domu.

Miał swój barłóg na piętrze, w najmniejszym mieszkaniu. Drzwi na noc podparte były drągiem sięgającym od drzwi do przeciwległej ściany. Siekiera leżała obok poduszki. W

dłgie, nie kończące się październikowe wieczory, z początku ulegał niekiedy złudzeniu, że lada chwila odezwie się tu głos nowicjackiego dzwonka lub rozlegną się kroki nowicjuszy.

Wchodziło się do domu przez okno od kaplicy, gdyż drzwi wejściowe były zabite gwoźdźmi. Ponieważ wyszabrowane były wszystkie klamki a wiatr dostawał się do środka przez wybite szyby, klekotanie nie zamkniętych drzwi nie należało do przyjemności, szczególnie nocą — jak i myśl, że w tym właśnie najmniejszym mieszkaniu na piętrze znajoma osoba popełniła samobójstwo.

Z Płaszowa miano mu przysłać towarzysza, brata, lecz po dojrzałszym rozpatrzeniu sprawy, po miesiącu odwołano go do Płaszowa.

Następnej wiosny jeszcze raz odwiedził Felsztyn, zostając tu tylko kilka dni. Z powodu nieurodzaju ludzie w tej okolicy przymierali wtedy głodem. By zdobyć wtedy odrobinę zboża, ryzykowali podróże aż pod Tarnów i Bochnię.

Posiadłość ta nie była naszą własnością. Przygotowywano jej kupno, lecz ówczesny ordynariusz przemyski ks. bp Wiktor Barda, nie chciał się zgodzić na pozostawienie nas tutaj. W tej okolicy byli już oo. jezuici (Chyrów) i oo. karmelici trze-wickowi (Sąsiadowice). Potrzebował nas gdzie indziej.

W następstwie wizyty, jaką mu złożył ks. Alojzy Duborgel, wizytator generalny, w lecie 1939 (przed samą wojną), pozwolił nam pozostać w Felsztynie jeszcze przez lat pięć. W międzyczasie sercane wybudowaliby sobie dom w innym miejscu. Proponował koło Załuża, między Sanokiem a Ustrzykami Dolnymi.

Opatrzność Boża zrządziła inaczej.

Przenieśmy się teraz na Zachód. — W dniu napadu Niemiec hitlerowskich na Holandię, Luksemburg i Belgię, 10 maja 1940 roku, w Lowanium przebywali scholastycy Stefan Kierpiec i Adam Gąsiorek. (Jan Worwąg niedawno wystąpił). Tutaj zetknęli się po raz pierwszy z wojną².

Przebudziła ich ze snu bijąca zaciekle artyleria przeciwlotnicza i detonacje wybuchów. Po celach i korytarzach domu wszczął się ruch. Słychać było bicie we drzwi, rozmowy, stuk butów żołnierskich. Z okna drugiego piętra dostrzegli, że w parku roiło się od wojska. Na polach pełno żołnierzy. Z wykopanych niedawno rowów strzeleckich wystawały zielone hełmy.

Alarmy i naloty nie ustawały. Musiano kilka razy przerywać modlitwy poranne i schodzić do piwnicy. Do scholastykatu nie tylko obcym ale i naszym trudno było się dostać. Przy bramie stała warta. Kilku naszych kleryków, chcących się dostać do domu, przywieziono do ks. rektora pod karabinem.

Tymczasem rektor, ks. Julien Jacques, otrzymał rozkaz powolnego ewakuowania domu (w naszym scholastykacie znajdował się sztab obrony miasta). Zabrano się do przygotowań wśród ustawicznych alarmów lotniczych, wybuchów bomb i strzelaniny artylerii przeciwlotniczej.

Zniesiono do piwnicy sprzęt liturgiczny, część ekonomatu i biblioteki. Po obiedzie, tego samego dnia, wyruszyła w drogę pierwsza grupa scholastyków. Celem miał być nasz dom w Blaugie, tuż przy granicy francuskiej. Reszta miała wyruszyć wraz z księdzem rektorem na drugi dzień.

Kierpiec i Gasiorek, otrzymawszy przed paru dniami z konsulatu polskiego w Brukseli wezwanie do stawienia się przed komisją poborową na 14 maja, postanowili udać się nazajutrz do Brukseli, celem zasięgnięcia informacji. Tymczasem pomagali w znoszeniu rzeczy i pakowali się do drogi. Wieczorem poznoszono materace do piwnicy, by spędzić tu noc. Tylko br. Jan, stary misjonarz oświadczył, że spał będzie w swej celi. Położono się w sutannach. W pogotowiu. O zaśnięciu nie było mowy. Ksiądz rektor również spędził noc w piwnicy. Miał przy sobie oleje święte. Jeszcze wczoraj wieczór radośnie obchodzono jego powrót po rocznej kuracji w Szwajcarii.

Na drugi dzień przed południem opuściła scholastykat reszta jego mieszkańców, z wyjątkiem kilku młodych Flamandów, spodziewających się lada chwila mobilizacji.

Około godziny 9⁰⁰ przed południem nasi dwaj Polacy zabrali walizki, by tramwajem udać się do Brukseli.

Na ulicy „de Tervuren” ruch był niesamowity. Czołgi, pancerne auta, motory, wszędzie Anglicy, prezentujący się pierwszorzędnie. Pierwsi przybyli poprzedniego wieczoru, witali entuzjastycznie przez ludność. Obrona przeciwlotnicza zwiększyła się kilkanaście razy.

Przeszło godzinę czekali na tramwaj, co parę minut kładąc się plackiem na ziemię lub pod mur budynków, to pod drzewa. Z głową ukrytą w ramionach i przykutą kurczowo do ziemi, czekali na wybuch bomby, odmawiając akt skruchy. Wreszcie, wzięwszy w ręce ciężkie walizki, ruszyli w kierunku Egenhoven, prawie że biegiem.

Tramwaj pojawił się wreszcie, lecz o dostaniu się do niego nie było mowy. Uszli dobry kilometr pieszo, wreszcie samochodem ciężarowym, okazją, dostali się do Tervuren, a stąd tramwajem do Brukseli. Wszędzie pełno Anglików i wszelkiego rodzaju pojazdów wojskowych. Alarmy i naloty. Mieszkańcy Brukseli witali z entuzjazmem wciąż napływających Anglików.

Nie mogąc dostać się do żadnego tramwaju, pieszo, z walizkami, doszli wreszcie na godzinę 14⁰⁰ do naszego domu na Eugène Cattoire.

Na drugi dzień — były to Zielone Świątki, 12 maja — wobec niedobrych wieści z frontu, zaczęli zastanawiać się, czy roztropnie byłoby czekać do wtorku na ową komisję poborową. Zadzwoniono do konsulatu. Odpowiedziano im, by się stawili natychmiast.

W konsulacie wydano im kartki do wojskowych władz polskich na granicy francuskiej w Bessieux. Odjechać mieli do Francji jeszcze tego wieczoru specjalnym pociągiem, zarezerwowanym dla rekrutów polskich.

Wróciwszy na Eugène Cattoire dowiedzieli się, że Niemcy sforsowali Kanał Alberta. Otrzymawszy błogosławieństwo i po 50 franków od księdza prowincjała (był nim ks. Gustin), upewniwszy się, że są na drodze posłuszeństwa i woli Bożej, wyruszyli na dalszą tułaczkę wojenną.

Na dworcu kolejowym zastali dzień sądu. Tysiące uchodźców, przelewających się przez perony. Nawoływania, płacz, przekleństwa. W pewnej chwili rozpoznali niektóre osoby z polskiego konsulatu.

Wreszcie nadjechał jakiś pociąg. Rozpoczął się, nie dający się opisać szturm. Zdawało się, że wsiadający zdemolują wagony. Jakim cudem dostali się do środka, żaden nie był w stanie tego wytłumaczyć.

Słońce zachodziło, gdy pociąg zatrzymał się na stacji granicznej w Bessieux. Na peronie spostrzegli żołnierza polskiego z orłem i dwoma gwiazdkami na naramiennikach. Był to porucznik Zaremba. Koło niego zgromadziła się spora grupka studentów z Brukseli. Po przywitaniu wręczył im ulotki w języku polskim. Były to wskazówki dla żołnierza polskiego we Francji, nakazujące powagę, ze względu na męczeństwo Ojczyzny i wzorową postawę w trosce o honor Polski. Potem zbiórka w szeregu. Porucznik Zaremba odebrał paszporty. Teraz okazało się, że w całej grupie jest tylko dwóch prawdziwych katolików, Kierpiec i Gąsiorek. Pan z konsulatu nie wiadomo kogo wyznawał, reszta to żydzi.

Na północ przyjechali do Lille. Stamtąd skierowano ich do miasteczka Bressuire, w departamencie Deux-Sèvres, gdzie znajdowała się Stacja Zborna Wojska Polskiego.

Tutaj spotkali kapelana wojskowego, z trzema gwiazdkami, kapłana diecezji przemyskiej, ks. Stanisława Bełcha, z którym „grupka rumuńska” naszej młodzieży felsztyńskiej przybyła do Rzymu we wrześniu 1939 roku.

Po kilkunastu dniach udali się do obozu wojska polskiego w Cœtquidan w Bretanii, zostali umundurowani i przydzie-

leni do pomocy ks. kapelanowi pułkownikowi Godlewskiemu. Kleryk Gąsiorek był sekretarzem i nauczycielem języka francuskiego, kleryk Kierpiec kościelnym.

Przybywając do Cœtguidan zastali tu Stefana Rychlickiego. Od roku szkolnego 1938/39 z Lowanium przeszedł do Lille i tam odbywał swe studia. W jesieni 1939 rozpoczął teologię. Jednak po kilku tygodniach, ubiegając obowiązkową mobilizację, zgłosił się ochotniczo do Armii Polskiej. Trafił więc do Cœtguidan przed Stefanem Kierpcem i Adamem Gąsiorkiem.

Nasi klerycy spotkali tu także, w podchorążówce, Jana Worwągę. Stracili go z oczu, gdy podchorążówka wyruszyła na front.

Około 20 lipca (1940), na skutek zbliżania się Niemców, obóz w Cœtguidan został rozwiązany. Dano żołnierzom do wyboru trzy możliwości: pozostać w obowzie i dać się wziąć do niewoli — kto ma swoją rodzinę i znajomych we Francji, niech stara się do nich przedostać — kto się czuje na siłach, może przyłączyć się do tych, którzy będą próbować przedrzeć się do Anglii.

Po chwilowym niezdecydowaniu Kierpiec i Gąsiorek przyłączyli się do tych, którzy będą próbować przedostać się do Anglii w grupie zorganizowanej. Rychlicki oświadczył, że zostanie we Francji.

Po nieudanej próbie przedarcia się do Anglii (dotarli do portu La Rochelle), wraz z rozbitkami przez dwa tygodnie uciekali dzień i noc do Granade-sur-Addour, w Południowej Francji, gdzie zastało ich zawieszenie broni.

Po tygodniu spędzonym na plebanii dowiedzieli się, że ks. kard. Hlond przebywa w Lourdes. Napisali do niego przez pewnego księdza, udającego się do Lourdes. Na drugi dzień otrzymali odpowiedź i pieniądze na drogę.

W Lourdes spędzili 10 dni pod opieką ks. kardynała Hlonda, mieszkającego razem z ks. Biernackim, późniejszym biskupem.

Z listem polecającym ks. kardynała Hlonda udali się do Neussargues, gdzie zgrupowali się uciekinierzy scj z Holandii i Belgii — także i scholastykat z Louvain z ks. rektorem Jacquesem. Dom ten był prawdziwą Opatrznością dla naszych w czasie wojny, będąc jedynym w strefie nie okupowanej. Było to małe seminarium, wybudowane przed wojną. Rektorem tego domu był złotego serca ks. Legay.

Po kilkunastu dniach scholastykat lowański wynajął willę wakacyjną Wyższego Seminarium Diecezjalnego w St. Flour. Spędził tutaj kilka tygodni, pomagając wiele wieśniakom w pracy na roli i podbijając sobie ich serca.

Gdy granica francusko-belgijska została otwarta (we wrześniu ?) scholastykat powrócił do Lowanium. Polacy, na ich własne życzenie, ze względu na swe bezpieczeństwo, pozostali we Francji.

Po powrocie z wojska większej części kleryków został wskrzeszony francuski scholastykat w wynajętym na ten cel, ogołoconym i zniszczonym zamku w Saint-Cirgues (Puy-de-Dome). Kierpiec i Gąsiorek zostali tutaj do ukończenia teologii i powrotu do kraju, w maju 1946 roku.

Jeśli idzie o Stefana Rychlickiego, po załamaniu się Francji jako rozbitek ukrywał się w charakterze robotnika przez dwa miesiące w Macillac w Bretanii. W październiku (1940) rozpoczął teologię w Dijon, w tamtejszym seminarium diecezjalnym. II, III i IV rok teologii przerobił w naszym scholastykacie w Saint-Cirgues. Wrócił do kraju w maju 1947 roku.

Pozostali dwaj klerycy A. Lewczuk i W. Stelmach zostali również zmobilizowani w roku 1940. Brali udział w kampanii wojennej. Lewczuk został wzięty do niewoli. Pracował u bauera. Pisywał wtedy do jednego z naszych księży z Płaszowa. Po wojnie wystąpił i podobno wyjechał do Anglii. Wystąpił również Stelmach i wrócił do kraju.

Większa część tej młodzieży, rozrzuconej po Włoszech i Francji, mimo wszystko ukończyła swoje studia, otrzymała święcenia kapłańskie, a po wojnie wróciła do kraju.

Przypisy

1. Szczegółowy opis wydarzeń grupy rumuńskiej zob. Ks. Karol Rudzok SCJ, „Wspomnienia, czyli dolina Strwiąża prowadzi do Rzymu”, ma-szynopsis.
2. Ta część niniejszego rozdziału opracowana została na podstawie opowiadania ks. Adama Gąsiorka scj, zamieszczonego w „Albumie 25-lecia” ss. 159 nn, p.t. „We Francji”.

Rozdział dziesiąty

Polscy sercanie w czasie II Wojny Światowej (2) — w kraju: wojenna wędrówka — skład domu płaszowskiego w czasie wojny — próba wskrzeszenia małego seminarium — tajne nauczanie — prace wykonywane przez naszą młodzież — wysiedleni z ziem przyłączonych do Rzeszy — objęcie kierownictwa zakładu w Prusach k.Krakowa — wakacje naszej młodzieży w Stadnikach — otwarcie nowicjatu w Płaszowie — zajęcie domu przez oddwoy cofającego się frontu — przeniesienie nowicjatu do Stadnik — przewalanie się frontu na Zachód i koniec wojny — rozbudowa małego seminarium — powroty do kraju¹.

Już w pierwszych dniach II Wojny Światowej działania wojenne wyludniły dom płaszowski prawie zupełnie. Ogarnięci ogólną psychozą, panującą w napadniętej Polsce, wszyscy prawie księża udali się na pamiętną wędrówkę wojenną, z wyjątkiem ks. Franciszka Solaka i ks. Franciszka Zawadzkiego, którzy pozostali, by pilnować domu i parafii.

Ks. Jan Wielgus i kleryk Dionizy Bucki z dwoma wychowankami, uciekli przez Niepołomice, Uście Solne, Żabno, Mielec, Szczebrzeszyn, w stronę Zamościa. Ks. Ignacy Stoszko przez Nowe Brzesko, Szczucin, Rozwadów, Wysokie, Żółkiewka k. Krasnego Stawu. Tu zatrzymał się około trzech tygodni, gdyż parafia ta była bez księdza a grasowała czerwotka. Ks. Michał Wietecha, rektor domu, w czasie ucieczki wzięty za szpiega niemieckiego, omal nie został rozstrzelany.

Z końcem września i z początkiem października uciekierzy zaczęli powoli ścigać do domu. Zaczęli wracać również

i członkowie naszego domu w Felsztynie, którzy nie uszli za granicę, br. Paschalis Świder, ks. Kazimierz Wiecheć, br. Stanisław Nagy — a w pierwszej dekadzie listopada ks. Majka i Brandt, kandydat na brata, który od granicy rumuńskiej wracał do rodziny. Komplet polskich sercanów, którzy w domu płażowskim mieli przetrwać wojnę, był już całkowity.

Do domu płażowskiego ks. Wietecha ściągnął jeszcze kiludziesięciu alumnów małego seminarium, rozproszonego przez działania wojenne. Postanowił kształcić ich dalej, w tajemnicy przed władzami okupacyjnymi. (Polakom, jako przeznaczonym na siłę roboczą Rzeszy, kształcenie średnie nie było dozwolone). Utworzono z nich trzy klasy. Do zwyczajnych przedmiotów gimnazjalnych dołączono język niemiecki. Z wielką odrazą uczył go ks. Wiecheć. Wychowankowie ci zjeżdżali się do stycznia.

Gdy jednak na wiosnę 1940 roku zaczęto wywozić masowo młodzież na przymusowe roboty do Niemiec, a kształcenie tak sporej grupy uczniów stawało się niebezpieczne, z końcem czerwca (1940) odesłano młodszych do domu.

Kilkunastu starszych ks. Wietecha postanowił ratować dla Zgromadzenia za wszelką cenę. Prowadzenie seminariów duchownych nie było zabronione, ubrano ich więc w sutanny, by spokojnie mogli uczyć się dalej. Raz po raz byli oni niepokojeni przez okupanta, lecz udało się ich wybronić.

Do tej grupy należeli, między innymi, późniejsi księża: ks. Kunda, ks. Kubina Wiktor, ks. Góra, ks. Szortyka, ks. Büchler, ks. Janczak, ks. Wietecha Tadeusz.

Niektórzy z nich mieli wtedy tak dziecinne, tak nie księżę twarze, że ludzie za nimi się oglądali.

Młodzieńcy ci ciężką przeszli szkołę w okresie swych tajnych studiów w Płażowie. Oprócz utrzymania porządku całego domu, trzeba było pracować w ogrodzie. Z braku koni, siebie niekiedy zaprzęgali do bron. Codziennie zaopatrywali

dom w chleb. Ten, otrzymywany na kartki, był w znikomej ilości i odbiegał daleko od tego, co zwykle nazywać się chlebem. Zachodziła więc konieczność starania się o chleb własnym przemysłem.

Nasi chłopcy na swych barkach przemycali więc do miasta zboże z odległych wsi. W pewnym okresie bracia ks. Wietechy dowieźli szczęśliwie kilkanaście worków zboża ze swych rodzinnych stron. Zdobyć ziarna i jego przemiał groziły jednak więzieniem lub utratą życia.

Był dłuższy okres, gdy po kilka godzin dziennie po kryjomu kręcono żarna w jednym domu dzielnicy. Później ks. Wietecha wystarał się o kilka młynków do mielenia maku. Tak mikroskopijne warsztaty przemiałowe miały niewielką wydajność a wymagały dużego wysiłku. Były więc w ustawicznym ruchu, gdyż swoją porcją zboża każdy musiał prze-mleć, ściślej zetrzeć. Trud wynagradzany bywał prawdziwym, pachnącym chlebem. Porcje wydzielał sumiennie brat Paschalis.

Nie znający spoczynku ks. Wietecha postanowił ogrodzić od wschodu naszą posiadłość solidnym parkanem z cegły, uratowanej przed rekwizycją. Do obowiązków „kleryków” należał transport cementu na taczkach z ul. Wielickiej, kopanie fundamentów, robienie betonu i malty murarskiej.

Nocami trzeba było pilnować ogrodu przed złodziejami. Pilnowano przez całą wojnę. Nie tylko w lecie. Od roku zdaje się 1942 pilnowano także i w zimie. Z nakazu bowiem władz okupacyjnych w każdym domu przez całą noc powinien był ktoś czuwać, by w razie wypadku pożaru przeciwdziałać.

W związku z tym, pewnego późnego wieczoru dzwonek na bramie zaalarmował nocnego stróża, którym był wtedy jeden z księży. Gdy policja niemiecka weszła do środka, na ich szwargot odpowiedział: „Ich bin Feuerschutzpolizei”. Im jednak chodziło o policję granatową, która od nas się już wprowadziła na ul. Płaszowską. Jakoś porozumiano się i

„Feuerschutzpolizei” wsiadł do ich samochodu. Jeden z policjantów zapytał go troskliwie: „Haben Sie gespert?” Czy Pan zamknął bramę? Po kilku minutach policjant przeciwpożarowy wrócił do współbraci zaniepokojonych jego wywiezieniem.

Od wiosny 1941, pod kierunkiem wybitnych profesorów z przedwojennych gimnazjów krakowskich, którzy potajemnie dochodzili do nas z Krakowa, młodzież nasza przerobiła gruntownie jeszcze raz cały materiał gimnazjalny a następnie licealny i w kwietniu 1942 roku złożyła małą maturę, a w listopadzie 1943 dużą maturę. Kosztowało to niemało pracy, gdyż profesorowie wymagali bardzo dużo.

W kołach kierujących tajnym nauczaniem na terenie Krakowa istniało przekonanie, że komplet nasz był prowadzony na najwyższym poziomie. W pamięci naszej młodzieży wyryły się na całe życie postacie i nazwiska profesorów: Michalski, biolog — Jaremski, fizyk i matematyk — Romanowicz, filolog klasyczny, łacina — Szpunar, historyk — Spytkowski, polonista i zagadnienia współczesne — Karwiński, język francuski.

Kontakt z powyższą grupą profesorów został nawiązany za radą i pośrednictwem ks. prałata Stanisława Mazanka, wizytatora religii archidiecezji krakowskiej, przed którym jeden z naszych księży zwierzył się z trudności. Sympatia i życzliwość dla naszego Zgromadzenia zrodziły się u ks. prałata Mazanka pod wpływem ks. Mariana Cichonia scj, z którym zetknął się on w Zakopanem w czasie dłuższego swojego pobytu na kuracji, zdaje się u ss. sercanek.

Oprócz tych licealistów sposobiących się do matury, od jesieni 1939 odbywali w naszym domu w Płaszowie swoje studia filozoficzne, chodzący do oo. reformatów, dwaj prawdziwi już zakonnicy, obecnie księża Dionizy Bucki i Stanisław Nagy.

Lecz cofnijmy się w naszym opowiadaniu jeszcze do początków wojny.

Pierwsza zima wojenna (1939/40) była bardzo ostra i długa. Dla braku węgla ludności polskiej dała się bardzo we znaki. I w naszym domu było nie lepiej. W piecach zaczęto palić bardzo późno, gdzieś koło połowy grudnia. Wydzielano węgiel, jeśli pamięć nie myli, 3 wiaderka na tydzień. To racjonowanie węgla trwało do końca wojny.

Pierwsza okupacyjna Wieczera Wigilijna nie była zbyt smutna. Życzyliśmy sobie, by już na przyszły rok Święta obchodzić w wolnej Ojczyźnie. Przy drzewku śpiewaliśmy kolędy. O północy była pasterka w naszej kaplicy domowej, nieco przyciszona, gdyż na dole, w poczekalni, urzędowała policja niemiecka. W roku 1941 na jej miejsce przyszła policja granatowa; po pewnym czasie wyprowadziła się i ona.

Miesiące końcowe roku 1939 i pierwsze roku 1940 był to okres przystosowywania się do ciężkich warunków okupacyjnych. Brak chleba, wzrastająca drożyzna, wzmagający się terror, czyniły położenie coraz to bardziej nieznośnym.

Nieurodzaj roku 1940 pogorszył jeszcze sytuację. W krakowskim przednowek roku 1941 był na wsiach bardzo ciężki. Z upragnieniem oczekiwano żniw. W Płaszowie, wzdłuż Wiśły, przygodni żniwiarze odcinali nożami niedojrzałe jeszcze kłosa.

W naszym niedostatku próbował nam przychodzić z pomocą, w miarę swych możliwości, ks. Marian Cichoń scj. Przebywał wtedy w Szwajcarii. Pełnił obowiązki kapelana w zakładzie dla dziewcząt, prowadzonym przez siostry zakonne. Pewnego razu przesłał kilka zegarków szwajcarskich z imiennym przeznaczeniem, niekiedy kilka pudełek sardynek. Najczęściej przychodziły od niego małe przesyłki, zawierające ziemne orzeszki, migdały, rodzynki, itp. Przychodziły jako „Liebesgabe”, podarki. Przeważnie docierały, gdyż Niemcy tępil kradzieże pocztowe.

Nasi księża więc mile wspominali księdza Cichonia i jego ofiarność na wspólnych „posiedzeniach”, jakie od czasu do

czasu ks. Wietecha zwoływał późnym wieczorem w jednym z mieszkań, często w mieszkaniu zwanym „Pod śnieżyczką”.

Zebrania te były starannie przygotowywane. I tak, do obowiązków księdza Solaka należało wystarać się w mieście o tajną gazetkę. Ksiądz Wiecheć wyciągał z ukrycia aparat radiowy. Posiadanie aparatu było ciężkim wykroczeniem. Posługiwano się wtedy aparatami lampowymi. Nie znano jeszcze tranzystorów.

Na posiedzeniach tych krzepiono się wiadomościami z niedozwolonych źródeł, sprawdzano na mapie przesunięcia frontów, narzekano na nieudolność i ociąganie się sprzymierzeńców.

Spotkania te ważną odegrały rolę w przetrwaniu tych ciężkich lat.

W pewnym okresie przełożeni mieli do czynienia z przykrą sprawą szantażu. Rzecz miała się następująco.

W lecie 1939 roku, przed wybuchem wojny, po kilku tygodniach pobytu w naszym domu, opuścił nas pewien aspirant na brata. Wkrótce potem został zmobilizowany. Po zakończeniu działań wojennych zjawił się pewnego dnia w Płaszowie bez czapki i rzeczy. Litując się nad nim ks. Wietecha, chociaż wcale go nie potrzebował, pozwolił mu zostać i traktował jak domowego. Po dłuższym czasie postanowił go jednak odesłać, gdyż nie był potrzebny a w domu się nie przelewało. Opuścił Płaszów z dobrze wypchanymi walizami.

Po pewnym czasie otrzymano od niego list z żądaniem wygórowanej kwoty, rzekomo za pracę wykonywaną u nas w czasie swojego pobytu — z zagrożeniem, że o ile pieniądze nie zostaną wypłacone w oznaczonym dniu i godzinie, doniesie na Gestapo, że posiadamy ukryty aparat radiowy i o innych naszych sprawach.

Po zastanowieniu się nad sytuacją i wspólnej paradyzie zdecydowano uczynić zadość żądaniu szantażysty. Na spotkanie udał się ekonom domu ks. Solak i zaspokoił go.

Uważając go za niebezpiecznego, ks. Wietecha, w późniejszym czasie, udzielił mu jeszcze zapomogi raz i drugi.

Sprawa ta ks. Wietechę kosztowała sporo zdrowia i miała przebieg więcej dramatyczny niż to opisaliśmy, lecz pamięć już zawodzi.

Mimo wszystko, w domu płaszowskim umiano wtedy śmiać się aż do łez, gdy rzecz warta była tego.

Na początku stycznia 1941 roku jeden z naszych księży wracał ze wsi, z ferii świątecznych do Płaszowa. Od Dziekanowic szedł pieszo w stronę Wieliczki. Śniegi zasypały drogę i trzeba było iść polami, okupując każdy krok ciężkim wysiłkiem. Do tego zacinął deszcz z wiatrem, ścinający się w krupy. Po kilku godzinach, zmęczony, wstąpił do przydrożnej gospody, by odetchnąć i kupić sobie papierosów. Po kilku minutach puścił się w dalszą drogę. Przyszło mu wtedy na myśl, że będzie odmiana, gdyż wiatr zmienił kierunek. Gdy uszedł może pół kilometra, spotkał jadącego naprzeciw mężczyznę i zapytał go, jak daleko jeszcze do Wieliczki. Ten zdziwiony, zwrócił mu uwagę, że idzie nie do Wieliczki lecz w stronę Dobczyc — i zaprosił go do towarzystwa. Gdy przechodzili koło gospody, ksiądz wyjaśnił mu, że w tym miejscu zmylił kierunek. „A tak! — rzekł towarzysz — Tu już niejednemu tak się przydarzyło!”.

Na swoje nieszczęście, po powrocie do domu, opowiedział przy stole współbraciom, co mu się przydarzyło. Przyjęto jego opowiadanie nie wyrazami współczucia lecz himerycznym, nie milkącym śmiechem. Co gorsze, zdarzenie to co jakiś czas opowiadano sobie przez całe jego życie.

Na wiosnę 1941 roku do płaszowskiego domu przybyli nowi mieszkańcy: 23 wysiedlonych z ziem polskich, przyłączonych do Rzeszy. Pomimo, że u nas stacjonowała już policja niemiecka, następnie granatowa, władze okupacyjne przydzieliły nam ich. Przyjęliśmy tych nieszczęśliwych serdecznie. Przez blisko cztery lata życie nasze musiało pogodzić się w

ciasnym domu z drugim nurtem, życia świeckiego, tak dotąd obcemu życiu zakonnemu.

Nasi wysiedleni pochodzili niemal wyłącznie z Kalisza. Mieszkali w dzisiejszej jadalni, oraz zajmowali dwa pierwsze mieszkania naprzeciw jadalni (obecna sala księży). W pierwszych dniach trzeba było ich dożywiać, potem powoli sami zorganizowali sobie warunki bytowania. Na ogół stosunki układały się dość dobrze.

W roku 1941 dwaj nasi księża, ks. Kazimierz Wiecheć i ks. Wincenty Turek, objęli kierownictwo zakładu dla sierotconych dzieci w Prusach k. Krakowa. Był to wielki zakład dla sierot ufundowany przez Piotra Michałowskiego, znanego artystę-malarza. Ówczesny metropolita krakowski, książę Adam Sapieha, po Michaelitach, nam powierzył prowadzenie tego zakładu. Przez dwa prawie lata nasi dwaj księża z dobrymi wynikami z tego zadania się wywiązywali.

Taki punkt oparcia na prowincji cenny był w czasie wojny, gdyż ułatwiał aprowizację. Z tamtejszej łuszczarni owasa ks. Wiecheć dostarczał do Płaszowa znaczną ilość płatków owsianych. Podawano je na kolcję niemal codziennie. Zawierały sporo łusek, toteż talerze jedzących były nimi udekorowane w krag.

Z wiosną 1941 roku byliśmy świadkami przesunięć wojsk hitlerowskich na wschód. Szły nawet bocznymi drogami i przybrały takie rozmiary, że stało się jasne iż napad na Związek Radziecki nastąpi lada chwila. I tak się też stało. Gdy w niedzielę rano 21 czerwca przechodziliśmy do kościoła na pierwszą Mszę św., policjanci niemieccy oznajmili nam, że „Feldzug nach Russland anefangen ist” — Marsz na Rosję rozpoczęty!

Teatr wojenny wkrótce zaczął się gwałtownie odsuwać od terenów polskich. Gdzinowa prasa, której głównym przedstawicielem był „Goniec Krakowski”, od pierwszych dni rozpoczętej wojny zachłystywała się okrzykami triumfu z

błyskawicznych sukcesów odnoszonych przez armię niemiecką.

W lecie 1941 ks. Michał Wietecha, ówczesny rektor, by dać naszej młodzieży nieco wytchnienia po ciężkim roku szkolnym, przeniósł się z nią na kilka tygodni wakacyjnych do rodzinnego domu kleryka Stanisława Michalika scj w Stadnikach, o 30 kilometrów na południe od Krakowa. Podobnie i w dwóch następnych latach. Kleryk Michalik przebywał wtedy we Włoszech.

Wakacje te pozostawiły po sobie miłe i drogie wspomnienia. Z dala od wizji okupacji, która z taką siłą narzucała się w dużym mieście, młodzieńcy ci żyli, nie widząc Niemców, w zacisznym ustroniu wiejskim, używając do syta słońca, wody w Rabie i dobrego razowego chleba. Często grywano w piłkę i siatkówkę. Codziennie, z ks.rektorem na czele, udawali się przez Skrzynekę do Dobczyc na Mszę św. (4–5 km). Jeden tylko raz, z racji jakiejś gwałtownej burzy, zrezygnowali z tej wyprawy.

Po kilku tygodniach tak spędzonych, z nowymi siłami wracali do ciężkiej, miejskiej, wojennej rzeczywistości.

Gdy młodzieńcy ci w jesieni 1943 roku ukończyli swoje studia średnie, trzeba było myśleć o otwarciu dla nich nowicjatu. Wobec zupełnego skrępowania wolności przez okupacyjne władze niemieckie, a także z powodu braku środków materialnych, nie mogło być mowy o otwarciu na ten cel osobnego domu. Otwarto więc nowicjat w domu płaszowskim, wypełnionym tyloma i tak różnymi mieszkańcami.

W Uroczystość Niepokalanego Poczęcia 8 grudnia 1943 roku, ośmiu aspirantów zostało przyjętych do postulatu a 9 marca (1944) odbyło się ich przyjęcie do nowicjatu.

25 marca, a więc w dzień Zwiastowania wstrząsnęła nami wiadomość, że poważną część naszego domu trzeba będzie opróżnić dla kolumny transportowej armii niemieckiej.

Łudziliśmy się przez kilka dni, że do tego nie dojdzie, gdy pewnego popołudnia zajechała przed dom taksówka,

wysiadł z niej oficer niemiecki i zażądał przełożonego. Oświadczył, że oddziały jego kolumny są już w drodze i niebawem będą potrzebowały pomieszczenia. Był przekonany, że dom jest już opróżniony. Gdy spostrzegł, że my w dalszym ciągu cały dom zamieszkujemy, wpadł w wściekłość i rycząc biegał po całym domu, domagając się natychmiastowego opróżnienia parteru i pierwszego piętra. Strach widocznie pomnożył nasze siły, bo w niespełna dwie godziny jego woli stało się zadość.

Tego jeszcze wieczoru nasz klasztor przemienił się w koszary. Odtąd przez cały prawie rok dom nasz wypełniony był łomotem żołnierskich buciarów, różnojęzycznymi przekleństwami. Podwórze zawalone autami, warsztatami i różnymi gratami. Nie było jednego kąta, gdzie można by spokojnie pozostać z sobą. Kontynuowanie nowicjatu w tych warunkach nie było możliwe.

Ks. Wietecha postanowił tedy przenieść nowicjat do Stadnik, do znanego już dobrze domu Wojciecha Michalika, gdzie w poprzednie lata spędzano wojenne wakacje. Po wielu trudnościach uzyskał pozwolenie władz niemieckich i 22 maja (1944) nowicjusze znaleźli się w Stadnikach.

Przybywając do Stadnik nasi nie przeczuwali, że tu osiedlą się już na stałe.

Po przeniesieniu nowicjatu do Stadnik w domu piaszowskim zostało tylko kilku księży z ks. Franciszkiem Solakiem, wice-rektorem, na czele. Ks. Wietecha przeniósł się razem z nowicjatem do Stadnik, często jednak do Piaszowa zaglądał.

By wyżywić tę gromadę nowicjuszy, w jesieni tego roku siadł na rower i w jesienną szarugę objeżdżał naszych dobroczyńców w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Mimo tych nadludzkich wysiłków nie zapadł na zdrowiu, a nowicjat nie zaznał głodu.

Stadnickie ustronie było w porównaniu z piaszowskim obozem wojskowym oazą ciszy i spokoju. Atmosfera okupa-

cyjna wyglądała tu trochę inaczej. Niemców widywało się tu rzadko. Panami okolicy byli tu wtedy polscy partyzanci, z którymi nasi spotykali się dosyć często. Doprowadzeni do rozpaczony Niemcy, urządzili wczesną jesienią 1944 roku krwawą pacyfikację niedalekiej okolicy. Spalono wtedy Lipnik i zburzono Obserwatorium Astronomiczne U.J. na Łysinie.

Około 20 stycznia 1945 roku prysnął wreszcie koszmar hitlerowskiej okupacji. W czasie przewalania się frontu wspólnota stadnicka oprócz kilku przykrych zajęć, nie poniosła najmniejszego szwanku. Czerwoni zajęli Stadniki południem 21 stycznia. Była to niedziela.

Gorzej było z domem płaszowskim. W przeddzień przyścia Armii Czerwonej, na skutek wysadzenia przez Niemców amunicji na podwórzu sąsiedniej szkoły, w znacznej części domu wyleciały szyby. Po południu, między godziną 14⁰⁰ a 16⁰⁰ dopełniło zniszczenia wysadzenie mostów na Wiśle, w nocy zaś eksplozja dwóch pocisków artyleryjskich tuż koło naszego domu, od strony zachodniej. To artyleria rosyjska z za Wisły dała znać, że wie o Niemcach zagnieżdżonych u nas.

Następnego dnia z rana, w piątek 19 stycznia, zjawił się jeszcze u nas patrol niemiecki, lecz wycofał się w stronę boiska Płaszowianki. Pierwsi czerwoni, kilku pieszych i artyleria konna, przybyli do Dworu i ul. Koszykarskiej koło godziny 14⁰⁰. Zabawili około dwóch godzin u nas i w szkole.

Po wyzwoleniu przez dłuższy czas strona zachodnia domu, z oderwanym tynkiem, ziała oczodołami wybitych szyb, przez które do mieszkań wiatr nawiał całe wydmy śniegu. Próbowano szyby uzupełnić dyktą, ale zawieja śnieżna niewiele sobie z tego robiła. Trzeba było zadać sobie sporo trudu, by mieszkania te doprowadzić do stanu używalności.

21 marca (1945) nasi wojenni nowicjusze ukończyli swój nowicjat i wrócili do Płaszowa, by przygotować się do dalszych studiów przygotowawczych do kapłaństwa. Ich miejsce w

Stadnikach zajęło kilku nowych postulantów. Niezmordowany ksiądz Wietecha zaczął myśleć o uruchomieniu małego seminarium z nowym rokiem szkolnym.

Trudny okres wojenny mieliśmy za sobą. Dzięki widocznej opiece Najświętszego Serca Jezusowego nie ponieśliśmy żadnych istotnych strat. Nikt nie zginął i nie dostał się do więzienia. Dzieło Boże przetrwało i od pierwszych dni wolności zaczęło rozwijać się dalej.

Najpilniejszą sprawą była rozbudowa małego seminarium w Płaszowie. Prace koło budowy nowego skrzydła domu rozpoczęto w czerwcu 1946 roku. Wzięli w nich udział małoseminarzyści, klerycy, księża. Na dwa tygodnie przybyli ze Stadnik nawet nowicjusze. Ręcznie, bez pomocy maszyn, zrobiono wykopy pod fundamenty i na piwnice, rozrabiano cement, zakładano stropy. Entuzjizm był wielki. Budowę ukończono w lecie następnego roku (1947). Był to początek naszej rozbudowy powojennej.

Dzień 15 marca 1946 roku był dniem żywiłowej radości. W tym dniu wrócili z Włoch pierwsi z naszych emigrantów wojennych, ks. Karol Rudzok i kleryk o święceniach niższych Roman Kubina. Wrócili w tym samym wagonie, w którym wracał z Rzymu ks. kard. Adam Sapieha.

Zachęceni przykładem tych dwóch reemigrantów, co pewien czas wracali inni to z Włoch, to z Francji. Reemigracja zakończyła się na wiosnę następnego roku (1947). W maju wrócił ostatni, ks. Stefan Rychlicki.

Kilku z młodzieży emigracyjnej (około 8) wykruszyło się za granicą dla braku powołania czy dla braku zdrowia. Większa część jednak dotarła do kapłaństwa.

Młodzi księża, zjechawszy się do jednego domu z różnych krajów i różnych formacji, z początku obserwowali się wzajemnie. Następnie po bliższym poznaniu swoich plusów i minusów, w długich niekiedy dyskusjach, konfrontowali wartości zdobyte przez poszczególne formacje.

Powoli zacierają się różnice, tworzyła się wypadkowa naszego sercańsko-polskiego ducha. (Zob. Ks. Czesław Kunda, „Gdy ustąpiła noc niewoli”, Album 25-lecia, str. 198).

Przypisy

1. Trzon rozdziału dziesiątego stanowi opowiadanie ks. Stanisława Nagyego scj”, zamieszczona w „Albumie 25-lecia” ss. 105 nn.

Dodatek

Cztery listy ks. Kazimierza Wiehciecia scj do ks. Mateusza Jeża pisane w latach 1920 i 1921 — (urywek listu ks. Wiehciecia do ks. Matusza Jeża, pisanego w roku 1937) — artykuł-odezwa ks. Mateusza Jeża do duchowieństwa polskiego o naszym Zgromadzeniu, drukowany w „Gazecie Kościelnej” z dnia 1 lutego 1921 roku — tekst obrazka prymicyjnego ks. Kazimierza Wiehciecia.

I

Cztery listy ks. Kazimierza Wiehciecia do ks. Matusza Jeża, pisane w latach 1920 i 1921 (przekład z języka francuskiego).

List pierwszy

Bolonia, 1 IV 1920

Najprzewielebniejszy Księżu Kanoniku!

W tej chwili otrzymałem Jego kartkę. Dziękuję bardzo. Teraz rozumiem dlaczego nie miałem żadnej odpowiedzi na mój ostatni list. Ksiądz Kanonik musiał nie otrzymać go, skoro przebywa w Janowie. Co do „Kalendarza”, napisałem natychmiast do Brukseli, do jednego z naszych ojców, prosząc o wysłanie go. Mam nadzieję, że Ksiądz Kanonik otrzyma go wkrótce.

Ksiądz Kanonik dziwi się może nieco, iż znajduję się we Włoszech. Moi Przełożeni wysłali mię zeszłego roku w paź-

dzienniku do Rzymu, abym się nauczył po włosku i kontynuował moje studia. Ponieważ jednak dom w Rzymie nie jest jeszcze ukończony, przybyłem do Bolonii i uczęszczałem na wykłady teologii w seminarium międzydiecezjalnym, założonym przez papieża Benedykta XV, który przedtem był kardynałem Bolonii. Kończę mój trzeci rok.

Być może, że Ksiądz Kanonik zainteresują wiadomości o naszym Zgromadzeniu we Włoszech. Mamy tu obecnie cztery domy. Nowicjat w Albisoli, między Genuą a Sawoną, na brzegu morza. Mamy tam 15 nowicjuszy włoskich. Następnie szkołę apostołską w Albino (prow. Bergamo) w Górnych Włoszech. Jest tam 70 uczniów. Obecnie Ojciec św. zlecił nam budowę bazyliki Najśw. Serca Jezusowego w Rzymie, poświęconej błogostawionej Małgorzacie Marii Alacoque, której kanonizację będziemy mieć w maju. Do bazyliki tej dołączymy seminarium dla misji zagranicznych. Umieścimy w nim studentów (kandydatów na misje) ze wszystkich krajów. Jednym słowem piękna przyszłość otwiera się przed naszym Zgromadzeniem tu we Włoszech, jak zresztą wszędzie. Cieszę się z tego, gdyż Najśw. Serce Jezusa tym więcej przez to będzie uwielbione.

Jedna tylko rzecz smuci mię, że w Polsce nic jeszcze nie ma. Przełożony Generalny chciałby koniecznie założyć w Polsce kilka domów Najśw. Serca Jezusowego. Zaproponował mi, abym się tam udał podczas wakacji na poszukiwanie kilku nowicjuszy. Mam nadzieję, że Ksiądz Kanonik, tak jak w przeszłości, przyjdzie mi z pomocą.

W związku z tym Ksiądz Kanonik zna może jakich studentów, którzy ukończyli gimnazjum lub przynajmniej VI klasę, pragnących poświęcić się życiu zakonnemu i apostołstwu. Prosilibyśmy Księdza Kanonika, aby ich zapoznał z naszym Zgromadzeniem. Ksiądz Kanonik wie, że u nas może stać się zadość wszelkim upodobaniom: na misjach, w kaznodziejstwie, w nauczaniu czy wreszcie w zwykłym dusz-

pasterstwie. Chętnie również przyjmujemy braci konwersów, aby ich wysłać na misje do pomocy księżom. Gdyby kto zdecydował się wstąpić do nas, nowicjat mógłby odprawić tutaj we Włoszech (Albisola) lub w Belgii. Potem powróciłby ze mną do Polski, gdzie założyłoby się dom Najśw. Serca Jezusowego.

Oddany w Najśw. Sercu Jezusa
Kazimierz Wiecheł scj

(po polsku) Proszę wybaczyć, że piszę zawsze po francusku. Ale mi to łatwiej przychodzi. Przyjadę w lipcu do Krakowa, to się trochę języka polskiego poduczę. Już drugi rok, jak słówka polskiego do nikogo nie mówię.

List drugi

Kraków, dnia 31 VIII 1920

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Najprzewielebniejszy Księżu Kanoniku!

Od miesiąca przeszło jestem w Krakowie. List, który wysłałem do Księdza Kanonika powrócił. Odwiedziłem księdza proboszcza Mikulskiego — nie ma on żadnych wieści. Przy ulicy Batorego zastałem walizki Księdza Kanonika lecz bez adresu. Czyżby Ksiądz Kanonik pozostał pod bolszewikami?

Przybyłem dla rekrutacji młodzieńców. Prawdopodobnie za rok lub dwa osiedlimy się w Polsce na stałe. Trzeba by jednak rozpocząć już wcześniej. Byłoby najlepiej, gdybym mógł znaleźć kilku młodzieńców z ukończoną co najmniej V klasą gimnazjalną. Mogliby oni pójść do nowicjatu, nauczyć się tam języka, potem kończyliby studia. Mam zamiar odwiedzić księży katechetów i księży proboszczów, lecz nie znam żadnego. Najlepiej moim zdaniem byłoby udać się w

poznańskie lub na Górny Śląsk, gdyż zdaje mi się, że najlepsze powołania przychodzą stamtąd.

Mam nadzieję, że Najprzewielebniejszy Ksiądz Kanonik nie odmówi mi swoich rad. Gdybym wiedział, gdzie Ksiądz Kanonik się znajduje, pjechałbym do Niego.

Zacny Ksiądz Kanonik otrzymał czasopisma włoskie? Wątpię, ponieważ wysłałem je na początku lipca, a bolszewicy byli tam już pod koniec miesiąca.

Oczekujemy wszyscy z niecierpliwością znaku życia od Księdza Kanonika.

Proszę przyjąć, Najprzewielebniejszy Księżu Kanoniku, wyrazy mojego uszanowania i mojej wdzięczności.

Oddany Najśw. Sercu Jezusa

Ks. Kazimierz Wiecheć scj

Obecnie mieszkam u oo. reformatów, ale stołuję się na Chodkiewicza 15. Tam też prosiłbym adresować list.

List trzeci

Kraków, dnia 24 IX 1920

V.C.J + P.C.M.

Najprzewielebniejszy Księżu Kanoniku!

Dwa dni temu byłem przy ulicy Batorego (po raz szósty co najmniej), aby zasięgnąć wieści o Księdzu Kanoniku! Jakże się ucieszyłem, gdy tym razem zastałem tam seminarzystę z Janowa, Myszala, który mię zapewnił o zdrowiu Księdza Kanonika i dał mi Jego adres. A więc Ksiądz Kanonik był pod najazdem bolszewickim? Co za szczęście, że udało mu się ujść.

Proszę więc przyjąć, Najprzewielebniejszy Księżu Kanoniku, moje szczerze (choć nieco spóźnione) życzenia z okazji Imienin. W tym dniu w szczególny sposób o Nim myślałem podczas Ofiary Mszy świętej.

Jestem w Krakowie od dwóch miesięcy. Wystano mnie, bym szukał nowicjuszy. Rzecz trudna, gdyż wszyscy są w armii. Nie znam nikogo. Liczyłem na Jego wskazówki, tymczasem Ksiądz Kanonik był pod bolszewikami.

Polecono mi również szukać domu z kościołem, ponieważ w przyszłym roku mamy zamiar w Polsce się osiedlić. Pierwszą rzeczą do zrobienia byłoby założenie internatu dla młodych powołań. Trzeba będzie wydzierżawić dom i wychowywać chłopców. Co Ksiądz Kanonik o tym myśli? Dokąd najlepiej byłoby się udać? Gdyby Ksiądz Kanonik znał coś w tym rodzaju, byłbym niezmiernie wdzięczny.

Mój czas jest bardzo ograniczony. Muszę wyjechać już na 15 października. Prowadzę ze sobą trzech chłopców do szkoły apostoelskiej w Albino. Gdyby Najśw. Serce Jezusa zechciało dać mi do nowicjatu gorliwego kapłana, to przybywając tu w przyszłym roku moglibyśmy się obejść bez obcokrajowców (byłoby nas trzech Polaków). W przeciwnym razie trzeba będzie wziąć jednego lub dwóch Francuzów.

Posyłam Księdzu Kanonikowi przez tego seminarzystę kilka czasopism włoskich. Zaabonowałem Księdzu Kanonikowi „Laurora del SS. Sacramento” z Mediolanu. Ksiądz Kanonik ma już wszystkie numery aż do sierpnia. Inne nadejdą później.

Za parę dni udam się do Warszawy po wizy paszportowe. Będę się starał również odwiedzić Księdza Kanonika.

Tymczasem proszę, Najprzewielebniejszy Księżu Kanoniku, przyjąć pełne szacunku zapewnienie o moim przywiązaniu i wdzięczności.

Oddany in Corde Jesu
Ks. Kazimierz Wiecheć scj
Chodkiewicza 15, Kraków

(w języku polskim) Mieszkam obecnie u oo. reformatów i tam też Mszę św. odprawiam, ale stołuję się na Chodkiewicza. Proszę łaskawie o odpowiedź możliwie jak najrychlej,

również o jaką radę w sprawie domu, a jeżeliby się dało o **jakiego nowicjusza.**

Uwaga kronikarza

Jednego punktu powyższego listu nie możemy dzisiaj zrozumieć. Jest w nim mianowicie mowa o możliwości przybycia do Polski trzech sercanów Polaków. Pierwszym z nich byłby ks. Wiecheć. Trzecim ów, ewentualnie pozyskany dla Zgromadzenia kapłań. Lecz kto miał być tym drugim? Nie mógł być nim ks. Szymański, gdyż od dwóch lat już nie żył. Chyba, że mowa tu nie o księdzu lecz o bracie. W takim razie o którym? Nie o br. Zjeżdźtałce, gdyż z początkiem 1920 roku wyjechał po raz drugi do Afryki. Więc o kim?

Z powyższegu listu dowiadujemy się także, że ks. Wiecheć myślał w owej chwili o umieszczeniu pozyskanych przez siebie w 1920 roku pierwszych trzech powołań w małym seminarium w Albino. O tym swoim zamiarze nie wspomniał on jednak nigdy zainteresowanym (Stoszko, Lubowiecki, Majka). Przeciwnie, od pierwszego spotkania się z nimi mówił im o podróży nad morze, do Albisoli.

List czwarty

(przekład z języka włoskiego)

Bolonia, dnia 28 II 1921

Najprzewielebniejszy Księżu Kanoniku!

Otrzymałem Jego cenny list z załączonym egzemplarzem „Gazety Kościelnej”. Dziękuję nieskończenie za Jego dobroć i proszę Boskie Serce Jezusa, by godnie wynagrodziło tę pracę podjętą na Jego chwałę. Jej tłumaczenie wysyłam Ojcu Generałowi do Brukseli i Ojcu Prowincjałowi do Rzymu.

Pod koniec czerwca przybędę do Krakowa a może nawet do Janowa. Będę się starał zaprowadzić do Włoch jeszcze kilku nowicjuszy, księży jeśli możliwe, seminarzystów, młodszych studentów (z piątą gimnazjalną), a także i braci.

Mam nadzieję, że jego odezwa do polskich księży przyniesie kilka żarliwych powołań kapłańskich.

Cel nasz polega na szerzeniu Królestwa Najśw. Serca Jezusowego a zdaje mi się, że najlepszym ku temu środkiem jest głoszenie go narodom pogańskim, które w liczbie około 1000 milionów nie słyszały jeszcze imienia Jezusa Chrystusa. Jeżeli nie uczynimy tego my, katolicy, uczynią to protestanci, mający prawdziwą armię misjonarzy i dysponujący środkami większymi (stokrotnie) od naszych. Obecny Ojciec święty, rozumiejąc swoje stanowisko ojca duchownego całej ludzkości i ciężkie położenie, w jakim znajduje się obecnie Kościół, wzywa całe duchowieństwo, aby nieco więcej pracowało dla misji. W tym celu pragnie, aby w każdej diecezji wśród członków duchowieństwa powstał związek misyjny, który by ludowi dał poznać i nauczył go cenić misję, oraz zbierał środki potrzebne dla szerzenia wiary. Skoro zanika ona powoli w Europie, trzeba krzewić ją w Afryce i w Azji, gdzie na pewno lepiej będzie przyjęta.

Moi trzej studenci odprawiają nowicjat. Rozumieją już wystarczająco po włosku. W przyszłym roku pójdą na filozofię.

Tutaj we Włoszech jesteście świadkami zażartej i krwawej walki między socjalistami a faszystami (partia narodowa). W Bolonii niedawno mieliśmy 8 zabitych i ponad setkę rannych. Na pewno będziemy mieć rewolucję, wszyscy to mówią.

Proszę mi wybaczyć, że zmusiłem Go do czekania na czasopismo, ponieważ w styczniu nie było mnie w Bolonii. Lecz teraz będzie już przychodzić regularnie. Kilka dni temu wysłałem ostatnie z lutego.

Dziękując gorąco, proszę o zawiadomienie mnie czy jest już jakie zdecydowane powołanie.

Proszę przyjąć, Najprzewielebniejszy Księżę Kanoniku, moje pełne uszanowania ukłony.

Wdzięczny w Najśw. Sercu Jezusa
Ks. Kazimierz Wiecheć scj

II

Artykuł-odezwa ks. Mateusza Jeża do duchowieństwa polskiego o naszym Zgromadzeniu

Zamieszczony niżej artykuł pióra ks. Mateusza Jeża, zatytułowany „Zgromadzenie Kapłanów Serca Jezusowego”, ukazał się 1 lutego 1921 roku w „Gazecie Kościelnej”, organie duchowieństwa polskiego, dwutygodniku wychodzącym we Lwowie.

Ks. Mateusz Jeż, przeszedłszy na emeryturę, przebywał wtedy w Janowie na Podlasiu, w charakterze ojca duchownego tamtejszego seminarium biskupiego i był stałym korespondentem „Gazety Kościelnej”.

W chwili, gdy artykuł ten ukazał się, zgrupowanie nasze składało się zaledwie z ks. Kazimierza Wiechecia, który wtedy już jako kapłan kończył w Bolonii ostatni rok teologii i z 3 młodziutkich postulantów, przebywających w Albisoli.

Zgromadzenie Księży Serca Jezusowego¹

Wszystkie narody katolickie stanowią jedną rodzinę Bożą i cokolwiek dobrego dzieje się na polu religijnym w innych krajach, to nas Polaków także cieszyć i żywo interesować powinno.

Do takich wiele radosnych zdarzeń w Kościele katolickim należy nadzwyczajny rozrost zgromadzeń zakonnych, przystosowanych do czasów obecnych. Podczas gdy stare, rozmaite zakony, zwłaszcza o ile rozluźniły swe reguły lub nie dostosowały swej zewnętrznej działalności do nowszych potrzeb

— upadają; nowe zgromadzenia istniejące zaledwie od lat kilkudziesięciu, okazują bardzo wiele żywotności, rozszerzają się szybko i zdobywają w różnych częściach świata coraz to inne tereny pracy.

Jednym z takich sympatycznych, a u nas prawie nieznanych zgromadzeń jest — Zgromadzenie Księży Serca Jezusowego. Kolebką jego była Francja a założycielem żyjący jeszcze uczony, pobożny kapłan-jubilat ks. Leon Dehon, doktor teologii i filozofii i obojga praw, urodzony w r. 1843 w La Capelle (Aisne), wyświęcony na kapłana w roku 1868. Przez dziesięć lat był kapłanem diecezjalnym w St. Quentin i pracował bardzo gorliwie na polu religijnym i społecznym. Zapragnął jednak poszerzyć swą działalność i idąc za głosem Bożym od dawna w duszy odczuwanym, założył za zgodą biskupa miejscowego Zgromadzenie Księży Serca Jezusowego.

Jak sama nazwa tego Zgromadzenia wskazuje, głównym jego zadaniem jest czcić Najśrodsze Serce Jezusowe — i tę cześć rozszerzać po świecie, w myśl pragnienia Pana Jezusa, jakie sam wyraził, objawiając się cudownie św. Małgorzacie Marii w Paray-le-Monial.

Ażeby to zadanie spełnić, członkowie Zgromadzenia zobowiązują się:

1. pielęgnować we własnej duszy gorące nabożeństwo do Serca Jezusowego, ukazywać je z zapałem i gorliwie przez różne ćwiczenia pobożne, jak: przez adorację wynagradzającą Najświętszego Sakramentu, przez codzienne akty ofiarowania się Sercu Jezusowemu i zjednoczenia z Nim, przez Mszę św. i Komunię wynagradzającą, przez święcenie pierwszych piątków miesiąca i odprawianie Godziny św.
2. pracować nad własnym uświęceniem, spełniając z miłością synowską swe śluby i ustawy zakonne i usiłując w ten sposób naśladować cnoty, doskonałość i uczucia Serca Jezusowego.

3. łącząc z duchem miłości i ofiary prace apostołskie na różnych polach, aby jak najzupełniej spełnić pragnienia Pana Jezusa objawione św. Małgorzacie Marii.

Prace apostołskie tego Zgromadzenia są następujące: nauczanie i wychowanie młodzieży, nie tylko kształcącej się umysłowo, lecz także rękodzielniczej; kaznodziejstwo i misje, nawracanie pogan w Afryce.

Misje zagraniczne powierzone przez Stolicę Apostolską temu Zgromadzeniu istnieją:

1. w Kongo Belgijskim, wikariat apostołski u Wodospadów Stanleya (Stanley Falls);
2. w Kamerunie — prefektura apostołska w Adamaona;
3. misja w Północnej Brazylii;
4. misja w Brazylii Południowej;
5. misja w Szwecji.

Nadto przygotowuje się nowa misja w Indiach holenderskich.

Zgromadzenie Księży Serca Jezusowego zatwierdziła Stolica Apostolska dekretem pochwalnym w roku 1887; definitywną aprobatę otrzymało w roku 1906 od papieża Piusa X.

Chociaż wojna światowa zadała mu duże straty, jednak pozostawiła Zgromadzeniu 577 członków, podzielonych obecnie na cztery prowincje narodowościowe. Ma ono swe domy i zakłady we Francji, Belgii, Holandii, Hiszpanii, Brazylii, w Kongo i innych krajach.

Zgromadzenie rekrutuje się spośród własnych szkół apostołskich (*les écoles apostoliques*), odpowiadającym naszym szkołom średnim z 7-klasowym programem nauk połączonych z internatami. Po ich ukończeniu odbywają kandydaci rok nowicjatu, po którym przechodzą do scholastykatu, gdzie odbywają nauki filozoficzne i teologiczne przez 6 lat. Scholastykaty są urządzone w Lille, w Lowanium, w Rzymie, w Bolonii, więc tam gdzie są najlepsze wydziały nauk teologicznych, najgłośniejsi profesorowie,

aby pod ich kierownictwem wykształcili się przyszli kapłani Zgromadzenia na dzielnych pracowników.

Wszyscy trzej ostatni papieże, za których rządów Zgromadzenie Księży Serca Jezusowego istnieje, zaszczytli je szczególną łaską. Leon XIII wyraził się w dekreście pochwalnym o tym zgromadzeniu, że wyrosło ono pośród skał i cierni naszych czasów jako krzew pełen kwiecia i woni (25 lutego 1887).

Pius X zatwierdził je dekretem z 4 lipca 1906 roku i nie szczędził mu również uznania i pochwał najwyższych.

W piśmie z dnia 21 lutego 1912 odzywa się tak: „Winszuję gorąco naszym drogim Kapłanom Serca Jezusowego powodzenia w ich pracach. Błogosławimy im całym sercem, zachęcając do wytrwałego pomnażania wysiłków apostołskich, do ciągłego ćwiczenia się w adoracji wynagradzającej i ofiarowania codziennego samych siebie Sercu Jezusowemu na służbę całopalną stosownie do myśli Założyciela, dla chwały tegoż Boskiego Serca i zbawienia dusz”.

Papież Benedykt XV jest przyjacielem tegoż Zgromadzenia jeszcze od czasu, jak był arcybiskupem Bolonii. Spośród listów, jakimi zaszczycił Ojciec święty to Zgromadzenie, wystarczy wspomnieć o liście z dnia 28 lutego 1919 r., w którym pisze: „Błogosławieństwo apostołskie, którego udzielamy Ojcu Dehonowi jast zarazem świadectwem życzliwości naszej i zachętą do rozwinięcia dzieł, które on przedsięwziął dla chwały Serca Jezusowego²”.

A z Polską czyż nic nie wiąże jeszcze tego Zgromadzenia? Na pozór zdawałoby się, że chyba tylko wielka cześć i miłość dla Serca Jezusowego, która w Polsce znalazła jeszcze przy końcu XVIII w. taką gorącą zwolenniczkę i rzeczniczkę wobec Stolicy Apostołskiej. Tak i to byłoby już dostatecznym węzłem i dostatecznym powodem do zainteresowania się u nas tym Zgromadzeniem. A jednak nie brak i innych, Założyciel Zgromadzenia Serca Jezusowego O.

Dehon acz cudzoziemiec (może dlatego że Francuz), żywił od dawna dla naszego narodu gorące sympatie i jeszcze na parę lat przed zmartwychwstaniem Polski, jakby je przeczuwając, zapragnął przygotować sobie polskich członków Zgromadzenia, aby z nastaniem pomyślniejszych warunków mogli otworzyć w głównych miastach polskich swe domy i pracować dla odrodzenia religijnego swego narodu.

Przed wojną on już dwóch członków swego Zgromadzenia wysłał do Krakowa w celu wyuczenia się języka polskiego (ks. Buckx, ks. Meyerink) a nadto przyjął do szkoły apostoelskiej w Tervuren w Belgii kilku uczniów Polaków, w celu wykształcenia i wychowania ich na Księża Zgromadzenia przez siebie założonego. Byli chowani tam prawie za darmo i rychło czynili znaczne postępy w naukach (acz wykładanych po francusku) oraz w obyczajach. Jednak może przez dziwną niekonsekwencję natury polskiej, która jak ów leniwiec biblijny, chce i nie chce (Prz 13,4), często sama nie wie czego chce, puciekali kolejno wszyscy z wyjątkiem jednego, który nie zrażony żadnymi przeszkodami, jakich nie brakowało, zwłaszcza w czasie okupacji Belgii przez Niemców, został kapłanem tegoż Zgromadzenia w roku 1920. Obecnie przebywa w Bolonii (via Nosadella 6, ks. Kazimierz Wiecheć) i tam już znowu zawiósł z Polski trzech studentów z V-tej klasy gimnazjalnej, aby ich wychować i wykształcić na kapłanów. Z tego widać, że Czcigodny Założyciel Zgromadzenia O. Dehon, nie zraża się niczym, ale pragnie mieć koniecznie kapłanów Polaków, aby jak najszybciej otworzyć w Warszawie dom zakonny, a potem i gdzie indziej w Polsce.

Czy jednak nie ma do tego celu drogi jeszcze krótszej?

Tak, bez wątpienia. Gdyby na 9–10 000 kapłanów polskich znalazło się kilku młodych, gotowych poświęcić się na szczególniejszą służbę Sercu Jezusowemu, to po odbyciu roku nowicjatu mogliby już osiąść w Polsce jako Kapłani

Serca Jezusowego i otworzyć za niedługo nawet i kilka domów tegoż Zgromadzenia. Wiemy wszyscy dobrze, że nigdzie dziś nie ma w Polsce, ściśle biorąc, za dużo kapłanów w diecezji. Ale z drugiej strony wiemy także z Ewangelii, że ofiara ubożuchnej wdowy więcej warta przed Bogiem, niż ofiary bogaczy i że taka ofiara sowicie się opłaca nawet samemu dającemu.

Niechże więc nikogo z czytających nie przeraża ta myśl, że może on właściwie jest powołany, aby złożył ze siebie tę ofiarę dla chwały Serca Jezusowego, dla dobra swego narodu, dla dobra Polski! Komu ciasno w granicach swej diecezji, czuje aspiracje sięgające wyżej i dalej poza słupy graniczne swego narodu, słowem kto czuje w głębi duszy tajemnicze słowa wołania: „Pójdź” (Ap 22,17), niech idzie. Przed nim otwiera się szeroki, świetlany horyzont, czeka go wielka zaszczytna służba, w ciągu której będzie mógł ze szlachetną dumą powtarzać daleko słuszniej słowa, jakie pewien handlowiec wypisał na wielkim domu kupieckim w Hamburgu: Mein Geld ist die Welt!

Oby Serce Jezusowe znalazło wśród tysięcy młodych polskich kapłanów kilka jednostek gotowych poświęcić się na wyłączną Jemu służbę, żadnych rozplomieniać w sercu swym i w sercach bliźnich ten ogień miłości, jaki Zbawiciel przyniósł z nieba, jakim pragnie świat cały zapalić (Łk 12,49).

Oby nie za długo stanęła w Warszawie lub w innym głównym mieście polskim wspaniała Bazylika Serca Jezusowego, obsługiwana przez Zgromadzenie Księży Serca Jezusowego, na wzór tej na Montmartre w Paryżu, jako wotum narodowe, z napisem na ścianie frontowej: Cordi Sacratissimo Jesu Polonia poenitens et devota!

Ks. Mateusz Jez

III

Tekst obrazka prymicyjnego ks. Kazimierza Wiechecia

*Pater meus et mater mea dereliquerunt me
Dominus autem assumpsit me*

Ps XXVI

CASIMIRUS WIECHEĆ

Sacerdotum a Corde Jesu alumnus
In saede S. Mariae a pauperibus coelorum
Reginae
Summo animo gaudia
Primum sacrificum solemne Deo obtulit
Bononiae
Die Deiparae Genitrici Sacro

MCMXX

Przypisy

1. Na podstawie publikacji „La Congrégation des Pretres du Coeur de Jesus dans le passé et dans le présent”, Bruxelles 1920.
2. Ojciec św. polecił też temuż Zgromadzeniu wybudowanie w Rzymie bazyliki wotywniej ku czci Serca Jezusowego, jako Króla narodów, w nowej dzielnicy, na prawym brzegu Tybru. Na ten cel ofiarował sam 200 000 franków.

Spis rzeczy

Wstęp

5

Rozdział pierwszy

11

— Pierwsze kontakty naszego Zgromadzenia z Polską: podróż Ojca Założyciela do Europy Wschodniej (lato 1907) — wysłanie pierwszych misjonarzy scj do Finlandii (koniec roku 1907) — ośmiomiesięczny pobyt br. Henryka Meyerinka w Krakowie (listopad 1908—lipiec 1909) — druga podróż br. Meyerinka do Krakowa i przyjazd do Tervuren Kazimierza Wiechecia (luty? 1910) — juwenat w Tervuren — dalsze koleje życia ks. Henryka Meyerinka.

Rozdział drugi

19

— Lata dziecięce i młodzieńcze ks. Kazimierza Wiechecia (1896–1920): rodzina i lata dziecięce — pobyt w małym seminarium w Tervuren (luty ? 1910—czerwiec 1914) — nowicjat w Brugelette (czerwiec 1914—październik 1915) — studia filozofii w Tervuren (październik 1915—czerwiec 1917) — kilkumiesięczny pobyt w Krakowie (lato 1917—jesień ? 1918) — wyjazd do Włoch (październik 1919) — święcenia kapłańskie (25 lipca 1920).

Rozdział trzeci

29

— Pierwsza wyprawa rekrutacyjna ks. Kazimierza Wiechecia do kraju (lipiec—listopad 1920): jego prymicje — plany i zamierzenia — zawiedzione rachuby na pomoc ks. Mateusza Jeża — w Myślenicach (sierpień 1920) — opis tamtejszego środowiska — pierwsze powołanie — w Dołach k.Brzeska i drugie powołanie (wrzesień 1920) — podróż do Włoch (pierwsze dni listopada 1920) — w Albisoli — powrót do Bolonii na czwarty rok teologii (koniec listopada 1920).

Rozdział czwarty

43

— Wyprawy rekrutacyjne ks. Kazimierza Wiechecia do kraju w latach 1921–1928: artykuł-odezwa o naszym Zgromadzeniu w „Gazecie Kościelnej” (1 lutego 1921) — wyprawa do kraju w lecie 1921 i wstąpienie do Zgromadzenia br. Paschalisa Świdra — podróż do Polski w roku 1922 i przybycie do nowicjatu Mariana Cichonia — „chude lata” — wyprawa w roku 1926 i przyjazd do Albisoli aspirantów Franciszka Nagyego i Franciszka Solaka — lato roku 1927 i przyjazd do Albisoli Michała Wietechy

i Franciszka Zawadzińskiego — lato roku 1928 i wstąpienie do Zgromadzenia Wincentego Turka i Stanisława Michalika — bilans wypraw rekrutacyjnych ks. Kazimierza Wiehecia — przebieg chronologiczny jego życia we Włoszech.

Rozdział piąty

57

— Środowisko zagraniczne, w którym wychowywali się pierwsi polscy sercanie — I. Albisola Superiore: położenie nowicjatu — tamtejsza „communitas” w roku 1920 — trudne początki zakonnego życia — obłóczyny i pierwsza pasterka na ziemi włoskiej — pierwsza wizytacja kanoniczna w życiu — ogólne tło ówczesnego życia — przybycie do Albisoli polskich nowicjuszy na początku II Wojny Światowej (jesień 1939).

Rozdział szósty

75

— Środowisko zagraniczne, w których wychowywali się pierwsi polscy sercanie: II. Bolonia: scholastykat przy via Nosadella — pierwsi Polacy — ówczesni scholastyki włoscy — przełożeni — życie scholastykatu — Kościół „Madonna dei poveri” — wakacje w Ozzano i Torrano — scholastykat przy via Derna — III. Albino.

Rozdział siódmy

93

— Przy ulicy Koszykarskiej w Płaszowie (22 IX 1928–30 IV 1931) — nasze przygotowanie na progu roku 1928 — przyjazd ks. Kazimierza Wiehecia do Krakowa (1 IV 1928) — propozycja Księcia Metropolity Adama Sapiehy — opis Płaszowa i jego przeszłość — wypad ks. Wiehecia do Włoch (1–19 VIII 1928) — Dom Księży Emerytów w Krakowie pierwszą siedzibą sercańskiej grupy — przeprowadzka do Płaszowa (22 IX 1928) — tryb życia przy ul. Koszykarskiej — niedostatek i przykrości od środowiska — opis środowiska — pierwsza spowiedź wielkanocna i pierwsza kolęda — katechetura — pierwsi kandydaci — przyjazd z zagranicy pierwszych współbraci.

Rozdział ósmy

107

— Przy ul. Saskiej — trudności z parcelą — przygotowanie do budowy domu i kościoła — poświęcenie kamienia węgielnego (10 VIII 1930) — przeprowadzka z ul. Koszykarskiej (30 kwietnia 1931) — poświęcenie kościoła (4 października 1931) — pierwsze misje w Płaszowie i wprowadzenie obrazu Matki Boskiej Płaszowskiej (sobota 21 listopada 1931) — pierwsza wizytacja generalna — otwarcie małego seminarium (1932/33) — profesorowie — życie w małym seminarium — wyjazd do Belgii pierwszych postulantów (sierpień 1935) — otwarcie własnego nowicjatu w

Felsztynie (25 czerwca 1937) — kolejni rektorzy domu w Płaszowie — księży i bracia — zamianowanie superiora regionalnego (15 lipca 1939) — trzecia wizytacja generalna — nasze zgrupowanie w przeddzień wybuchu II Wojny Światowej.

Rozdział dziewiąty

123

— Polscy sercanie w czasie II Wojny Światowej (1) — I. Odyseja młodzieży felsztyńskiej z Lowanium i Lille — opuszczenie domu w Felsztynie (9 września 1939) — grupa rumuńska i jej przybycie do Rzymu (26 września 1939) — grupa węgierska i jej przyjazd do Mediolanu (26 października 1939) — powrót do Krakowa reszty członków domu felsztyńskiego — dalsze losy domu w Felsztynie — w Lowanium: pierwszy dzień wojny (10 maja 1940) — zmobilizowani — wyjazd do Francji — w Cœtquidan (21 maja–19 czerwca) — dwutygodniowa ucieczka na południe Francji — u ks. kard. Hlonda w Lourdes — studia teologii w Saint Cirques.

Rozdział dziesiąty

137

Polscy sercanie w czasie II Wojny Światowej (2) — W kraju: wędrówka wojenna — skład domu płaszowskiego w czasie wojny — próba wskrzeszenia małego seminarium — tajne nauczanie — prace wykonywane przez naszą młodzież — wysiedleni z ziem przyłączonych do Rzeszy — objęcie kierownictwa zakładu w Prusach k. Krakowa — wakacje naszej młodzieży w Stadnikach — otwarcie nowicjatu w Płaszowie — zajęcie domu przez odwoływanego się frontu — przeniesienie domu do Stadnik — przewalanie się frontu na zachód i koniec wojny — rozbudowa małego seminarium — powroty do kraju.

Dodatek

151

— Cztery listy ks. Kazimierza Wiehciecia scj do ks. prałata Mateusza Jeża, pisane w latach 1920 i 1921 — artykuł-odezwa ks. Mateusza Jeża do duchowieństwa polskiego o naszym Zgromadzeniu, drukowany w „Gazecie Kościelnej” z dnia 1 II 1921 — tekst obrazka prymicyjnego ks. Kazimierza Wiehciecia.

